

*Trzeba nam siać, bo role nasze twarde
I dalej siać dopokąd starczy sił
Niech zapał nasz rozmiękczy serca harde
Aż BAZAR się rozwali w proch i pył*

*Ks. Józef Dziekoński
Baranowicze, 5.03.2011*

SPIS TREŚCI

Antoni Edward Odyniec, <i>Alleluja</i>	2
Szymon Babuchowski, <i>Tren smoleński</i>	3
HISTORIA NASZYCH MAŁYCH OJCZYZN: PRUŻANA	
Eugeniusz Lickiewicz, <i>Zamiast wstępu</i>	5
<i>Z historii Prużany</i>	8
Andrzej Święciński, <i>Wspomnienia prużańskie</i>	10
<i>Wybitni Prużanianie: Augustyn Pacewicz, Szymon Starowski,</i> <i>Mikołaj Rozanow, Franciszek Lachocki</i>	21
ks. Robert Iskrzycki, <i>Krótką historią kościoła Prużańskiego</i>	25
Janina Kondranin Wieczorkowa, <i>Prużańskie losy. Wspomnienie o niezwyklej</i> <i>Matce Chrzestnej</i>	27
Dymitr Zagacki, <i>Prużańscy ułani</i>	29
Dymitr Zagacki, <i>Stara Prużana oczami polskiego krajoznawcy</i>	32
Dymitr Zagacki, <i>Międzywojenna Prużana w starej książce telefonicznej</i>	35
HISTORIA LITERATURY	
Jerzy Waszkiewicz, <i>Obraz Moskale w piśmiennictwie polskim XVI-XVII wieku</i>	37
POLSKA I POLACY	
Aleksander Siemionow, <i>Polska i Polacy</i>	48
PODRÓŻE	
Zbigniew Sulatycki, <i>Bohatyrowicze</i>	52
Z NASZEGO ŻYCIA	56
Z LISTÓW CZYTELNIKÓW	61
LEKTURA DLA CIEBIE	
Natalia Hartmann-Kisłowska, <i>Saga Poleska</i>	66
MYŚL POLSKA	
Zdzisław Krasnodębski, <i>Ojczyzna</i>	80

‘ECHA POLESIA’
Kwartalnik Zjednoczenia
Społecznego „Związek
Polaków na Białorusi”

Założyciel:
ODDZIAŁ BRZESKI
ZS „Związek Polaków
na Białorusi”

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail:
klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy
współudziale Senatu RP,
Fundacji „Pomoc Polakom
na Wschodzie” i Fundacji
Pomocy Szkołom Polskim
na Wschodzie im. T. Goniewicza
oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny:
Fundacja im. T. Goniewicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
tel. (81) 747-6163
kom.: 605-828-137
e-mail:
fundgon@gmail.com

Skład i łamanie:
Dorota Kapusta

Druk: Wydawnictwo Muzyczne
POLIHYMNIA

Alleluja.

Alleluja! wiosna błyska;
Słońce grzeje, trawka buja,
Ziemia z trumny znów kołyska
Zbóż i kwiatów — Alleluja!
I z tych kwiatów wnet się wonność
Jak kadzidło w niebo wzniesie,
Świat zaściele łąk zieloność,
Chóry ptasząt zabrzmia w lesie;
Aż dziś mroczna i ponura,
Cała ziemia i natura,
Jak świątynia strojna stanie
Na sił swoich zmartwychwstanie.
O! Młodości! wiosno życia,
Wiosno pokoleń ludzkości!
Gdybyś i ty w dniach rozwicia
Sił, zapалу i miłości,
Wzorem ziemi i natury,

Wszystko, co ci dane z góry,
Zamiast rozwiać wichrów tchnieniem,
Zamiast spalić żądz płomieniem,
Bożem ziarnem siała światu:
Jakby ono twemu latu,
Samo rosnać w nieskończoność,
Dało plenność, barwność, wonność!
Jakby ogień w ciebie tchniony,
Blaskiem tęczy a nie łony,
Z ziemi odbijał na niebie,
Dla ludzkości i dla ciebie,
Wiecznej pracy budząc życie!
O! i jakby przy tym świetle,
Ziemia z Niebem zawsze społem,
Brzmiały zgodnem a wesołem
Alleluja.

Z poezji Antoniego Edw. Odyńca (ur. 1804, zm. 1885 r.).



Pamiętamy



Tren smoleński

NON OMNIS MORIAR

jest przejście w tamtym lesie – uchylone okno
przez które wyfruwali z piwnicy na światło
jakby ostry świst kulí zmieniał ich w aniołów
jakby im rosły skrzydła od jednego strzału

w prześwicie wida
łąkę i czerwone maki
Polskę o której śnili której ani oko
ani ucho nie pozna – tylko ziarnko wiary
wrzucone tu przez okno kiedyś wyda owoc

w to przejście wpadli teraz jak żywe pochodnie
i płoną razem z nimi na wspólnym pogrzebie
jest przeciąg w tamtym lesie – wywiewa przez okno
samolot nawleczony na ucho igielne

SZYMON BABUCHOWSKI
11-13 kwietnia 2010





Tu Mucha łączy się z Wiecem i rodzi się Muchawiec

Cieniom przeszłości

Wiśniowych drzew było tam w sadzie dużo
 Dwadzieścia albo i nawet więcej.
 Szpaki spadły na nie niby burza.
 Mam ich smak w ustach i czerwone ręce.
 I krzaków bzu było przy domu dużo.
 Pachniały fioletem i uśmiechem,
 A domu strzegły, jakby były stróżem.
 Pachną do dziś minionym echem.
 Ale najwięcej było tam miłości,
 Serca matki i ojca. Mam je w duszy.
 Anioł miłości był tam stałym gościem,
 Żarem podsycił, domowi pastuszył.
 Dziś z krainy cieni powracają wszyscy
 Na fotografiach niegdyś żywych ludzi.
 Drodzy jak dawniej i jak dawniej bliscy,
 Jak by ich świat po długiej nocy zbudził.

Jan Wójcik

Prużana-Rewiatycze, 1922



Młyn na Chwatce, „straż miasta”

ZAMIAST WSTĘPU

Niedaleko Prużany, po kilku kilometrach, na północ od wioski Zasimowicze, obok wojskowego lotniska o tej samej nazwie, w otoczeniu pięknego jeszcze wówczas starego parku z wiekowymi lipami, położony był dawny dwór Czarnockich. Przedmiotem naszego chłopięcego zainteresowania co prawda był dość znacznych rozmiarów okrągły staw, gdzie nie zważając na nasze prymitywne wędki z leszczyny, byle jakiej żyłki z grubym haczykiem i spławikiem z gęsiego pióra, zawsze dobrze brały „na robaka” karasie. A więc bez względu na sporą, jak dla bosych dziecięcych nóg, odległość ponad dwóch kilometrów od naszej sąsiadującej z Zasimowiczami Starowoli dość często odwiedzaliśmy to miejsce. Trzeba było tylko znaleźć chętnych towarzyszy na taką wyprawę, bo droga do Zasimowicz wiodła przez pasmo lasu, z nowym i starym cmentarzami obok naszej wioski na jego początku, które mijaliśmy, zdjawszy zazwyczaj czapki i w milczeniu, by przypadkiem nie daj Boże nie wymówić jakiegoś przekleństwa. Dookoła, nieco w oddali od

stawu, stały różne zabudowania z pięknej czerwonej cegły; drzwi oraz okien już brakowało, strychy były też przeważnie zmurszałe, ale nigdy nie szperaliśmy po tych budynkach. Bo choć dwór ten już dawno przez gospodarzy był opuszczony, wiedzieliśmy, że należał do „panów Czarnockich” i świadomość tego napawała powagą do tego miejsca. Być może działało się tak też dlatego, że na lekcjach historii, dyrektor naszej starej Starowolskiej szkoły – żyd-komunista o nazwisku Gulko (którego do słowa śmiertelnie nienawidził mój czworonogi przyjaciel Reksio), postawiwszy nogę na brzegu pierwszej party po-środku klasy opowiadał nam, że właśnie „pany” – to nasi klasowi wrogowie, oraz że władza radziecka sławną Czerwoną Armią uwolniła nas od ich ucisku i panowania. Nauka ta jednak jakoś nie układała się dobrze w mojej dziecięcej głowie, bo o tych „panach” Czarnockich słyszałem też i od swojego dziadka Teofila, i od innych starszych sąsiadów rzeczy całkiem wręcz odwrotne, np. o tym, że właśnie te „ciemieżyciele” Czarnockie po pierw-



Nad Muchawcem

szej wojnie światowej całkiem nieodpłatnie rozdawali powracającej z przymusowej ewakuacji miejscowej ludności żyto i pszenicę na zasiew swojej ziemi, jak syn tych Czarnockich Stanisław(?) surowo upominał dworskie kucharki, by nie skąpiły wynajętym robotnikom jedzenia podczas żniw, jak radośnie pracowało się na swojej roli mojemu dziadkowi pod władzą „burżuazyjnej” Polski,... oraz jak dosłownie kijami kilka lat po wojnie próbowano zapędzić moich dziadków do kołchozu, czy jak moi rodzice z sąsiadami wieczorami cichaczem chodzili kraść kołchozową słomę, by jakoś przez zimę przetrzymać jedyną w gospodarstwie krowę-żywicielkę Łyskę. Rzeczą naturalną, chyba było, że więcej ufałem opowiadaniom z ust rodziców, cioci, sąsiadów czy dziadków – przecież nigdy w życiu mnie nie zawiedli, a mój ukochany dziadek Teofil był najlepszym i najserdeczniejszym przyjacielem, pod gwędę którego czy to o uczestnictwie w carskiej wojnie z Czechenami na Kaukazie czy to o dalekiej Kanadzie, Quebecu, Ontario, zasypiałem na świeżym, pachnącym łąką sianie pod strychem chlewu nad Łyską. Natomiast co do wiary w prawdziwość słów dyrektora – pod jego osobistym nadzorem spiłowano ją razem z krzyżami (i katolickim, i prawosławnym), stojącymi na straży wioski na rozstaju dróg obok piaszczystego prużańskiego gościnka.

Przyznam się szczerze, że spod władzy tych dziecięcych przekonań nie uwolniłem się do dziś dnia i że różnym wersjom ciągle przepisywanej na nowo historii wciąż nie wiele dają wiary oraz sądzę, że ta prawdziwa i niezakłamana historia znajduje się wła-

śnie w prywatnych archiwach, w tych opowiadaniach-wspomnieniach naszych babć i dziadków – naczynych świadków minionych wydarzeń.

Miałem szczęście, bo tak się złożyło, że poznałem i potomka „panów Czarnockich” – przemiłego pana Andrzeja Święcińskiego – wybitnego chemika, ojciec którego był polskim oficerem, który zginął z rąk NKWD w Katyniu; i pani Zofię Rozanow, historyka sztuki, która 60 lat życia poświęciła Cudownemu Obrazowi Najświętszej Maryi Pannie w Częstochowie na Jasnej Górze – córkę Mikołaja Rozanowa, Rosjanina, który w roku 1920-m dostał honorowe obywatelstwo Polski za zasługi w walce z bolszewikami, m.in. autora unikalnej książki „Historia powiatu Prużańskiego” (1935) – redakcji „Ech Polesia” udało się obecnie ją przedrukować i udostępnić wszystkim miłośnikom Polesia i Ziemi Prużańskiej; oraz wnuczkę słynnego doktora Augustyna Pacewicza z Prużan, rodowód którego sięga samych początków naszego miasta; i pani Annę Oleńską, też historyka sztuki PAN RP, wywodzącej się ze znanego każdemu Prużaniakowi rodu Szwykowskich. Osobiście dla mnie ludzie ci, szczególnie mój ziomek Pan Andrzej Święciński – stanowią symbol tego, co kraj nasz poleski utracił w wyniku totalitaryzmów-okrucieństw sowiecko-niemieckich. Pamiętając więc o tej historii prawdziwej, opowiadając tym razem o historii Prużan i jej okolic – oddajmy im słowo.

Eugeniusz Lickiewicz
Prużana



PRUŻANA LATA 30-te XX w.



Kaplica



Dworzec kolejowy



Pałac Szwykowskich

A w Sielcu lipy szumią nad głowami,
Prużaną biegnie strażacka ulica,
Trzeciego Maja, Chwatka z wiatrakami
I w Szereszowie ubogie winnice.
Mucha co z Wiecem żyje w zgodzie.
Pospołu płynąc do parku w Prużanie,
Muchawiec wspólnie urodziły w wodzie
I tak na wieki to już pozostanie.
Widzisz te chmury po niebie płynące?
Takie są wszędzie, a przecież piękniejsze,
Bo bliskie sercu, więc bolą w rozłące
I że poleskie, więc jak my, „tutejsze”.

Jan Wójcik, O Polesiu i o świecie

Z HISTORII PRUŻANY

Po raz pierwszy wzmiankowane w 1487 pod nazwą *Dobuczyn*, stanowiło część Wielkiego Księstwa Litewskiego, województwa brzesko-litewskiego.

Wiek XVI

Po śmierci księcia kobryńskiego Jana (syna Szymona), Dobuczyn stał się własnością jego żony Teodory, król Polski Zygmunt I Stary nadał miejscowość (1519) marszałkowi W. Kościwiczowi, a później swojej żonie królowej Bonie. Miasto znajdowało się w powiecie kobryńskim województwa podlaskiego, a od 1566 w powiecie i województwie brzesko-litewskim. Córka Zygmunta Starego, królowa Polski Anna Jagiellonka nadała (1588) miejscowości, znanej już jako Prużana magdeburskie prawa miejskie i herb (w srebrnym polu błękitny wąż ze złotą koroną na głowie, trzymający w pysku dziecko). Po (1589) nowo wybrany król Polski Zygmunt III Waza zatwierdził to swoim przywilejem (zezwalającym na organizowanie 4 jarmarków rocznie), nieznacznie zmieniając herb miasta. Jest on bardzo podobny do herbu Mediolanu – matka Anny Jagiellonki królowa Bona Sforza była córką księcia Mediolanu Gian Galeazzo Sforzy. Zbudowany został „dwór królewski” – drewniany pałac z zabudowaniami gospodarczymi. W końcu XVI wieku miasto liczyło ponad 1000. mieszkańców.

Wiek XVII i XVIII

Coraz liczniej napływali do miasta koloniści żydowscy. Żydzi (także z sekty karaimów – pochodzącej z VIII wieku i nie uznającej Talmudu), w XVIII wieku stanowili już około 40% ludności liczącego 1,5 tys. mieszkańców miasteczka (pierwsza synagoga powstała jeszcze w 1463 roku). Po zniszczeniach, wywołanych najazdami Kozaków, Szwedów i Rosjan ocalała zaledwie 20% zabudowy miasta. W III rozbiórze (1795) miasto zostało zagarnięte przez Rosję. Klucz prużański otrzymał od carycy Katarzyny II rosyjski generał-feldmarszałek Piotr Rumiancew-Zadunajski (1725-1796), gubernator Ukrainy (od 1764), zwycięzca wojsk tureckich (1768-74), dowodzący częścią sił rosyjskich podczas tłumienia powstania kościuszkowskiego (1794), który wkrótce sprzedał go tajemnemu radcy Jahminowi, od którego kupiła Prużanę rodzina Szwykowskich.

Wiek XIX

Miasto w 1817 liczyło 800. mieszkańców, 20 lat później już 5,5 tys. mieszkańców. Od połowy XIX wieku w mieście odbywały się przedstawienia teatralne. Działał browar, garbarnia i młyn. Car ustanowił w tym czasie rosyjski herb miasta (1845). Podczas powstania styczniowego w okolicach Prużan walczyły polskie oddziały powstańcze (R. Rogińskiego, S. Sanchina i B. Ryłskiego). 13 lutego 1863 powstańcy wyzwolili na krótko Prużanę. Miasto zostało wkrótce strawione przez pożar (1863), w końcu XIX wieku liczyło ponad 7,5 tys. mieszkańców. Budowa linii kolejowej w końcu XIX wieku w odległości 13 km od miasta uniemożliwiła jego dalszy rozwój. Na przełomie XIX i XX wieku Prużana stała się ważnym ośrodkiem garncarstwa.

Wiek XX

W II Rzeczypospolitej Prużana była stolicą powiatu województwa poleskiego. 60% ludności żydowskiej zamieszkującej Prużanę posiadało zdecydowaną większość we władzach samorządowych miasteczka, liczącego ponad 5 tys. mieszkańców. Za II RP miasto było siedzibą wiejskiej gminy Prużana. 18 kwietnia 1934 do miasta włączono część gminy Prużany (część majątku Gubernia i posiadłość Augustynówka).

Od 1924 stacjonował tu 25 Pułk Ułanów Wielkopolskich. Miasto było też macierzystym garnizonem dla 20 Pułku Artylerii Lekkiej. 19 września 1939 Prużanę zajęły sowieckie oddziały 4 Armii komdywa Wasilija J. Czujkowa. Okupujący Prużanę od 23 czerwca 1941 do 17 lipca 1944 Niemcy nałożyli początkowo na społeczność żydowską kontrybucję (500.000 rubli, 2 kilogramy złota i 10 kg srebra) płatną w ciągu 1 doby. W sierpniu 1941 utworzyli getto, z którego wywieziono Żydów do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Na miejscu zginęło ponad 4.000 Żydów. Miasto zostało prawie całkowicie zniszczone. Najstarszą część miasta tworzą ulice Kobryńska (obecnie „Sowiecka”) i Słonimska (obecnie „Komso-molska”), na skrzyżowaniu których znajdował się rynek. Pomiędzy nimi a rzeką Muchawiec znajdowało się centrum miasteczka z kościołem, cerkwią unicką i sądami (grodzkim i ziemskim).

Z Prużaną związani

- Szymon Starowolski (1588-1656) – historyk, pisarz, poeta, kaznodzieja, teolog, kanonik Katedry Wawelskiej
- Dr Augustym Pacewicz (1847-1928) – wybitny lekarz, Honorowy Sędzia Pokoju w Sądzie Prużańskim. Główna ulica Prużany była nazwana jego imieniem
- Marian Baranowski (1910-1940) – polski podporucznik piechoty rezerwy w Wojsku Polskim, nauczyciel, zamordowany przez Rosjan w Charkowie
- Danuta Kabacińska-Knapik – polska profesor, wieloletni pracownik i zastępca kierownika Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych i Zawodowych Akademii Medycznej we Wrocławiu
- Mirosław Korolko (1935-2006) – polski historyk literatury, profesor
- Lucjan Kraszewski – polski malarz, rysownik i fotografik, jeden z prekursorów polskiej fotografii artystycznej, powstaniec
- Romuald Kropat (1927-2008) – polski operator filmowy i radiesteta, realizował m.in. jako operator zdjęcia do filmu „Czterej pancerni i pies”
- Jerzy Roman Nowicki (1908-1940) – polski porucznik w Wojsku Polskim, muzyk, zamordowany przez Rosjan w Katyniu
- Józef Karol Potocki – polski pisarz i publicysta
- Czesław Zbierański – major Wojska Polskiego, inżynier i konstruktor lotniczy, starosta powiatu prużańskiego
- Kazimierz Świątek – polski kardynał Kościoła rzymskokatolickiego, emerytowany arcybiskup metropolita mińsko-mohylewski, administrator apostolski diecezji pińskiej i były przewodniczący Konferencji Episkopatu Rzymskokatolickiego Białorusi
- Franciszek Lachocki (1899- ...) wybitny poeta emigracji, barda Polesia
- Jan Wojcik (1913-2009), wybitny poeta emigracji, pisarz, dziennikarz, bard Polesia
- Anna Biesekierska (1901-1988), pedagog, dzielna wychowawczyni w polskim domu dziecka na zesłaniu w Rosji

Redakcja będzie wdzięczna Drogim Czytelnikom za informacje o sławnych i zasłużonych dawnych mieszkańcach Prużany i Ziemi Prużańskiej.



Prużana w litografiach Napoleona Ordy

Wspomnienia prużańskie

*Dom jest nieodstępnym towarzyszem człowieka, z którym się rozdziela wszystkie chwile.
W dzień, w nocy, w chorobie czy zdrowiu, w smutkach czy radości on zawsze jest z nami*

(E. Felińska, *Pamiętnik z życia*, t. II, seria 2, Wilno 1859 – 1960, s. 230)

Ród Czarnockich wywodził się z Wołynia. Była to stara rodzina szlachecka herbu Lis-Bzura, po powstaniach żyjąca w niełatwej sytuacji finansowej. W rejon Prużany zawitała dzięki mojemu pradziadowi Lucjanowi Bolesławowi (ok. 1848–13 VI 1905), który po ukończeniu polskiej, wysoko cenionej jako ośrodek naukowy, Wyższej Szkoły Rolniczej w Dublanach koło Lwowa zarządzał majątkiem Białosowszczyzna. Ożenił się z właścicielką Białosowszczyzny – p. Borowską, z którą miał trójkę dzieci – najstarszy Józef (ok. 1875 – ok. 1940) – mój dziadek, ukończył Instytut Górniczy w Petersburgu. Dziadek ożenił się z Raisą (Reginą) Terentiew, Rosjanką, której rodzice posiadali w Petersburgu zakłady włókiennicze i tkalnie. Dziadkowie mieli pięcioro dzieci:

- Zofię, zm. w 1915 r. w Moskwie
- Eugenię (6 XII 1900 w Petersburgu, zm. 13 IX 1975 r.) – moja mama
- Stanisława (2 IX 1902 r. w Dąbrowie Górniczej – ok. 1940 r.)
- Wiktora (7 VIII 1905 w Dąbrowie Górniczej – 24 I 1984 r.)
- Olgę (14 VII 1914 w Prużanie).

Dziadek po śmierci swego ojca wraz z bratem Michałem zdecydowali się nie rozdzielać majątku, więc na Białosowszczyźnie (z folwarkiem Czadziel) pozostał właścicielem od 1907 r. Michał, a dziadek w Bogusławcach. Następnie dziadek kupił pięknie położony majątek Zasimowicze, Karolin i Oberżę. Zasimowicze przeznaczył dla swej najstarszej córki Eugenii (mojej mamy), Bogusławce otrzymał Stanisław, Oberżę pozostawił dla Wiktora, a Karolin dla Olgi. Kletyszcze (koło Kobrynia) rozparcelował. Po bezpotomnej śmierci Michała połowa Białosowszczyzny powróciła do dzieci mojego dziadka.

Zbliża się I wojna światowa. Ewakuowane są urzędy wraz z pracownikami w głąb Rosji (tak stanie się też z rodziną mojego ojca ewakuowaną do Moskwy, front postępuje dość szybko, dziadkowie decydują, że babcia z dziećmi pojedzie do swej rodziny w Moskwie, dziadek pozostanie w Zasimowiczach. I tak nieznaną mi ciotka Zosia i mama uczęszczają do polskiej szkoły w Moskwie, Zosia umiera w 1915 r. na dyfteryt. Do Prużany wracają około 1917 r. Mama, entuzjastka skautingu, zakłada pierwsze w Prużanie drużyny harcerskie. Maturę zdaje w 1918 r. w Warszawie na pensji pań Kowalczykówien i zostaje przyjęta na I rok studiów na Wydziale Rolnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. W dwa lata później podąży jej śladami brat Stanisław, kończąc ten sam wydział.



Rodzeństwo Bogna i Andrzej w 2004 roku,
fot. Piotr Liszkiewicz

W Warszawie mama poznaje swego przyszłego męża, studenta Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego Stefana Święcińskiego herbu Ogończyk-Powała. Po ukończeniu studiów, odebraniu dyplomów, zawierają – za zgodą obojga rodziców – związek małżeński w roku 1926. Rodzice osiedlają się w pięknych Zasimowiczach, ojciec jako sędzia rozpoczyna pracę w Grodnie i dojeżdża do domu. Mama zajmuje się całym majątkiem, a więc uprawami, hodowlą. Młodej adeptce pomocą w prowadzeniu gospodarstwa służy dziadek, bo dziadkowie przez zimę mieszkają w Zasimowiczach, ale mój ukochany dziadek stale jest w rozjazdach, ponieważ rozległy majątek wymaga wiele uwagi i nadzoru, wprowadza nowe inwestycje, buduje cegielnię, młyn, gorzelnię (sprowadza nowoczesne urządzenia), a jednocześnie piastuje wiele funkcji społecznych.

Nie szczędził swego czasu (dokładając serce, wyobraźnię) dla miasta Prużany i okolic. W swoim dworze prużańskim dał pomieszczenia dla Klubu Obywatelskiego, który powstał z zamiaru, by okoliczni ziemianie oraz inteligencja prużańska mogła spotykać się, utrzymywać kontakty i „organizować się”. Restaurację prowadził p. Tadeusz Baczyński, polecana była nawet przez autora „Przewodnika po Polesiu”, dr M. Marcza (1935, s. 104 – „restauracja ta jest najwięcej zalecana”). Klub istniał do października 1939 roku, gdy został zajęty przez Sowietów.

Dziadek był prezesem Koła Ziemian Powiatu Prużańskiego aż do 1939 roku, jako inżynier wiele poczynił dla rozwoju społecznego i postępu technicznego mia-

sta i powiatu, nawet budował drogi dojazdowe. Brał też zlecenia na roboty publiczne tym samym zapewniając w okresie kryzysu, wielu bezrobotnym dobrze płatną i pewną pracę. Miał też swoje słabości, bywał czasami roztargniony, nie mógł znaleźć okularów (które miał na nosie), czapki (którą trzymał w ręce), ale był powszechnie lubianym i szanowanym człowiekiem. Miał dobre serce, niedola lub bieda ludzi zawsze u niego znalazła finansowe lub materialne wsparcie (może nawet w nadmiarze). Swoim sumptem kształcił młodych, niezamożnych ludzi, pomagał wdowom i ubogim.

Z dziadkiem byłem bardzo związany, pamiętam jak podarował mi pierwsze dwupłozowe łyżwy, które zrobił nasz kowal, i nauczył mnie jeździć na stawie przy budynku prużańskiego starostwa. Na tym lodowisku jeździło wielu łyżwiarzy, ale na mnie największe wrażenie (miałem niecałe pięć lat) robiły piruety p. Czesława Tołoczki – świetnego łyżwiarza, jego umiejętności zachęcały mnie do naśladownictwa.

Na szóste urodziny dziadzius podarował mi kucyka, płową klaczkę, o niezwykle cierpliwości, nazwaliśmy ją Pchełka. Jej gęsta grzywa bardzo mi pomagała, nie tylko w czasie jazdy; zanim podrosłem na tyle, że jednym susem mogłem skoczyć na jej grzbiet, to dosiadałem jej czepiając się grzywy. Pchełka bardzo mnie lubiła, na mój głos przybiegała do mnie, dotykała potracając nosem, albo witała rżeniem, przynosiłem jej smakołyki.



Andrzej na Pchełce, Prużana 1936 rok

Na jej grzbiecie jeździłem na łąki, poznałem wiele dzieci ze wsi i z czworaków. Wiejskie dzieci pokazywały ptasie dziuple i kryjówki zwierząt, a jesienią piekliśmy kartofle (ich smak z przyprawą popiołu pamiętam do dzisiaj). Jednak najbardziej dumny byłem, że jeździłem wraz z rodzicami: mama na Karusi, tata na Siwce. Świetnym prezentem były też małe narty, ten rodzaj sportu odpowiadał mi bardzo, na nartach jeździłem do 81 roku życia. Byłem drobnym i chorowitym chłopcem (miałem astmę), dziadek chciał zapewne bym zmężniał i przebywał wiele na powietrzu.

Najbardziej jednak przeżywałem opowieści dziadka w długie zimowe wieczory, w kręgu lampy naftowej snuły się opowieści o czasach minionych, biegly wspo-

mnienia, oglądano pamiątki. Dziadek opowiadał czasem historie ze swego bogatego życia, jedna z nich dotyczyła Józefa Piłsudskiego, a właściwie krzyża pokrytego czarną emalią ze złotym paskiem, wizerunkiem orła, mieczami i napisem: *Bojownikom Niepodległości*. Zawieszony był na czarnej wstążce z czerwonymi pasami. O żałobie narodowej popowstańczej wiedziałem, biżuterię z czarną emalią widziałem, ale najbardziej frapowały mnie te miecze. Okazało się, że to mój dziadek odznaczony był przez samego Józefa Piłsudskiego.



Andrzej i Bogna, 1937 rok, zdjęcie wykonane w zakładzie fotograficznym w Prużanie

Dziadkowie mieszkali jeszcze wtedy w Petersburgu w okazałym domu na Wasiljewskiej Wyspie (Polacy nazywali ją Bazylówką) przy dziesiątej linii (liniami nazywano wszystkie ulice prostopadłe do Newy). Na parterze mieszkał generał – naczelny zwierzchnik policji petersburskiej, a na pierwszym piętrze inżynier górnictwa Józef Czarnocki z małżonką i dwójką dzieci.

Historia ucieczki J. Piłsudskiego z więziennego szpitala jest szczegółowo opisana w wielu pracach, między innymi przez W. Poboga Malinowskiego w książce pt. „Józef Piłsudski 1867–1901...”, Warszawa 1935, od s. 350. Ucieczkę organizował Szulkiewicz z kilku członkami peresburskiego koła PPS (K. Demidowiczem, M. Chruszczyńskim, J. Czarnockim i K. i Z. Praussami). Za „najściślejsze konspirowane i najzupełniej pewne mieszkanie” uznano lokal, w którym mieszkał dziadek z rodziną. Tutaj zatrzymał się J. Piłsudski po ucieczce ze szpitala w dniu 14 maja 1901 roku. Dnia 16 maja dyrektor departamentu policji rozesał listy gończe za uciekinierem. Dziadek też postanowił zmienić klimat i z rodziną wyjechał do Baku na Kaukazie, gdzie otrzymał pracę w swoim zawodzie.

Odnaczenie, które mnie tak w dzieciństwie frapowało to Krzyż Niepodległości z Mieczami (wydano ich podobno tylko 150 sztuk). Krzyż Niepodległości zajmował w kolejności orderów i odnaczeń polskich miejsce przed Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski.

W końcu 1901 r. dziadkowie przenieśli się do Czeldzi w Zagłębiu Dąbrowskim (gdzie pracowali także inżynierowie po Instytucie Górnictwa w Petersburgu). Kopalnia węgla kamiennego „Saturn” była spółką o polskim kapitale, uchodziła za jedną z najnowocześniejszych.



Dwór w Zasimowiczach

Miała też budowane od podstaw osiedle z budynkami mieszkalnymi (wielorodzinnymi) dla robotników (istnieją do dziś przy ul. 21 Listopada i Legionów) i o wysokim standardzie, kolonia urzędnicza (ul. Denhelów). Warto podkreślić fakt, że spółka ta – jako jedyna w Zagłębiu – chciała zrealizować ideę modnego w Europie „miasta idealnego” (i wśród finansistów byli poeci). Idea ta polegała na rewelacyjnym planie zabudowy osiedla – 1/6 terenu zajmowały budynki mieszkalne oraz socjalne (żłobki, Dom Ludowy), zaś 5/6 zielone tereny rekreacyjne (otwarte dla wszystkich pracowników: parki, ogrody i ogródki pracownicze, boiska). Z tą pracą zawodową dziadka w kopalni „Saturn” wiąże się inna opowieść, to historia stojącego w gabinecie na biurku srebrnego kałamarza. We wspomnianej kopalni wybuchł groźny pożar, nie udało się ugasić go, mimo niezwyklej ofiarności i odwagi górników. Jedynym ratunkiem było zatopienie kopalni. Kopalnię tą wkrótce odbudowano.

Czyni dziadka Zarząd Kopalni upamiętnił właśnie tym kałamarzem i zamieszczonym tam napisem:

„Inż. Józefowi Czarnockiemu – Towarzystwo „Saturn” – na pamiątkę udziału w ratunku kopalni od pożaru, 3 maja 1902 r.”

Kałamarz zachował się w rodzinie do dzisiaj i nadal podoba się dzieciom, bo z otwartej wśród skał węglowej sztolni – jak z tajemniczej groty – wyjeżdża po szynach, częściowo załadowany bryłami węgla czterokołowy wagonik. Obok, na torowisku stoi górnik ubrany w kubrak, długie spodnie wpuszczone w wysokie buty, głowę jego chroni kapelusz. W rękach – w zamachu unosi oskard; z boku na torach leży torba z długim paskiem i oparty o skałę młot do kruszenia brył węgla. Kompozycji dopełniają dwa srebrne kałamarze. Nad wszystkim unosi się postać kobieca – zapewne symbolizująca męstwo.

Kiedy dziś przyglądam się moim dziadkom, to widzę jak niedocenioną przeze mnie rolę odgrywała babcia. Dziadek był stale w rozjazdach, babcia natomiast zawsze w zadbanym stroju, ładnie uczesana w każdej chwili gotowa była przyjmując niezapowiedzianych gości, których nie brakowało w Zasimowiczach. Pogodna, dobra, pamiętająca o wszystkich, ładnie pachniała wodą

kolońską z nutą pomarańczy (a może to była „4711”). Pomagałem babci przy szyciu – kręciłem korbką maszyny. Babcia opowiadała mnie i później mojej siostrze Bognie bajki, baśnie, legendy, odbierałem je – jak to w czasie dzieciństwa – tak sugestywnie, że nieomal słyszałem tupot kopytek konika garbuska, jego rzenie, szukałem tajemnic kwiatu paproci, wypatrywałem lotu dzikich gęsi, układałem historie ołowianego żołnierzyka; ładnie grała i śpiewała.

Lubiłem muzykowanie na domowych koncertach, gdzie babcia, mama, ciocia Olga, tata grali na fortepianie i skrzypcach, wieczory śpiewające, czy muzyczne odbywały się zwykle w niewielkim gronie. Chętnie śpiewano solo lub w duecie pieśni, dumki, uczyłem się wtedy różnych pieśni patriotycznych na przykład:

„Bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mnie woła”

„W krwawym polu srebrne ptasze
poszli w boje chłopcy nasze „

albo rzewne i smutne:

„Schowaj matko suknie moje, perły wieńce z róż
jasne szaty, świetne stroje, to nie dla mnie już”

Nade wszystko kochałem śpiew mojej mamy, która miała piękny głos, śpiewała często z akompaniamentem fortepianu czy skrzypiec ojca. Najbardziej lubiliśmy z Bogną, gdy śpiewała tylko dla nas, albo czytała książeczki z biblioteki dziecięcej. Do dziś na pamięć znam np. „O Kubusiu łakomczuchu” (można spisać całe tomy jaki Kubuś był łakomy...) czy „Hani niejadce” (bałem się, że tak jak Hania – trzymając w ręku balonik pofrunę w przestworza) lub „Hipciu brudasku” (co za wrzaski, co za krzyki, jakby w puszczach Ameryki, czy to dziki wyjec wyje, nie, Hipciowi myją szyję...). Z jakimże wzruszeniem, po latach, oglądałem w bibliotece książek dziecięcych w Warszawie, te książki z tymi samymi ilustracjami. Te muzykujące wieczory nie tylko nas wzruszały, chłopcy z czworaków mówili: a jak tata Jędryka zacznie grać, to aż płakać się chce. Lubiłem przysłuchiwać się muzyce, zresztą nie tylko ja. Wszędobylskie psy też słuchały i oczywiście po psiemu – „śpiewały” razem z ciocią Olą. Ciocia zirytowana wołała „Budrys won”. Obmyśliłem figiel. Usiadłem na fotelu i naśladowałem „śpiew” Budrysa, a ciocia wołała Budrys won, ale nie przerywała grania. Wreszcie zaczęła poszukiwania psa, nie zorientowała się na szczęście, że wyjący „pies” miał tylko dwie nogi. Słuchaliśmy też muzyki odtwarzanej z płyt gramofonowych (patefon w tych czasach, był meblem), modnych piosenek czy arii operetkowych (mama była bardzo dumna, gdy jako czterolatek wybierałem i podawałem właściwą płytę, chociaż nie umiałem czytać). Do końca życia mamy regularnie chodziliśmy na koncerty do filharmonii, opery czy operetki.

Radio też było świetną komunikacją ze światem, chętnie słuchano wybranych audycji, zbieraliśmy się, by słuchać nadawanych koncertów symfonicznych,

a nawet transmisji z wyboru papieża Piusa XII (był wtedy radioodbiornik na baterie z zasuwaną żaluzją, która zsuwała się po wyłączeniu radia).

Ogromnie popularną formą rozrywki towarzyskiej były amatorskie przedstawienia teatralne. Teatry zawodowe rzadko docierały do Prużany (po 1935 r. częściej), toteż spektakle teatru amatorskiego urastały do rangi wydarzenia artystycznego, ale i także stawały się atrakcją towarzyską. Ojciec mój grał rolę Kordiana, również występował w „Krakowiakach i góralach”. Sceny teatralne improwizowano najczęściej ze zbijanych desek, dekoracje były zapewne – na co dzień wyposażeniem salonów i saloników, natomiast stroje szyto według wyobraźni oraz talentu domowników. Zachowało się nawet zdjęcie „artyści” w stroju krakowskim. Teatr amatorski dawał przedstawienie w dużej sali kina Era przy ulicy 3-go Maja. Zapewne udane spektakle powtarzano może parę razy.

Inną formą zabawy towarzyskiej było wystawianie żywych obrazów, chętnie sięgano po malarstwo polskie (np. Matejki) lub przedstawiano sceny z niezwykle popularnej Trylogii Henryka Sienkiewicza. Żywe obrazy jak i amatorskie przedstawienia teatralne inscenizowano najczęściej na cele dobroczynne.

Popularne były też loterie fantowe. Organizowane były przy okazji różnych uroczystości zarówno świąt państwowych czy kościelnych, a nawet lubiano organizować je we dworach czy salonach miasta jako atrakcję np. balu czy kuligu. Zasobniejsza część społeczeństwa dawała przedmioty, które stanowiły fanty i te można było wykupić. Nie było pustych losów, pieniądze zebrane przekazywano na ubogich bądź na dobroczynność.

Były też organizowane obchody świąt państwowych. Z dwóch powodów zapamiętałem przeżyty w Prużanie w 1934 r. rocznicę Konstytucji 3 Maja. Z ojcem byłem na uroczystej Mszy św., potem oglądaliśmy defiladę wojskową 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich i 20 Pułku

Artylerii Lekkiej. Te dwie jednostki rywalizowały we władaniu szablą i lancą w czasie zawodów hippicznych (odbywało się to na terenach niezabudowanych przy wjeździe do Prużany). Oprócz defilady, zawodów, popisów wojskowych, śpiewał chór, grały orkiestry, był festyn. Sam festyn odbywał się już na ulicy 3-go Maja. Ojciec oddał mnie pod opiekę naszego zasimowickiego kowala, Siergieja Rokickiego. Na loterii wygraliśmy prosiaka, którego wymieniliśmy na strzelnicę za możliwość postrzelania (Siergiej), a dla mnie były łakocie (między innymi ogromna wata cukrowa na patyku). Jednak ta uroczystość była ważna i z innego powodu. Tego dnia mama urodziła w szpitalu moją siostrę Bognę. Po południu, rozradowany tata, zaprowadził mnie tam i pokazał siostrzyczkę, kiedy dobrnęliśmy do domu byłem tak potwornie zmęczony, że gdy chciano mnie umyć użyłem nieparlamentarnego słowa (do dziś żyje ten incydent sześciolatka w anegdotach rodziny).

Jak przez mgłę przypominam sobie jeszcze uroczystości powiatowych dożynek w Prużanie. Znacznie lepiej pamiętam zasimowickie, z piękną żniwiarką Olgą Rokicką, śpiewających przed dworem dożynkowe pieśni i poczęstunek dla żniwiarzy i ich tańce. Rodzice też tańczyli oraz przybyli goście

Duże znaczenie miały też uroczystości domowe – rodzinne. Uroczystości obchodzono imieniny mojej mamy i ojca, dziadków. Organizowano spotkania, gdzie oprócz rodziny przyjeżdżali właściciele sąsiednich majątków. Domownicy przygotowywali wiele niespodzianek i prezentów dla solenizanta. Dzieci lub wnuki uczyły się stosownych powinszowań, przyozdabiano specjalnie krzesło, buketami zdobiono salon i jadalnię, a wejście zielenią. Jarzyło się światło świec i lamp naftowych (w Zasimowiczach nie było elektryczności). Gości nie zapraszało się wszyscy sąsiedzi wiedzieli kiedy należało przybyć do solenizanta, zabierali zwyczajowo ze sobą

również przybyłych doń gości czy krewnych. Bo w Polsce gościnność poczytywano „za przyjemność, rozkosz, potrzebę życia” pamiętając, że gość w dom – Bóg w dom (A. E. Koźmian, „Wspomnienia”). Jedzenia, by nakarmić nie brakowało, pomieszczeń by ugościć nie brakowało we dworach, a przybywający gość przywoził nowe wieści, był „gazetą i kroniką towarzyską”, zabawiał, uczył czegoś nowego. Uroczystość rozpoczynano późnym obiadem przechodzącym w kolację i całonocną zabawą (balem), gdzie w czasie przerwy panowie szli grać w karty, a panie poprawić stroje i odpocząć.



Zasimowicze, czerwiec 1937, rodzice, babcia Święcińska, Andrzej, babcia Czarnecka, Bogna

W Prużanie były też organizowane bale w sali starostwa. Pamiętam rok 1937, kiedy to z okazji Święta Niepodległości – 11 Listopada przybyła cała „śmietanka” powiatu. W przeddzień przybyli do Prużany Czarnoccy z Bogusławiec (ciotka Irena i wuj Stanisław), z Grodna wuj Oleś i ciocia Muszka (z psem Ciapciusem). Panie w pięknych sukniach balowych, panowie we frakach, perfumy, kwiaty, biżuteria, ruszali na bal.

Rodzice moi lubili tańczyć razem, nawet te najmłodniejsze wtedy, ale pielęgowali tańce polskie, polonezy, kujawiaki, oberki, mazury. Na tymże balu do tańca przygrywała orkiestra 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich z Koszarki, która przywiozła wraz z innymi instrumentami – bęben, który dostarczył pewnych emocji. Otóż ojciec z rozmachem tańcząc mazura uderzył nogą w bęben, tak, że pękła skóra. Orkiestra grała dalej, bęben zamilkł. Ojciec rachunek za naprawę instrumentu bezzwłocznie uregulował, ale długo opowiadano, jak dowcipną korespondencję adwokat z dowódcą prowadził.

Wróćmy do uroczystości domowych. Niezapomniane były święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy. Okres świąt Bożego Narodzenia to chyba najrodzinniejsza część każdego roku jaką spędzałem zazwyczaj w Zasiłowiczach. Pamiętam je dokładnie z lat dziecińczych, bowiem przygotowania trwały bardzo długo. Tuż po rozpoczęciu adwentu zjeżdżały zaproszone osoby i pod dozorem babci rozpoczynało się produkowanie choinkowych zabawek z kolorowych papierów i bibulek, słomy, wydmuszek, żółędzi dębowych, szyszek. I tak powstawały „kilometry” różnobarwnych łańcuchów, anioły z kartonu i sreberka, z wydmuszek pajacyki z bibułkową kryzą, języki, pawie oczka, ludziki z żółędzi, szyszek, a z orzechów kulki malowane srebrną lub złotą farbą. Cacka, czyli bombki szklane o różnych kształtach i barwach czekały w specjalnych pudłach, od wielu lat zbierane, czasem docierały do wnuków. Cukierki w specjalnej folii, niezapomniane sople lodowe i maleńkie świecezki w

lichtarzykach przypinanych do gałązek choinki – mama kupowała w sklepach Kucharskiego lub Grygorowicza, przy ul. 3-go Maja w Prużanie, papiery kolorowe u Jąłowskiego (piśmienne materiały, ul. Pacewicza), książki w księgarni polskiej „Oświata” – ul. Pacewicza. Cukierki i owoce kandyzowane przyjeżdżały z gośćmi – jako prezenty (w pięknych drewnianych pudełkach często rzeźbionych lub kartonowych kołach. Ciastka i pierniczki pieczono wcześniej, małe, czerwone jabłuszka znoszono z przechowalni owoców. Choinkę ubierano wcześniej.

Wieczera Wigilijna była wielką uroczystością, celebrowaną zawsze według ustalonego tradycją rytuału. Na stole leżał biały obrus, pod nim rozłożone cienko sianko, które przypominało narodziny Chrystusa w ubogiej stajenke, świąteczna porcelana, nakryć było zawsze więcej niż biesiadników w tym jedno dla spodziewanego wędrowca niebiańskiego (myślano tu raczej o naszych zmarłych). Biały opłatek i światło świec w kandelabrach stojących na stole tworzyło specjalny nastrój i dodawało chwili uroku. Rodzice wchodzili pierwsi z dziadziusiami, za nimi my, dzieci i wszyscy domownicy. Rodzice i dziadkowie dzielili się opłatkiem ze wszystkimi, także ze służbą, potem siadano do stołu. Potrawy z ryb, same ryby sandacze, karpie na różne sposoby i karaski w śmietanie, strugany chrzan, kutia, kompot z suszu, wspaniałe bakalie itp. Do kolacji wigilijnej żadnych alkoholi ani wódek nie podawano. Rodzice zawsze pierwsi wstawali od stołu dając tym znać, że wigilia jest skończona, przechodziliśmy do salonu, gdzie choinka sięgająca sufitu jarzyła się światłami. Wszyscyśmy stawali (także usługująca służba) śpiewając kolędy przy dźwiękach fortepianu, rozdawano prezenty. Potem dopiero podawano herbatę, ciasta, głównie strucle z makiem, znakomite pierniki i pierniczki oraz bakalie. Dla pracowników i czeladzi przygotowywano również prezenty, pieczono dla nich także ciasta, mięsa i wędliny. Rozdawano je wcześniej, by mogli zdążyć do swoich rodzin. Większość – jak myślę – była wyznania unickiego lub prawosławnego, ci ostatni obchodzili święta trzynastcie dni później. Potem następowały przygotowania do wyjazdu na pasterkę, mróz srogi, skrzypiący śnieg, sanie, otulanie się futrami, wilczurami i jazda końmi (dzwonki przy uprzęży) do Prużany na mszę zw. Pasterską.

Zabaw sylwestrowych nie urządzano, chociaż Nowy Rok spędzano wesoło, tak samo święto Trzech Króli. U prawosławnych był zwyczaj święcenia wody w studniach, potem święcono krzyże wyrąbane w wodzie.

Wielki Post na wsiach był bardzo rygorystycznie przestrzegany tzn. nie używano okras (słoniny), ani nabiału, tylko olej. Jadano postne żury z kartoflami, suszone bądź solone ryby i różnorakie kasze kraszone olejem. We dworach stosowano post według przepisów Kościoła katolickiego, które nie



Aleja lipowa w parku zasiłowickim

były tak drakońskie (np. używano nabiału), ale także „suszono” (to znaczy – nie używano słoniny jako omasty). Podczas Wielkiego Tygodnia jadano tylko raz dziennie, w Wielką Środę i Wielki Piątek wyłącznie suchy chleb i wodę, ale większość dorosłych nic nie jadła. Wiele modlono się, obchodzono Drogę Krzyżową i Gorzkie Żale, odbywano rekolekcje i obowiązkiem było odprawienie spowiedzi.

Niewiele mogę powiedzieć o samych przygotowaniach do pieczenia bab, pamiętam formy do pieczenia, najczęściej były w kształcie walca, półmetrowej wysokości i piec chlebowy, gdzie je wsadzano. Pamiętam, że inaczej palono ogień, niż przy wypieku chleba. Piec miał z przodu sklepienie półkoliste, taki „ganek”, na którym rozpalano wyłącznie drewno i gdy sklepienie się nagrzało wtedy wkładano formy z ciastem babkowym. Wiele rozprawiano o udanych i nieudanych babkach, o sposobie wyjmowania ich z formy, by nie usiadły. Wiem, że układano je na poduszkach, kołysano delikatnie, studzono. Współczesne ciasta nie mają nic wspólnego ze smakiem tamtych ciast, nawet mazurki które wówczas były nie lada przysmakiem.

Stół wielkanocny, we dworach święcił ksiądz, gdy jechał drogą, na początku wsi stawano z koszami, zatrzymywał się i święcił pokarm lub oczekiwano go na dziedzińcu kościelnym. Stół, oprócz ciast i mazurków, zastawiony był mięsivem i dużą ilością jaj gotowanych na twardo (pięknie zdobionych) i zimnymi sosami. Śniadanie jedzono pierwszego dnia – zwykle koło południa (czasami odpoczywano po rezurekcji). Wtedy dopiero krojono ciasta i wędliny (nie było w zwyczaju stawiać na święcone jedzenia pokrojonego).

Rok 1938 był dla wszystkich Polaków najbardziej radosnym rokiem w niepodległej Polsce. Obfitował on w różne wydarzenia, które podnosiły dumę narodową. Jedną z nich był powrót do Polski relikwii św. Andrzeja Boboli, co szczególnie cieszyło mieszkańców Polesia, gdzie św. Andrzej prowadził działalność misyjną i poniósł śmierć męczeńską. W owym czasie chodziłem do siedmiooddziałowej szkoły powszechnej, na ul. Butkiewiczza, gdzie w ciągu dwóch lat skończyłem 4, 5 i 6 klasę. Szkoła na początku roku szkolnego zorganizowała pielgrzymkę do stolicy. Głównymi opiekunami tej wycieczki byli prof. Janina Pisanko i prof. Jerzy Rossołowski, ustalając koszty po cenach minimalnych. Dla wyróżnionych uczniów na konkursach szkolnych wyjazd był nagrodą i nie ponosili kosztów wojażu. Pamiętam te prace:

1. za ciekawe opracowanie o dawnych czasach mieszkańców regionu pużańskiego
2. z robót ręcznych było dwóch laureatów:
 - za wykonanie makiety okrętu wojennego „Wicher” (w korze topoli)
 - za makietę młyna – wiatraka stojącego przy Chwatce (z zapalek). Stanowiliśmy jedną zgraną grupę uczniów (chłopcy i dziewczyny). Wśród nas oprócz Polaków, byli



Zasimowicze, czerwiec 1937, mama na Karusi, tata na Siwce i ja na Pchelce

Białorusini i Żydzi, nie było antagonizmów wyznaniowych, ani narodowych. Wyjazd z Prużany nastąpił rano w sobotę, kolejką wąskotorową do Orańczyc. Po drodze mijaliśmy koszary 20 Pułku Artylerii Lekkiej i 25 Puku Ułanów Wielkopolskich. Do Warszawy, na dworzec główny przybyliśmy po południu, zakwaterowano nas w koszarach. Udostępniono nam sale gimnastyczne, kantyny i sypialnie (w tym czasie pułk był na manewrach).

Wśród nas przygotowano grupę artystyczną, w ludowych strojach poleskich: koszula i spodnie lniane, wyszywane na nogawkach, łapcie z łyka (postoły), dziewczęta w barwnych spódnicach i bluzkach z haftem, na głowie wianki. Ta grupa spotkała przy Grobie Nieznanego Żołnierza Felicjana Składkowskiego, obdarowana słodyczami uzyskała pozwolenie na wjazd windą na dach drapacza chmur (dziś mieści się tu Hotel Warszawa) skąd przy bezchmurnym niebie oglądała stolicę. Pozostała grupa, ubrana w mundurki harcerskie zabrano na dach poczty (która była drugim wieżowcem co do wysokości), a potem na spotkanie z marszałkiem Edwardem Rydzem Śmigłym w Alejach Ujazdowskim przed Ministerstwem Sił Zbrojnych RP. Staliśmy w dwuszerogu wzdłuż ulicy. Marszałek przechodził obok nas z buławą zatrzymując się czasem, by zamienić parę zdań z druhną lub harcerzem.

Cały tygodniowy pobyt wypełniło zwiedzanie miasta. Nie będę opisywał co zwiedzaliśmy, bo to dziś jest znane. Dla wszystkich niezapomnianym przeżyciem była komunikacja miejska. Jazda tramwajem była szczególnie piękna wieczorem, gdy widziało się tętniące życiem miasto w blaskach neonów.

Wielkim przeżyciem dla nas była możliwość zobaczenia relikwii św. Andrzeja Boboli, które kilka miesięcy temu przybyły do Polski, klęcząc długo modliliśmy się gorliwie, dziękując za jego obecność, prosząc jednocześnie, by orędownął u Pana Boga za niepodległą Polską. Na zakończenie odśpiewaliśmy pieśń „Boże coś Polskę”.

W tym miejscu chciałbym wspomnieć jeszcze jedną historię związaną ze szkołą, a raczej z kolegami. Rodzice moi zaprosili kolegów do Zasimowicz na jazdę konną. Ekipa siedmiu jeźdźców przybyła na rowerach. Na konie przesiedli się Czesiek Misztalski, Zbyszek Berezowski, Kazik Raube, Jurek Chwostowski, Włodek Najbicz, Jaś Zaniewski i ja (na dużym ogierze bez siodła). Drogę znaliśmy wszyscy – tak nam się zdawało, więc postanowiliśmy pokazać się w Prużanie, dosyć długo tam marudziliśmy, zrobiło się późno więc nie wracaliśmy już przez Chwatkę, ale na przełaj przez błota karolińskie, w których trochę ugrzęźliśmy i kiedy zbliżaliśmy się galopem do domu – raptem „skończył” mi się koń, spadłem na plecy, nie mogłem złapać tchu. Jak się pozbierałem – tego nie pamiętam, przeraziłem się dopiero wtedy, gdy straciłem pamięć. Rodzice zorientowali się, że mam kłopoty, gdy pytałem mamy o datę dnia i rok. Wezwany dr Ilnicki stwierdził wstrząs mózgu. Do szkoły wróciłem dość szybko; spotkań z kolegami było jeszcze wiele i nie wiem czy byliśmy rozsądniejsi.

Poczucie wspólnoty obywatelskiej, ale i szacunku do drugiego człowieka powodowało, że nie tylko ziemianie, czy inteligencja, czuli się odpowiedzialni za wspieranie rodzącej się młodej Polski. Nie tylko ofiarowywali swe życie w czasie wojny, ale także rozumieli interes państwa, oni autentycznie byli dumni, że po tylu latach niewoli Ojczyzna, kiedyś utracona, zmartwychwstała...

W latach trzydziestych Polska uznaje konieczność unowocześnienia armii również przez budowę samolotów i lotnisk. Podjęte decyzje o budowie zamaskowanych lądowisk dla wojskowych lotnisk w rejonie Białej Podlaskiej zaczynają powoli dotyczyć nas samych (choć o tym jeszcze nie wiemy).

Po rozpoznaniu terenów przez kartografów zaproponowano rodzicom rozważenie projektu budowy lotniska polowego w Zasimowiczach. Przyjęcie propozycji było trudne, bowiem wymagało przestrojenia gospodarstwa rolnego na hodowlane; grunty orne w większości miały stać się pastwiskami z dużym zapleczem dla sprzętu budowlanego i drogowego. Podstawą hodowli miały być rasowe owce. Umowa z państwem polskim obejmowała:

- po stronie rodziców
- grunty orne (w uzgodnionej części) zamienione zostają na pastwiska
- budują, bądź adoptują pomieszczenia dla owiec (owczarnie) – docelowo 150 sztuk
- prowadzą ich hodowlę
- tereny pozostają nadal własnością rodziców; państwo
- niweluje teren pod przyszłe lotnisko
- zapewnia dostawę owiec rasy merynos

- daje pieniądze na zagospodarowanie gruntu i rekompensatę za likwidację gruntów ornych
- sprawdza stan utrzymania gotowości lotniska.

Ostatnia partia owiec przyjechała w 1939 roku, pamiętam krętorogiego ogromnego barana, który „wysiadł” z pociągu, dumnie potrząsał łbem, porykiwał. Zastanawiałem się dlaczego na lotnisku owce. Wyjaśnienie jest proste, owce nie wymagają specjalnej paszy, od wczesnej wiosny do późnej jesieni pasą się na łąkach lotniska i jednocześnie ubijają teren kopytkami. To znaczy, że nie niszczą utwardzonego terenu.

Z lotniska polowego nie skorzystała Polska. Po zdradzieckim najeździe w dniu 17 września 1939 r Armia Czerwona wyrzuciła właścicieli z majątku, a z lotniska powstał później „wojenny garadak Zasimowicze”, który istniał do końca dwudziestego wieku. Kiedy przyjechałem do Prużany w 1996 roku widziałem jeszcze startujące helikoptery, w 2010 była już cisza. Zostały tylko poranione lipy z alei parkowej. Nigdy nie widziałem tak zniszczonych prawie dwustuletnich drzew, a przede wszystkim ich koron i nigdy nie spotkałem tak zdewastowanego parku, ogrodów i sadu. Stojąc na niemal niewidocznych fundamentach dworu (bo tyle z niego zostało) – widząc te „rozstrzelane” drzewa – z trudem przywołałem moje rozdygotane serce do porządku.

Zbliża się II wojna światowa, najwyższy czas powrócić do historii mojego ojca. Kiedy rodzice pobrali się ojciec rozpoczyna pracę jako sędzia śledczy w Grodnie, ale dla młodego małżeństwa uciążliwe są te dojazdy, więc zakłada kancelarię adwokacką w Prużanie. Kancelaria mieści się w bocznym skrzydle prużańskiego dworu. Pamiętam nasze przyjazdy (z odległych o 6 km Zasimowicz) do tego domu, jak wjeżdżaliśmy w ul. J. Piłsudskiego (dawniej 3Maja) i potem przez zadaszoną bramę - przed prawe, boczne skrzydło. Dwór w budowie typowy (jak każda siedziba szlachecka) – stał na podmurówce, miał otynkowane zewnętrzne ściany ozdobione oknami z okiennicami; wysoki, spadzisty dach kryty gontem i od strony podjazdu ozdobiony gankiem wspartym na czterech murowanych kolumnach. Po bokach miał dobudowane boczne skrzydła skierowane ku ogrodowi. Stał na dużej parceli wśród drzew (wiązy, graby, bzy, jarzębiny i czeremcha) obsadzonej od ulicy dorodnymi kasztanami. Przez całą parcelę do dworu prowadził drewniany trotuar co chroniło przed wszechobecnym błotem (takie drewniane trotuary – chodniki dla pieszych – na ulicach były w poleskich miasteczkach dość powszechne).

W tymże domu – mieścił się, wcześniej wspomniany, Klub Obywatelski z restauracją zajmując I głównego budynku i z lewą oficyną. Pozostała część wraz z prawą oficyną przeznaczona była dla rodziny i mieści-

ła kancelarię adwokacką ojca. Do dworu wchodziło się przez zadaszoną bramę, do której przymocowana była tabliczka z napisem: „Stefan Powała Świeciński – adwokat. Kancelaria adwokacka czynna...”.

Ojciec prowadził wiele spraw, pomagał również tym, którzy nie mogli zapłacić, a potrzebowali porady prawnej. Tato lubił ludzi, miał z nimi dobry kontakt, odznaczał się – tak jak dziadek Józef – demokratycznymi zasadami, każdego człowieka traktował jednakowo, nie miało znaczenia to czy ktoś był wieśniakiem, czy biednym żydem, czy człowiekiem na stanowisku.

Od ojca uczyłem się patriotyzmu, nie musiał mi tego tłumaczyć, wystarczyło, że opowiadał jak walczył o Lwów (tu otrzymał stopień porucznika jako osiemnastolatek) w 1918 r, w wojnie bolszewickiej 1920 r bronił Warszawy oraz brał udział w 1921 r w powstaniu śląskim; i to, że widziałem kiedyś rany po kulach na jego ciele.

Nieproszona zawierucha wojenna powoli zatacza swe kręgi. Dnia 11 marca 1939 roku, ojciec mój – jako porucznik rezerwy – otrzymał kartę mobilizacyjną, która stanowiła powołanie do wojska. Wyruszył do Baranowicz jako miejsca zbiórki, tam otrzymał przydział do wojskowego sądu polowego jako sędziego. Stacjonował w Mławie. W maju 1939 r zwolniono ojca na cywilną rozprawę, gdzie stawał jako adwokat (ale ubrany w mundur wojskowy). Było to w Brześciu nad Bugiem, mama pojechała na spotkanie z ojcem i zabrała również nas. Stąd pochodzą nasze ostatnie wspólne zdjęcia, właśnie ojca w mundurze, mamy i nas dzieci. Razem spędziliśmy piękne chwile, pamiętam rozmowy z rodzicami, a nawet obiad w restauracji i nocleg w hotelu.

Ojca ponownie zobaczyłem dopiero we wrześniu 1939 r, a spotkaniu temu towarzyszyła wcześniejsza zapowiedź. Paroletnia Bogna już spała, był wieczór, wszyscy domownicy jeszcze czuwali, raptem Bogna powiedziała głośno: „tatulek przyjedzie”. W poniedziałek 11 września, jechaliśmy razem z mamą na rozpoczynające się pierwsze zajęcia szkolne – zdałem do I klasy gimnazjum im. Adama Mickiewicza (przy ul. Strażackiej w Prużanie). W okolicach Karolina (to był folwark dziadka) zobaczyliśmy furmankę, na której jechał żołnierz w mundurze polowym, spał. Poznaliśmy ojca, do szkoły już nie pojechaliśmy, wróciliśmy do Zasimowicz. Ojciec był tak ogromnie zmęczony, że tylko się umył, nie chciał jeść, zasnął, spał prawie dobę, nasze konie odwiozły ojca na miejsce zbiórki do Słonima. Opowiadał o walkach, przeprawach, bezpośrednich starciach, o bombardowaniu twierdzy w Brześciu nad Bugiem, gdzie został przysypany, tam też dostał rozkaz do ewakuacji do Słonima (ok. 40 km od Zasimowicz). W następnych dniach przez Zasimowicze przewijało się bardzo wielu ludzi, ciągnęły wojska z taborami, kuchnią polową, które zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza dążyły do swoich punktów zgromadzeń na Polesiu dla kontynuowania dalszej obrony kraju.

O losach ojca nie wiele wiedzieliśmy, początkowo dochodziły wieści, że ktoś ojca widział w Kobryniu prowadzonego przez NKWD, ktoś inny, że widział go w letnim mundurze i rzucił mu kurtkę, bo było już chłodno. W początku października NKWD w Prużanie zapytało mamę, czy ma kontakt z ojcem; nie miała. Potem dotarła wiadomość, że NKWD zatrzymała ojca w Kobryniu, który powracał (po kapitulacji gen. Kleberga) do domu. Z Kobrynia przewieziono ojca do Starobielska.

Pierwszy list (pocztówka) przyszedł z obozu jenieckiego ze Starobielska w końcu października 1939 roku. Pisaliśmy do taty wielokrotnie – czy dostawał nasze listy – tego nie wiemy, bo przychodziły tylko krótkie informacje na pocztówkach (widocznie takie były reguły obozowe). Kiedy wyrzucono nas z majątku oraz ciocię Irenę z Bogusławiec i jednocześnie zabrano dwór w Prużanie, mama napisała do ojca, że wyjeżdża z dziećmi i ciocią Ireną do jej rodziców do Radomska koło Częstochowy. Ojciec przysłał telegram (11 marca 1940 r), w którym sugerował mamie, by zatrzymała się do końca wojny u jego matki w Udrzynie i by tam czekała na jego powrót po wojnie. Ojciec niewątpliwie miał świadomość jakie niebezpieczeństwo groziło mamie, gdy otrzymał (?) zakamuflowaną wiadomość o aresztowaniu przez NKWD ojca mamy i brata i nakazie opuszczenia majątku.

Ostatni list – pocztówka pochodził z pierwszych dni kwietnia 1940 roku, który ojciec przesłał do swojej siostry Jadwigi – nauczycielki mieszkającej w Zarębach Kościelnych za Małkinią (czyli na terenach polskich włączonych do Rosji sowieckiej po napadzie 17 września w 1939 r.). Żadna inna korespondencja do nas nie dotarła.

Internowani przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 r żołnierze i oficerowie zostali osadzeni w obozach. Żołnierzy na ogół kierowano do pracy umieszczając ich w łagrach, oficerów zaś zamknięto w obozach: Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Ojca – jak większość prawników – umieszczono w Starobielsku, niewielkim miasteczku nad rzeką Ajdar koło Charkowa. „Obóz jeniecki mieścił się na obszarze kilku hektarów, otoczonych murem, w kilkunastu murowanych i drewnianych zabudowaniach poklasztornych. Od końca 1939 do 5 kwietnia 1940 to jest do początku likwidacji, w obozie starobielskim znajdowali się niemal wyłącznie polscy oficerowie zawodowi i rezerwy w liczbie około 4 tysięcy” (A. L. Szczesniak, Katyń, Warszawa 1989, s.45).

Wśród oficerów rezerwy w obozie starobielskim było:

- kilkunastu profesorów polskich uczelni
- blisko 400 lekarzy wojskowych i cywilnych
- 600 oficerów lotnictwa i cały personel Instytutu Przeciwwgazowego
- kilkuset sędziów, adwokatów i prokuratorów
- kilkuset inżynierów

- około 100 nauczycieli
- wielu dziennikarzy, literatów, poetów, działaczy społecznych i politycznych.

Do tego obozu przysyłano również inteligencję, która nie była powołana do wojska. Dlaczego wymieniam grupy zawodowe wśród oficerów rezerwy i cywilów? Spójrzmy, oto kwiat inteligencji polskiej, powołani przez ojczyznę ku jej obronie. Jak perfidne były zamysły władzy sowieckiej, by tych ludzi, którzy stanowili trzon inteligencji polskiej (prawie 20 tysięcy !) zamordować. I pamiętajmy, że nie zabijano tu żołnierzy, ale kwiat inteligencji. Może należy zapytać dlaczego ludzie władzy w Rosji tak nienawidzili Polaków; ta patologia nienawiści ma głębokie korzenie, bo te 150 lat niewoli rosyjskiej nie zniszczyło idei polskości. Polacy mieli dwie niezwykle mocne podstawy: wiarę (kościół, a do tego dzielnych i męźnych kapłanów) i nawyki obywatelskie. Dlaczego nawyki obywatelskie? Rzeczpospolita Polska (I i II) wychowywała swych obywateli w niespotykanej w Europie równości praw stanu szlacheckiego (nie było zależności, ani podległości różnostanowych, po prostu szlachta podlegała bezpośrednio i wyłącznie królowi). Ta równość prawna oraz nienaruszalność własności ziemskiej edukowała szlachtę. Każdy właściciel majątku z dziada pradziada uczył się i przekazywał następcy umiejętność gospodarowania i zarządzania własnością ziemską. Umiejętność zarządzania własnym majątkiem, odpowiedzialność za własne decyzje przenosiła się na zarząd państwem. Dodać należy, że każdy obywatel Rzeczypospolitej winien był znać sztukę pisania i czytania. Tak wyprofilowana przez wieki forma ukształtowała specyficzny sposób myślenia obywatelskiego Polaków. Tacy obywatele stają do obrony swego kraju – jak do obrony ojcowizny, a w niewoli nie są w stanie podjąć współpracy z najeźdźcą (z wyjątkiem nikczemnych czy zastraszonych). Zupełnie inna jest psychologia Rosjan, niewoleni przez wieki, bez własności, z niezwykle rozbudowanymi służbami aparatu bezpieczeństwa. I wszechobecne kłamstwo, które rujnuje duszę każdego człowieka. Współczuję narodowi rosyjskiemu i nie obwiniam przeciętnego Rosjanina za krzywdy doznane od aparatu władzy za Katyń, Ostaszków i Starobielsk. Ale domagam się pamięci o tych mordach, ujawnieniu prawdy, po której dopiero nastąpić może przebaczenie i pojednanie (bo wtedy jest ono owocujące).

Stanisław Mikke, sędzia Trybunału Stanu, współuczestnik prac ekshumacyjnych w Katyniu, Miednoje i Charkowie, członek delegacji państwowej z dnia 10 kwietnia 2010 roku, który zginął w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem pisze tak:

„Zbrodnia Katyńska” ciężko zaważyła na polskich losach w czasie wojny i po jej zakończeniu. Zbyt daleko sięgają konsekwencje tej winy. Nadszedł czas, aby swoją postawę wyraźnie określili Rosjanie. Myślący i wolni. Ich głosu w tej relacji brakuje (...). Budzi zdumienie, że nie zabrali głosu z należytą siłą autorytetu moralne;

przecież ich nie brakuje wśród uczonych, artystów, pisarzy i rosyjskiego duchowieństwa. Ale czy to nie stwarza szczególnych sytuacji. Nie, nie chcemy Rosjan pouczać. Mamy jednak prawo poznać przyczyny tego milczenia, próbować wyjaśnić, czym jest spowodowane (...) Ta sytuacja z utrzymywaną nadal przez władze rosyjskie tajemnością sprawy nie służy unormowaniu wzajemnych stosunków. Wręcz odwrotnie, wzmacnia, otwarcie powiedzmy, w tym stanie rzeczy uzasadnioną naszą nieufność” (Misja, Warszawa, Contrast, 1992, s. 71-71).

Chcę już zamknąć w tych wspomnieniach bolesną ranę mego serca i naszego mojego narodu. Dodam tylko, że żołnierze wspomnianych obozów nie wiedzieli, że śmierć, czeka za pokojem przesłuchań, znalezione podczas ekshumacji ciała były w mundurach zapiętych na wszystkie guziki. Dojrzałem na tyle, by modlić się za zamordowanych Polaków modlić się również za ich katów (bo jak mówi moja żona – a jeśli od naszej modlitwy zależy ich zbawienie...).

Powróćmy jeszcze do Prużany, 17 września 1939 roku dziadek Józef rankiem wysłuchał komunikatu radiowego, że Armia Czerwona wtargnęła na teren państwa polskiego, zdesperowany przyjechał z Karolina do Zasimowicz. Znał Rosję i możliwości bolszewików, wręcz nakazywał mamie ukrycie się z dziećmi poza majątkiem. Mama, Bogna i ja – 18 września – jedziemy drabiniastym wozem załadowanym dla niepoznaki snopkami zboża (pod, którymi leży walizka z odzieżą na kilka dni) i kopkami siana, obrokiem dla konia oraz dwiema owcami w kojcu. Konno przeprowadza nas Staś Dubiński, jedziemy na północ do dworku malarza p. Artura Arrasza (jego obrazy wisiały w Zasimowiczach), z pochodzenia Tatara, który miał swój folwark w Puszczy Mariańskiej. W niecały tydzień, około 23 września (21 września bolszewicy zajęli Prużanę) wracamy, Staś Dubiński (syn ciotki Maryni) przyjechał po nas z wieściami, że w majątku „ustanowiono władzę ludową”, a chłop Kuźma z Zasimowicz przewodniczy radzie robotniczo – chłopskiej.

Dwór i czworaki przepełnione są ludźmi uciekającymi przed Niemcami. Wśród nich jest siostra taty – Stachenka (Stanisława) Sikorska z mężem Kazimierzem Sikorskim, nadleśniczym z Białobrzegów k. Augustowa.; Musia (Maria) Czarnocka – żona kapitana 82 pp w Grodnie i jej przyjaciółka Dusia (Eudoksja) Eljaszewiczowa – wdowa po pułkowniku z Kołomyi; pies Ciapciuś; uciekinierzy z Warszawy (nie pamiętam ich nazwisk).

Wuj Sikorski przybył w mundurze leśnika, co stało się przyczyną jego aresztowania jako wojskowego, udało się wyjaśnić różnice mundurów i szczęśliwie po trzech dniach zwolniono go. Wujostwo powrócili do nadleśnictwa w Białobrzegach, po to by 9 lutego 1940 roku zostać deportowanymi do Altajskiego Kraju.

Oprócz, szukających gościny Polaków, we dworze stacjonowało również wojsko sowieckie. Wśród nich

był felczer Włodzimierz Osmołowski, który w wielkiej tajemnicy przyznał się mamie, że jest Polakiem z Żytomierza. Rodziców jego zamordowali bolszewicy w pogromach 1917 roku, miał wtedy 7 lat, wychowała go babka, żona i córka były entuzjastkami Komsomołu. W rozmowie z mamą powiedział, że dopiero pierwszy raz w życiu mówi przy niej co myśli, czuje. Twierdził, że mama powinna opuścić majątek, opowiadał jak wiele widział okrucieństw i że na jej miejscu wolałby być pod okupacją niemiecką niż bezprawiu bolszewickim. Podobnie starszy wiekiem oficer (rangi już nie pamiętam), zaskoczony tym, że mama pięknie włada językiem rosyjskim okazał jej życzliwość mówiąc, iż powinna wyjechać z majątku, nie wolno jej tutaj zostawać.

Czas i dramatyczne wydarzenia przybierają niesłychanego tempa. We dworze prużańskim (Klub Obywatelski jeszcze działa) zamieszkaliśmy już razem z dziadziusiami i wujostwem z Bogusławiec. W Bogusławcach też ukształtował się komitet robotniczo – chłopski, pracownicy domagali się, aby wuj Stanisław przydzielił imienne poszczególnym rodzinom żywy inwentarz, by uniknąć nieporozumień co do „sprawiedliwego rozdziału”.

Szkoły są otwarte, zaczynam chodzić do polskiego gimnazjum, gdzie trzon grona pedagogicznego stanowią dawni profesorowie, dodano język białoruski i rosyjski w umiarkowanych proporcjach.

W pierwszych dniach października przybiega do nas p. T. Baczyński z Klubu z informacją, że o dziadka Józefa pytają dwaj enkawudziści. Dziadek informację przyjął ze spokojem, oficerowie powiedzieli, że potrzebne są jakieś wyjaśnienia i dziadek niedługo powróci. Dziadek znał bezprawie bolszewickie, ale i duma i godność nie pozwoliły mu uciekać. Za niespełna tydzień powtórzyła się historia, znów przybiegł życzliwy p. Baczyński z ostrzeżeniem, że oficerowie NKWD pytają o wuja Stanisława Czarnockiego, zatrzymywał Rosjan wódką, by ojciec, a potem syn mogli ukryć się. Żaden z nich z ucieczki nie skorzystał. I tak ojciec i syn osadzeni zostali w więzieniu „białym” w Prużanie. Ostatnią paczkę z żywnością i bielizną przyjęto około 10 lutego 1940 roku. Paczki dostarczała Olga Czarnocka (siostra mamy i wuja Stanisława) – ta, która odważyła się latać samolotem nad Prużaną w 1932 r, kiedy była maturzystką. Do dziś, mimo wielu poszukiwań, nie znamy ich losu, są domniemania, że wywieziono ich do Mińska i tam zabito (według informacji współwięźniów, zwolnionych przez Niemców po czerwcu 1941 r).

Zaraz po aresztowaniu wuja – reszcie rodziny nakazano natychmiast opuścić prużański dwór, który przejęła Armia Czerwona. Nasze mamy znalazły dom na obrzeżu miasta (u byłych pracowników), w którym tymczasowo zamieszkaliśmy (mama, ja, siostra oraz ciocia Irena z dziećmi), babunia zamieszkała osobno razem z ciocią Olgą.

Wskutek nasilających się aresztowań, za radą babci oraz przyjaciół mama i ciocia Irena, chcąc chronić

swoje dzieci postanawiają wyjechać do swoich krewnych w Generalnej Guberni. Niezwykłą pomocą służył p. Robert Gliński (który w czasie swych studiów na SGGW – praktykę rolniczą odbywał w Bogusławcach), który przybył z wiadomościami od rodziców cioci Ireny z Makowisk, że przetrwali nawałnicę wojny i czekają na swą córkę. On też podjął się organizacji przeprawy przez granicę na Bugu. Grupę „uciekierów” z Prużany stanowili:

- ciocia Irena z 9-letnim Staszkiem, 7-letnim Bohdanem, 5-letnią Majką
- mama z 12-letnim Andrzejem i 5-letnią Bogną
- grono przybyszy z Warszawy (kilkanaście osób).

Babcia nie chciała opuszczać Prużany, była już starsza i schorowana, miała duże dolegliwości sercowe, które pogłębiły się po aresztowaniu męża i syna, tu chciała oczekiwać na wyjaśnienie losu swoich bliskich. Została z nią niezamężna ciocia Olga.

Rankiem, 3 listopada 1939 r. opuściliśmy nasze kochane miasto, pojechaliśmy kolejką wąskotorową do Orańczyc, a potem normalną koleją do Brześcia nad Bugiem. Nocowaliśmy u krewnych cioci Maryni Dubińskiej, by rankiem, ze wszystkimi wsiąść do pociągu do Domaczewa (oczywiście mieliśmy udawać, że się nie znamy, by nie budzić podejrzeń). Stamtąd trochę wozem, trochę pieszo do gospodarstwa, gdzie czekaliśmy na dogodny czas przekroczenia granicy. Tym dniem miała być rocznica rewolucji październikowej, gdzie zakładano, iż żołnierze radzieccy strzegący granicy uroczystie ten dzień będą świętować. Była noc, ubrani na ciemno, mama z Bogną na rękę i niewielkim plecakiem, ja z plecakiem i walizką, podobnie pozostali – w ciszy szliśmy polnymi drogami, jakimś zagajnikiem. Czasem zza chmur wyglądał księżyc – wtedy należało usiąść w ciszy lub chować się w zaroślach, czy zagajniku – nareszcie dotarliśmy do Bugu, przeprawiono nas łodzią na drugi brzeg, gdzie czekało dość dużo ludzi (niektórzy z emocji nie potrafili milczeć). Raptem pojawili się Niemcy, usłyszeliśmy rozkaz: do wody!! Podniósł się pełen bólu i rozpacz rwtęs, ludzie wołają: potopimy się, ruscy nas zastrzelą. I nagle męski głos, jakiś Ślązak „dokumenty, tu chodzi o dokumenty” (czyli zaświadczenia o powrocie do miejsca zamieszkania). Sprawdzania dokumentów nie pamiętam, wiem tylko, że jakoś dobrnęliśmy do Sławatycz i pociągiem do Terespoła, a potem do Warszawy. Zatrzymaliśmy się na dłużej w Makowiskach koło Pajęczna w rodzinnym domu Meyerów – rodziców cioci Ireny. Tam przeżyłem pierwszą wigilię poza domem i bez najbliższych dla mnie. Potem przenieśliśmy się razem do Radomska koło Częstochowy.

Powróćmy jeszcze do Prużany, do dnia 10 lutego 1940 roku.

Po wywiezieniu polskich żołnierzy i oficerów – NKWD rozpoczęła aresztowanie polskiej inteligencji: ziemian, przemysłowców, lekarzy, prawników, nauczycieli, leśników, kupców w czterech etapach:

- 10 lutego 1940 r. wielka deportacja: leśników, osadników wojskowych po 1920 r, urzędników państwowych, lekarzy, ziemian...
- 13 kwietnia 1940 r. wywożono rodziny tych, których wcześniej aresztowano (czyli głównie kobiety z dziećmi, dorosłe rodzeństwo) oraz ludność mieszkającą przy granicy
- czerwiec i lipiec 1941 r. wywóz uciekinierów wojennych z centralnej Polski (którzy zatrzymali się u swych rodzin) oraz bogatych gospodarzy, rzemieślników, robotników, kolejarzy
- czerwiec 1941 to nabór deportacyjny z Wileńszczyzny.

Zakłada się, że wywieziono około dwóch milionów polskich obywateli. Deportowanych dzielono na potrzebnych i mało potrzebnych gospodarce. Mało potrzebni to kobiety z dziećmi i starcy, których wywożono na osiedlenie najczęściej do Kazachstanu.

Tak zesłano moją babcię i ciocię Olę w dniu 10 lutego 1940 r. do Akomolińskiej obłasci. Rozkaz wywózki pamieszczycy był bezwzględny, nie mogła chodzić, więc do pociągu zaniesiona została na kocu. Do opieki nad babcią dobrowolnie (!) zgłosiła się ciocia Olga. Babcia zmarła w drodze, wyrzucono jej ciało na śnieg. Ola pojechała na tułaczkę, cudem ocalała życie, wróciła w 1946 r. *Missa sine nomine!*

Do Prużany powróciły mama (z Bogną) i ciocia Irena (z Bohdanem) w sierpniu 1941 r, po wybuchu wojny niemiecko – rosyjskiej. Zamieszkały w wynajętym mieszkaniu podstawę bytu dał im sklepik, który powstał dzięki energii i inicjatywie cioci Ireny. Bogna przeżyła I Komunię św. w Prużanie w 1943 r, przygotowywał ją ks. Kazimierz Świątek, a Bohdan nauczył się ministrantury służąc ks. Kazimierzowi do mszy św.

Po wojnie dowiedziałem się pięknej historii o mojej niezwyklej mamie. Otóż przywiozła do Polski dziewczynkę – Zosię U., która w 1939 r przyjechała z War-

szawy do Prużany na wakacje do swego wuja księdza. Wybuchła wojna, nie było okazji do powrotu, NKWD aresztowało księdza, potem aresztowało siostrę księdza. Została na plebanii ze służącą, która zdecydowała się powrócić do rodziny na wieś. Zosia została sama, prawie nikogo nie знаła. Moja mama zabrała ją do Warszawy i oddała ją rodzinie. Zosia uważa moją mamę za świętą. Pomoc i wrażliwość na los drugiego człowieka była czymś naturalnym i oczywistym. Podobnie postąpiła ciocia Irena, opiekując się dzieckiem, któremu ojca aresztowano, przyjmując ją do swego domu jako swoje czwarte dziecko. Janka stała się darem i podporą swego rodzeństwa, a my ją bardzo kochamy, rodzina bez Janki byłaby zdecydowanie uboższa. Takie były nasze mamy.

Pora kończyć opowieści prużańskie, wydarzenia widziane oczyma dwunastoletniego chłopca. Ogromną podporą w moim życiu było przypominanie sobie naszego domu w Zasimowiczach. Jego obraz, kolory, hałasy, dźwięki, zapomniane wonie żyją we mnie niezwyklej barwami. Ten dom w dniach rozpacz i beznadziei miał słodycz miodu...

Ten stary dwór, zachowywał wszelkie cechy wiejskiej siedziby starszszlacheckiej. Nakryty był wysokim, czterospadowym dachem krytym gontem. Ozdobiony gankiem wspartym na czterech murowanych kolumnach zapraszał do wnętrza. Był budowlą parterową – na podmurówce – w całości drewniany, „zasiedziały” w pięknym parku z aleją dojazdową wysadzaną grabami i wiązami. Aleja lipowa, ze stuletnimi wtedy drzewami ujmowała ramionami dwór odgradzając od pól uprawnych...

„Kochasz ty dom, ten stary dach
co prawi baśń o dawnych dniach.
Omszałych wrót rodzinny próg,
co wita cię z cierniowych dróg”

(M. Konopnicka, *Pieśń o domu*)



Procesja Bożego Ciała w Prużanie, 1938 r. Foto – Mikołaj Rozanow

Mama moja niezwykle szlachetna i mądra (po okupacji przeżyła i doświadczyła wiele) modliła się psalmem 23: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć, przywraca mi życie”. Zmarła w 1975 roku. Dzieci jej ukończyły studia wyższe (Bogna fizykę, ja chemię). Mieszkamy w Warszawie.

Na koniec chciałbym podziękować z całego serca mojej ukochanej żonie Barbarze, która inspirowała i wspierała mnie przy pisaniu tych wspomnień oraz przeprosić tych wszystkich, których pamięć dwunastolatka nie objęła.

Andrzej Święciński
Warszawa, 2011 r.

Wybitni Prużanianie:

dr Augustyn Pacewicz

Augustyn Ludwik Bartłomiej Pacewicz – syn Konstantego Pacewicza i Karoliny ze Szrettwórw, ur. 1847 r. 24 sierpnia w Prużanie, ochrzczony w tamtejszym kościele parafii rzymskokatolickiej w dn. 28 sierpnia 1847 r., proboszcz ks. Justyn Witkowski; rodzice chrzestni: Walenty z żoną Józefą Herminą Szwykowsy (właściciele majątku Czadel, dawni właściciele majątku Prużany).



Dr Augustyn Pacewicz, po powrocie do Prużany zatrudniony jako lekarz wojskowy w koszarach rosyjskich w Prużany w randze pułkownika.
Foto sprzed 1914 r.

terze lekarza marynarki wojennej floty bałtyckiej portu w Kronsztacie. Zwolniony na skutek ciężkiego zapalenia stawów (asysta stała na morzu na łodziach przy manewrach wojskowych).

Od 1885 do 1915 – praktyka prywatna i równoczesne państwowe zatrudnienie jako lekarz wojskowy w randze

Augustyn Pacewicz ukończył gimnazjum w Grodnie, był wożony „do szkół” razem z Józefem Ignacym Kraszewskim oraz późniejszym biskupem Łozińskim, stąd z obojgiem przyjaźń do końca życia.

W 1888, 9 czerwca poślubił Zofię Hołownię (ur. 1870 w Żytomierzu, zm. 1956 w Częstochowie). Z nią miał 7 dzieci – 4 synów i 3 córki (ur. od 1890 do 1906 w Prużanie).

Studia medyczne w Akademii Wojskowo-Lekarskiej w Petersburgu ukończył w r. 1876. Od 1887 do ok. 1885 r. był zatrudniony w charak-

pułkownika w koszarach wojsk rosyjskich pod Prużaną. W tychże latach – Honorowy Sędzia Pokoju w Sądzie Prużańskim w Prużanie.

W sierpniu 1915 r., w czasie I wojny światowej, ewakuowany wraz z rodziną do Petersburga. Pracuje tam w prywatnej lecznicy i jako lekarz w przychodni kolejowej. Wraz z rodziną przeżywa rewolucję bolszewicką 1917 oraz wielki głód w r. 1918 w Petersburgu.

Powrót do Prużany wraz z rodziną w końcu lipca 1918 r., owacyjne powitanie przez ludność Prużany. Powrót do praktyki lekarskiej do lat 1926/7.

Na 50-lecie praktyki lekarskiej (1876-1926) odznaczony orderem Polonia Restituta, dekorowany przez delegata Rządu w Prużanie (klasa orderu nieustalona).

Z tej okazji główna ulica miasta Prużany, przy której miał posesję i dom (od roku 1909), nazwana imieniem dr. Augustyna Pacewicza. Z tejże okazji w szpitalu miejskim ufundowano dwa darmowe łóżka dla najuboższych Jego imienia.

Ostatnie dwa lata życia już nie praktykuje, jeszcze obłożnie leżącym udziela porad na prośby najbardziej potrzebujących pacjentów. Zmarł w połowie czerwca 1928 r. Miał bardzo uroczysty pogrzeb z nabożeństwami w świątyniach wszystkich wyznań w Prużanie.

Pochowany na cmentarzu prużańskim we własnej, dużej kwaterze rodzinnej, gdzie byli przedtem chowani Szretterowi, Pacewiczowie i Zdziechowskie, Hołowniówna i Sadowiska. Na wyraźne żądanie dr Pacewicza pogrzeb był bardzo skromny – mogiła ziemna, trumna sosnowa i krzyż drewniany z ryngrafem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Zasłużony lekarz-filantrop, doskonały położnik. Leczący darmo całą biedotę wiejską – białoruską i miejską – żydowską. Często finansował pacjentowi wykupienie lekarstwa w aptece. Prowadził wieloletnie obserwacje medyczne, które przekazywał do Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Warszawie. Notowany w historii medycyny polskiej; wzmiankowany przez dr Karola Nitkiewicza, *Spojrzenia wstecz*, W-wa 1970, s. 59-60.

Częstochowa, 15 marca 2011 r.

Opracowała: **Zofia Rozanow**,
cóрка Mikołaja i Pauliny z Pacewiczów,
druga wnuczka dr Augustyna Pacewicza.



Zofia Rozanow



Ulica Pacewicza

Szymon Starowolski

- urodzony w Prużanie

Szymon Starowolski (1588–1656) był historykiem, pisarzem, poetą i kaznodzieją. Jest autorem przeszło 60 pism polskich i łacińskich dotyczących historii, polityki, teologii, moralistyki, muzyki, obszernych zbiorów kazań, słowników pisarzy i mówców. W tomie zebrano fragmenty z pism historycznych: Strawa historyczna, Setnik pisarzy polskich, który jest pierwszą próbą napisania historii literatury polskiej, Wojownicy sarmaccy, Żywoty biskupów krakowskich, Nagrobki Sarmatów. Są tu także teksty publicystyczne, jak Dwór cesarza tureckiego, Prawy rycerz, Zguba ojczyzny – stacyja, panegiryki i kazania oraz satyra polityczno-społeczna Prywata Polską kieruje (1632).

Kim był Szymon Starowolski i jaki związek miała jego osoba z sarmatyzmem? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie najlepiej zacząć od przedstawienia samej postaci. Szymon Starowolski (1588-1656) był polihistorem, poetą, kaznodzieją. **Syn ubogiego bojara spod Prużany**, lata młodości spędził w otoczeniu J. Zamoyckiego; jako opiekun synów magnackich podróżował po Europie. W 1620 pracował jakosie kretarz J. K. Chodkiewicza. Ukończył studia na Akademii Krakowskiej. Za namową bpa. J. Zadzika przyjął w 1639 r. święcenia kapłańskie, pod koniec życia został kanonikiem katedry wawelskiej.

Starowolski był pisarzem ruchliwym, ogłosił przeszło 60 pism pol. i łac. z zakresu historii, polityki, teologii, moralistyki; autor obszernych zbiorów kazań; swoją twórczością pragnął służyć aktualnym potrzebom Rzeczypospolitej; głosił pochwałę Polski za granicą, krytykował wady obyczajowe i polityczne szlachty i duchowieństwa, ujmował się za uciskany chłopem. Z zainteresowań dla dziejów piśmiennictwa ojczystego wyrosły dwie prace: *De claris oratoribus Sarmatiae* oraz *Monumenta Sarmatarum*, zbiór napisów na nagrobkach polskich. Te pierwociny historiografii literackiej wyrosły z ogólnego zainteresowania tradycją i kulturą narodową, z potrzeby samookreślenia wobec Europy, z wyraźnego w całym baroku kultu rodzimości.

Starowolskiego interesowała szczególnie problematyka obyczajów polskich.

Jego poglądy i obserwacje obyczajowe wyrażone zastały w wielu dziełach, szczególnie w ogłoszonych pod koniec życia programowych syntezach: *Arka Testamentu zamykająca w sobie kazania niedzielne...* oraz *Reformacja obyczajów polskich*, płynęły z określonego rozumienia państwa jako całości. W *Reformacji obyczajów...* Starowolski uznaje, że państwo opiera się na trzech stanach. Szlachta sprawuje rząd i broni Rzeczypospolitej, duchowieństwo kieruje rozwojem religii, obyczajowości i moralności społecznej, pospólstwo natomiast przez uprawę roli i rzemiosła utrzymuje ów organizm. Podział ten nie podlega dyskusji, ponieważ jest to ostateczny rezultat przedwiecznej decyzji Boga, a nie umowa społeczna. Tak oto Starowolski motywuje ów podział:

„Natura z woli Bożej jedne ludzie do posłuszeństwa, a drugie do rozkazywania stworzyła, i te do posłuszeństwa obróciła, które rozumem małym opatrzyła, a owe do rozkazywania, którzy w rozumie i w cnocie przodek przed drugimi mają”.

Zauważa on także w warstwach kierujących rządem i moralnością społeczną proces upadku i rezygnacji z podtrzymywania tradycji „świętych przodków”: upada „vera nobilitas”, czyli szlachectwo oparte na wewnętrznych wartościach jednostki. Starowolski uważał, że „vera nobilitas” to dziedzictwo, które wymaga potwierdzenia, ale nie w urzędzie, lecz na forum publicznym i wojennym

„Gdy się tedy szlachectwem chlubimy, nie swem dobrem, ale cudzym, nie swą, ale cudzą ozdobą się zdobimy i chlubimy, która jako cudza suknia albo pożyczana rychlej nam sromotę niż pocziwość uczyni, jeśli sami własnej ozdoby i pocziwości skądinąd szukać nie będziemy. Bo szlachectwo stałej konfirmacji, by nie wywietrzało, potrzebuje, nie od króla ani od Rzeczypospolitej, ale od własnej cnoty i dzielności, którą byśmy się oświadczyli przed wszystkimi, że nie odstępujemy od zacności przodków naszych”.

Tak samo ostro ocenia Starowolski stan duchowny, który według niego nie spełnia swoich zadań. Chcąc przywrócić „utraconą” – jak sądził – harmonię współżycia, przypomina szlachcie, że dawniej panowie nazywali poddanych dziećmi i nie słyhać było, „żeby ich nazywa-



Okładka książki „Wojownicy sarmaccy”

Komentarz:

Tytuł oryginału: „Sarmatiae belatores” z roku 1631. Prezentowane dzieło gromadzi 130 biografów władców i rycerzy polskich, zaczynając od Mieszka I, a na Stefanie Chmielnickim kończąc. Układ pojawiających się postaci jest chronologiczny i podzielony na dwie części: 1 - władcy, 2 - wojownicy. Wśród najbardziej znanych biografów osób należy wymienić: Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego, Bolesława Śmiałego, Kazimierza Sprawiedliwego, Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełło, Zawiszę Czarnego, Kazimierza Jagiellończyka, Stefana Batorego, Stanisława Żółkiewskiego i Karola Chodkiewicza. Dzieło zawiera także ilustrowane kopie oryginału, a całość poprzedzona jest obszernym wstępem, w którym zawarte są informacje na temat: 1. Tradycje biografistyki polskiej, 2. Główne przejawy działalności Starowolskiego-biografa, 3. Koncepcja historyczna i literacka „Wojowników sarmackich” i osiągnięcia pisarza, 4. Uwagi edytorskie.

li natenczas takiemi a takiemi synami, chłopami i niemymi bestiami i inszymi obrzydliwymi tytułami". Duchowieństwu natomiast przedstawia ewangeliczne metafory owiec i wilków, pasterzy i stada. Starowolski chciałby widzieć współczesność jako zbiór ludzi ściśle realizujących powołanie stanowe, by w ten sposób zajaśniała wartość ustroju.

Wielokrotnie rozprawia się on z dworskimi wzorami kultury, sprzecznymi z chrześcijańską surowością i sarmacką tradycją; wysokie mniemanie o powołaniu jednostki zmusza go także do poprawiania Skargi, kiedy opierając się na jego dziele (Żołnierskie nabożeństwo), tworzy wizerunek Prawego rycerza. obrońca chrześcijańskiej Rzeczypospolitej to nie żołnierz, lecz rycerz, „**bo ten, co żołąd bierze** - wyjaśnia autor - **zwie się żołnierzem**

od włoskiego słowa <> i już nie ma tej prerogatywy co rycerz, bo duszę swoją za grosz sprzedaje, kto mu jeno zapłaci, a rycerz tylko swojej Rzeczypospolitej broni, sumptem tym, który ma z majątności swojej".

Trzy stany Rzeczypospolitej to temat często poruszany przez Starowolskiego. To właśnie sytuacja jaka panowała wtedy w państwie, gdzie istniał taki podział, a nie inny, gdzie szlachta pełniąc najważniejsze role ciągle przypominała o swoich prawach, prowadziło do ciągłych przemysleń na ten temat. Przemysleń i często także krytyki...

Bibliografia:

- 1) Hernas Cz., Barok, Warszawa 1972, s.298-306.
- 2) Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny N-Ż, wyd. 3, t.2, Warszawa 1985.

Mikołaj Rozanow

Mikołaj Rozanow należał do tego pokolenia ludzi, których dorosłe, aktywne życie kształtowało się i przebiegało pomiędzy dwoma wojnami światowymi lat 1914-1918 i 1939-1945.

Urodzony w Petersburgu w 1898 r. kształcił się w latach 1908-1915 w Korpusie Kadetów, a następnie w Wyższej Wojskowej Szkole Inżynieryjnej w Petersburgu. W wieku lat 18 w 1816r. został powołany do wojska w Gwardyjskim Pułku Saperów. W marcu 1918 r. przedostał się do Wilna, należał do Samoobrony Wileńskiej, był adiutantem płk. Jerzego Dąbrowskiego, a następnie od 1919 roku wstąpił do 13. pułku ułanów. W listopadzie tegoż roku **brał udział w odbiciu Prużany z rąk bolszewików**. Wówczas poznał doktora Augustyna Pacewicza wraz z całą rodziną, z którego córką Pauliną pobrali się w roku 1924. Mieszkając w Prużanie pracował jako urzędnik w Starostwie i w Sejmiku Powiatowym. Jako oficer rezerwy w roku 1939 został 27 sierpnia zmobilizowany i przydzielony do dowództwa fortyfikacji w Baranowiczach. W trakcie działań wojennych w roku 1940 poprzez Litwę



i Szwecję dostał się do Francji i Armii Polskiej, później był w Dywizji Warszawskiej, jako adiutant gen. Tadeusza Kossakowskiego. Po upadku Francji został ewakuowany do Wielkiej Brytanii z I Korpusem Polskim, gdzie w Szkocii stacjonował w Edynburgu. Od roku 1942 przebywał z II Korpusem Polskim w Iraku i Palestynie. W roku 1943 w stopniu kapitana uczestniczył w kampanii włoskiej. W 1946 roku wraz z Wojskiem Polskim powrócił do Wielkiej Brytanii, zgodnie z uprawnieniami dla polskich kombatanów w latach 1947-1948/9 ukończył anglistykę na Uniwersytecie w Cambridge.

Do Polski powrócił w 1949r., zamieszkał w Częstochowie, gdzie po wojnie osiadła Jego Rodzina. Pracował jako inżynier budowlany w Zjednoczeniu Budownictwa Mieszkaniowego, równocześnie prowadził naukę języka angielskiego. Należał do inicjatorów utworzenia pierwszej Częstochowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Zmarł 31 grudnia 1977 roku w Częstochowie, został pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Kule.

Książka autorstwa Mikołaja Rozanow – „Powiat Prużański (Szkic historyczny)” wydana w roku 1935 nakładem drukarni Prużańskiego Powiatowego Związku Międzykomunalnego

Publikacja ta wówczas uznana za wnikliwe studium historyczne, została też w r. 1935 nagrodzona przez Polską Akademię Literatury, zaś z osobą samego Autora łączono nadzieje na jego dalszą, owocną pracę badawczą.

Warto bowiem nadmienić, że w pracy tej, powstałej przed 76-ciu laty, Autor oparł się na szeroko i wnikliwie przeprowadzonych badaniach źródłowych, dotyczących nie tylko faktografii historycznej, lecz także zagadnień socjologicznych. Badania obejmowały rozróżnienia grup etnicznych Polesia, zasiedlenia wsi, majątków i miast od XVI wieku do lat 1930, stan posiadania dóbr ziemskich przez określonych właścicieli i zmian własności. Przy czym obok relacji opisowej Autor wprowadził, nowatorską wówczas metodę, danych statystycznych opracowanych w oparciu o dane procentowe i zestawienia tabelaryczne. Na końcu tekstu pod tytułem Dodatki (s.118-138) zamieszczony został aneks zawierający w całości przedrukowane akty przywilejów nadanych dla Prużany, Szereszewa, Rewiatycz z lat 1589, 1740, 1793, łącznie pięć aktów nadań. Są to obecnie dane bezcenne, gdyż większość tych dokumentów już nie istnieje".

(Zob. Informacja na str. 60)

Franciszek Lachocki

Franciszek Lachocki, poeta, który stał się symbolem emigracji. Informacje dotyczące jego biografii są niezwykle ubogie i zawierają jedynie podstawowe



fakty. Urodził się w 1899 r. w Prużanie. Z pochodzenia był Polakiem o wykształceniu średnim. Pełnił funkcję inspektora w wydziale finansowym w Prużanie. Zamieszkały w obwodzie brzeskim (Prużana, ul. Sowiecka 67). Został aresztowany 14 marca 1940 r. i skazany przez specjalne kolegium NKWD ZSRR 21 sierpnia 1940 r. Oskarżono go z art. 74 Kodeksu Karnego BSRR i zakwalifikowano jako element społecznie niebezpieczny. Skazany na 8 lat obozów poprawczo-robotniczych. Karę odbywał w Uchtizemłagu w Komi ASRR. 8 września 1941 r. został zwolniony. Zrehabilitowany 12 lipca 1989 r. przez Zarząd KGB i prokuraturę obwodu brzeskiego.

Z dodatkowych informacji wiadomo, że w ZSRR należał do Armii Andersa, utworzonej z wziętych do niewoli Polaków. Wtedy też odbyło się jego spotkanie z rodziną, którą zwolniono z kazachskiej zsyłki. Potem były: Iran, Bliski Wschód, Włochy, bitwa pod Monte Cassino... Po wojenne życie rozpoczął w Wielkiej Brytanii, a od 1950 r. mieszkał w USA. Tam białoruski Polak napisał wiele wierszy poświęconych porzuconemu Polesiu.

Z jego twórczości dowiadujemy się jak wyglądało mieszkanie Poleszuków („dom

wraz z chlewami pod jednym dachem, pokryty słomą, pożaru strachem”). Możemy również zobaczyć jak się ubierali, co stawali na stole, co kupowali w mieście po sprzedaniu drewna („za resztę kupi soli i nafty, a czasem także nici na hafty”), za co otrzymywali rozgrzeszenie w cerkwi („za grzechy wiejskie – kłótnię, niezgodę, albo że bydło zrobiło szkodę”), jak bawili się w długie jesienne wieczory („taniec jak furia – zatrząsie chatą, poniesie w wirze młodzież skrzydlatą”). Autor opisywał jak w poszukiwaniu lepszego losu Poleszuk wyprawił się za ocean, a po powrocie „znowu gnój wozi, znowu niedola. Tylko że teraz ma więcej pola”.

Oddanie ojczyźnie, umiłowanie jej przyrody i ludzi charakteryzują lirycznego bohatera wierszy Franciszka Lachockiego. To przejaw boskiej miłości, do której powołany jest każdy z nas.

Poeta drukował swoje wiersze w Londynie oraz USA. W jego twórczości znalazły się takie pozycje, jak:

- Gniazda jaskółcze (zbiór wierszy, wyd. I 1970)
- Modrzewiowy dom (zbiór wierszy, wyd. I 1971)
- Na brzoźowej korze (zbiór wierszy, wyd. I 1980)
- Nad Muchawcem (zbiór wierszy, wyd. I 1987)
- Polesie (zbiór wierszy, wyd. I 1987)
- Za koronkowe wieczory (zbiór wierszy, wyd. I 1984)

W wierszu „Testament” Franciszek Lachocki prosił:

*Nie zgubcie mego nazwiska...
– z poleskich moczarów wyrosło,
po drogach poleskich chodziło!..*

Drodzy Czytelnicy! Redakcja będzie wdzięczna za każdą informację, za zbiory wierszy Poety Ziemi Prużańskiej, Barda Polesia! Nie zgubmy Jego twórczości! Pragniemy w przyszłości zorganizować wśród szkół poleskich konkursy poetyckie i recytatorskie im. Franciszka Lachockiego oraz wydać zbiór wierszy i przekazać nieodpłatnie do każdej poleskiej szkoły i biblioteki. Planujemy także tłumaczenie wierszy poety na język białoruski.

KRÓTKA HISTORIA KOŚCIOŁA PRUŻAŃSKIEGO

Historia parafii w Prużanie ma swój początek w **1552** – Zbudowano tutaj drewniany kościół, prawdopodobnie fundacji królowej Bony, który potem spłonął. W **1857** – rozpoczęto budowę nowego murowanego kościoła w centrum miasta, ale nie został on ukończony. Po Powstaniu Styczniowym nastąpiła konfiskata przez Rząd Rosyjski, i przebudowa na cerkiew prawosławną. Po 24 latach w **1881** – władze carskie wyasygnowały 22.000 rubli i rozpoczęto budowę obecnego kościoła. Już 29 IX **1883** – Zakończono budowę kościoła i przekazano rzymsko-katolickim władzom duchownym. Rok później – 8 IX **1884** nastąpiła uroczysta konsekracja kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia N.M.P., św. Anny i św. Karola Boromeusza przez biskupa Diecezji Wileńskiej Karola Hryniewickiego. W pięknym stanie zachował się nawet po II wojnie światowej.

Wojna nie służy niczemu dobremu, tylko zniszczeniu i unicestwieniu wielu istnień. Po jej wybuchu i Prużany miała bardzo ciężką sytuację. W końcu września 1939 roku, zapanowały porządki hitlerowskie, które pozbawiły życia wielu obywateli, skazały ich na tułaczkę i przymusowe roboty na terenie Rzeszy.

Jednak dla parafii prużańskiej wyzwolenie przez wojska sowieckie nie przyniosło niczego dobrego. Już 17.12.1944 roku został aresztowany ksiądz wikariusz Kazimierz Świątek (obecny kardynał i administrator Apostolski Diecezji Pińskiej) i zesłany na 10 lat w Sybir. Historia proboszcza parafii ks. Antoniego Rojko również nie była do pozazdroszczenia. W niespełna dwa lata później – 26.04.1946 roku, zmuszony został wyjechać do Polski, gdyż pozostanie na miejscu w Prużanie, zakończyłoby się zsyłką na Sybir. Jeszcze przez dwa lata kościół funkcjonował – wierni zbierali się na modlitwę najczęściej bez kapłana. Nie podobало się to ówczesnym władzom powiatowym i postanowiły zamknąć kościół i opieczetować drzwi. Dokładna data tego smutnego wydarzenia to 02.03.1948 r. Kościół był pozostawiony na pastwę losu, by powoli acz sukcesywnie niszczyć. Dopiero 02.10.1950 roku, przypomniano sobie o Nim i uczyniono dokładny spis inwentarza. Dewastacja Kościoła przez władze powiatowe rozpoczęła się na dobre – 19.04.1951 roku. Wtedy to, postanowiono przeznaczyć kościół na „dom kultury socjalistycznej”. Rzeczy kościelne tj; ornaty, kapy, bielizna kościelna, zostały przeznaczone nieodpłatnie na przygotowanie kostiumów teatralnych. Taka to była kultura socjalistyczna, która postanowiła niszczyć to, co istotnie miało wielką wartość duchową i historyczną. Szczegółem

wandalizmu było to, co się stało po 29.09.1954 roku! Organy kościelne zostały całkowicie zniszczone, gdyż jak głosił akt potwierdzający, „...instrument muzyczny (organy) uległ zniszczeniu, bo nie był nikomu potrzebny”. Specjalna komisja postanowiła: części metalowe sprzedać na złom, natomiast części drewniane przeznaczyć na opał, dla ogrzewania tak zwanego „domu kultury.”

Z pewnością w tych latach dokonano także wewnętrznych przeróbek oraz przebudowy kościoła, polegających na wyburzeniu czterech filarów i sklepienia, zrobieniu piętra (na dole sala widowiskowo-dyskotekowa, a na piętrze siedem pomieszczeń przeznaczonych dla administracji i kółek zainteresowań. Zdjęto także kamienną posadzkę, przebudowano okna oraz postawiono dwanaście kaflowych pieców.

Wandalizm dotknął nie tylko budynku sakralnego, lecz i życia duchowego wiernych. Ci, którzy nie wytrzymali i poddali się smutnej ideologii, obecnie nie mogą znaleźć sobie miejsca. Wiele osób w podeszłym wieku i schorowanych – skarży się na swoje zdrowie. Jeżeli w młodości uczestniczyli w imprezach organizowanych przez „dom kultury socjalistycznej”, teraz wszelkie niedomagania przypisują tym okolicznościom. Żałują i płaczą – pytają: „co mam zrobić, aby Pan Bóg mi przebaczył?” Jakże ciężko jest przekonać człowieka w rozpacz do tego, że Bóg jest pełen miłosierdzia...

Lata osiemdziesiąte, przyczyniły się do jeszcze większej ruiny budynku kościoła! Pojawiła się możliwość budowy nowego domu kultury, dlatego nikt nie dbał o stary. Na dachu byłego kościoła zaczęły wyrastać drzewa (samosiejki), ponieważ nikt nie oczyszczał liści z dachu. Gnijące liście były dobrą pożywką dla nasion znajdujących się w spływach rynien i w szczelinach.

Początek lat dziewięćdziesiątych przyniósł promyczek nadziei. Dzięki wielkiej determinacji oraz odwadze Pana Stanisława Lickiewicza – starosty i kościelnego, który te funkcje pełnił do ostatnich swych dni (zmarł 14.08.2006 roku, w wigilię odpustu parafialnego poświęconego Wniebowzięciu Najświętszej Panny Maryi), władze upadającego komunizmu poszły na ustępstwa. Dzięki śp. Stanisławowi i ludziom, których zebrał wokół siebie, udało się uzyskać pozwolenie na przyjazd księdza do Prużany.

4 VIII 1991 – oficjalnie rozpoczął posługę duszpasterską ks. Edward Łojek ze Zgromadzenia Misji św. Wincentego a Paulo. Jednak trudności nie brakowało. Budynku kościelnego nie chciano oddać, dlatego też jeszcze w październiku tegoż samego roku, gru-



pa parafian odmawiała Modlitwę Różańcową przed budynkiem kościelnym. Niejednokrotnie przepędzały ją stąd władze administracyjne. Ta determinacja doprowadziła w końcu do tego iż, 2 XII 1991 – władze zezwoliły na odprawianie Mszy św. w niedzielę i święta w godzinach od 10.00 do 14.00 w sali widowiskowej i oddali wiernym na stałe jedno pomieszczenie na piętrze. Już 08.12. 1991 – w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryii Panny i II Niedzielę Adwentu – odprawiona została pierwsza Msza św, w której uczestniczyło ponad 300 wiernych.

I znów były pisma, prośby, delegacje Komitetu Parafialnego do różnych urzędów! Odpowiedzią było często zastraszanie, ale po czternastu miesiącach osiągnięto upragniony cel. Bo oto 01.02.1993 – nastąpiło oficjalne i całkowite przekazanie budynku kościelnego wspólnocie katolickiej w Prużanie!

06.02.1993 roku, z racji oddania kościoła, odprawiona została uroczysta Msza św. koncelebrowana, której głównym celebrawcą był J.E. Ks. Arcybiskup Kazimierz Świątek.

W 1993 roku rozpoczęto pracę rekonstrukcyjną budynku kościelnego między innymi: usunięto scenę widowiskową, odsłonięto zamurowane okna, w prezbiterium i zakrystiach, obniżono do dawnego poziomu podłogi. Dzięki życzliwości profesora Wiktora Zina z Krakowa, Instytut Konserwacji Zabytków Politechniki Krakowskiej nieodpłatnie przeprowadził inwentaryzację całego obiektu i sporządził dokumentację pierwszego etapu rekonstrukcji kościoła. Kosztorys rekonstrukcji kościoła w Prużanie obliczony został na kwotę około 100.000 USD.

W latach 1993-98 zostały wykonane następujące prace rekonstrukcyjne i remontowo-budowlane: zostały odtworzone cztery filary podtrzymujące całe sklepienie i dach. Wyburzono dwanaście pieców i dziesięć kominów, które bolszewicy pobudowali dla ogrzewania „domu kultury socjalistycznej”. Zdjęto stary dach i po wymianie zniszczonych części więźby, założono nowy, pokryty nową blachą ocynkowaną. Wyburzono stare, drewniane okna w ilości 30 sztuk oraz wstawiono nowe, metalowe o takim wyglądzie jak dawniej, wykonane w Polsce na zamówienie. Usunięto wszystkie ściany i sufity, które tworzyły pomiesz-

czenia na piętrze, a także inne przybudówki i nadbudówki. Zostały odtworzone łuki i sklepienia, a nadwyřżone ściany wzmocniono specjalnymi ściągam i wieńcem żelbetowym. Założono instalacje elektryczną oraz nagłośnieniową. Wytynkowano cały kościół wewnątrz i zewnątrz, a także pomalowano białą farbą emulsyjną. Zrobiono betonowe wylewki na całym kościele i w zakrystiach, a posadzki wyłożono aglomarmurem (w prezbiterium) i płytką ceramiczną. Umeblowano zakrystię i prezbiterium. Dzięki ofierze z Niemiec, w 1999 roku w postaci ławek – zrobiono i dostosowano je do wymiarów kościoła, a także wstawiono dwa nowe, wykonane w Polsce konfesjonały.

I tak 14.08.1998 roku, Jego Eminencja Ks. Kazimierz Kardynał Świątek dokonał uroczystej rekonsekracji prużańskiej świątyni.

Równolegle z odbudową kościoła, czyniono wysiłki, aby świątynie serc ludzkich, również tak bardzo zniszczone przez bezbożny system, mogły napełniać się wiarą, nadzieją i miłością. Od początku duszpasterzowania księdza Edwarda Łojka CM - misjonarza z Polski prowadzono systematyczną katechezę, przygotowanie do sakramentów świętych, działalność dobroczynną. Organizowano wypoczynek dzieci i młodzieży połączony z edukacją religijną, a także próbowano obudzić świadomość religijną wśród katolików zamieszkujących odległe wioski nawet do 40 km.

Poprzez regularne sprawowanie Eucharystii i sakramentów świętych w domach wiernych tam, gdzie nie było kaplicy ludzie odnajdywali sens własnej egzystencji. Nie udało się w tak krótkim czasie odbudować prużańskiej świątyni i dokonać tak wiele, gdyby dobry Bóg nie postawił ofiarnych ludzi na tej samej drodze, której na imię – „troska o Boży Dom”. Do 2005 roku, udało się uporządkować teren wokół kościoła i wykonać ogrodzenie. Postawiono Jubileuszowy Krzyż w miejscu zniszczonego przez komunistów Pomnika Chrystusa Zbawiciela z 1934 roku.

Od 01.01.2006 roku nowo mianowanym proboszczem został ks. Robert Iskrzycki CM, który stara się o całą miejscową wspólnotę. Organizuje różne formy duszpasterstwa dla wszystkich grup wiekowych, spotkania kulturalno-oświatowe, kółka zainteresowań oraz czynny odpoczynek. Dzięki dobrze układającej się współpracy w dekanacie, wspólnoty różnych parafii mogą się spotykać i jeszcze bardziej utwierdzać się w wierze i świadczyć o niej.

Prużańska wspólnota wdzięczna jest wszystkim, dzięki którym może cieszyć się z odbudowanego kościoła. Swoją wdzięczność wyraża poprzez modlitwę i staranie o piękno kościoła. Gestem naszej wdzięczności jest również dbanie o mogiły zmarłych, których krewni żyją z dala od swojej rodzinnej Prużany, bądź ich już nie ma wśród żywych...

Wszyscy zmierzamy do Tego Niebieskiego Kościoła! My radzi jesteśmy, iż tym, który nam Go przybliży jest właśnie Kościół Prużański.

Opracował na podstawie Kroniki Parafialnej -
Ks. Robert Iskrzycki CM



PRUŻAŃSKIE LOSY

Wspomnienie o niezwykłej Matce Chrzestnej

Polesie nigdy nie rozpieszczało swoich mieszkańców. Surowa natura, trudne warunki bytowania, położenie na niespokojnym przez wieki pograniczu między różnymi cywilizacjami zahartowały mieszkańców, pracowitych i upartych, odpornych na wszelkie nieszczęścia i przeciwności losu. Dotyczyło to – rzecz może trochę dziwna – zarówno rodowitych Poleszów jak też i tych, których los osadził wśród rozlewisk leniwie płynących rzek, lasów i przepaścistych bagien.

Od niemowlęstwa przebywałam w samym sercu tej krainy, nieopodal Prużany. W latach dzieciństwa i wczesnej młodości przeszłam dużo, podobnie jak wielu mieszkańców tych ziem w tamtych okropnych czasach, ale nie wiadomo jak tragicznie potoczyłyby się moje losy, gdyby nie serdeczna pomoc ludzi. I właśnie o najważniejszej z nich dla mnie, o kobiecie, która zastąpiła mi i matkę i ojca, która stworzyła dla mnie serdeczną i prawdziwą rodzinę, chciałam tą drogą przekazać moje wspomnienia, aby choć w ten skromny sposób wyrazić swoją dla Niej wdzięczność, miłość i szacunek.

Irena Czarnocka zawitała na Polesie w 1927 roku jako żona Stanisława Czarnockiego, herbu Lis Bzura, właściciela dużego majątku Bogusławce w okolicach Prużany. Majątek ów, Bogusławce, był prowadzony nowocześnie, czego dowodem był i młyn, i spora serowarnia, a w jego zarządzaniu brała udział również młoda i bardzo energiczna dziedziczka. Małżonkowie poznali się na studiach w Warszawie w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. On był młodym weteranem wojny 1920 roku, ona pochodziła z ziemiańskiej rodziny środkowej Polski. Jak to było w zwyczaju, dziedziczka, oprócz współgospodarzenia, służyła radą i pomocą rodzinom pracowników, a nieraz stanowiła pierwszą pomoc medyczną. W kolejnych latach urodziło się troje dzieci: Stanisław, Bohdan i Maria.



Do majątku Czarnockich należały również lasy, gdzie leśniczym był mój ojciec i gdzie w leśniczówce w miejscowości Smolanie spędziłam lata wczesnego dzieciństwa.

Po przedwczesnej – niestety – śmierci mojej matki, odbył się mój chrzest, a matką chrzestną – jakżeby inaczej – została Irena Czarnocka, dziedziczka majątku Bogusławce.

Wtedy to właśnie zostały przez nią wypowiedziane słowa: „Od dziś ja jestem twoją matką”, słowa, którego dotrzymała do końca swojego pracowitego życia i które po dziś dzień tkwią na stałe w moim sercu.

Dzieciństwo, w czasie którego ojciec-leśniczy wychowywał mnie raczej na chłopaka i który zaszczylił mi umiłowanie natury a lasów w szczególności, zostało brutalnie przerwane w 1939 roku. Jednym z pierwszych działań „wyzwoliciele-okupantów” było wygnanie państwa Czarnockich z rodzinnego gniazda, a wkrótce potem zaarrestowanie dziedzica Stanisława, a także jego ojca, Józefa Czarnockiego, właściciela nieodległego majątku. Po dwóch panach Czarnockich po pewnym czasie słuch zaginął i po dziś dzień są nieznane ich tragiczne losy, natomiast władza sowiecka zdecydowała, że żonę Józefa, Raisę Czarnocką należy zesłać na Sybir podczas niezwykle mroźnej zimy 1939/40. W wywózce towarzyszyła jej dobrowolnie córka. Los Raisy Czarnockiej dokonał się w trakcie transportu. Któregoś dnia zmarła ona, a ciało zostało wyrzucone przez konwojentów w śnieg na stepie. Irena Czarnocka wraz z dziećmi nie czekała na spodziewane kolejne decyzje „wyzwoliciele” i zdołała przedrzeć się przez nową granicę do okupowanej przez Niemców Generalnej Guberni.

W pierwszym okresie sowieckiej okupacji mój ojciec pracował w dalszym ciągu w lesie, a ja zamieszkałam na stacji u tamtejszego batiuszki w Rużanie, gdzie chodziłam do szkoły z językiem wykładowym rosyjskim. W 1940 roku został zaarrestowany mój oj-

ciec, a ja znalazłam opiekę u moich dobroczyńców, państwa Pisanków w Prużanie, gdzie chodziłam do szkoły, dla odmiany z polskim językiem wykładowym. Z rodziną państwa Pisanków do dziś utrzymuję serdeczne stosunki.

Kolejna gwałtowna zmiana sytuacji młodej dziewczynki nastąpiła w czerwcu 1941 roku, gdy do Prużany wkroczyli Niemcy. Szczęśliwie dla mojego ojca władza sowiecka uciekała w takim popłochu, że NKWD nie zdążyło ani wywieźć, ani zamordować – co zresztą było w zwyczaju – część więźniów, wśród których znalazł się mój ojciec. Oboje zamieszkaliśmy w Prużanie, ja uczyłam się na kompletach tajnego nauczania, a ojciec został leśniczym.

Wkrótce po wkroczeniu Niemców do Prużany wróciła Irena Czarnocka licząc może w duchu na powrót do Bogusławiec. Jednakże kwitnący majątek został całkowicie zdewastowany przez „przodującą w świecie gospodarkę socjalistyczną” i była dziedziczka osiadła w Prużanie, gdzie prowadziła niewielki sklepik. W tym okresie obie nasze rodziny utrzymywały bliskie i serdeczne stosunki. Niestety w 1944 roku, zaledwie miesiąc przed ucieczką tym razem Niemców, ojciec mój został zaaresztowany przez kolejnego okupanta pod zarzutem – zresztą zgodnym z prawdą – współpracy z lokalną partyzantką. Znowu zostałam sama jak palec. I od tego momentu po dzień dzisiejszy cały moje dalsze życie zostało nierozzerwalnie związane z rodziną Ireny Czarnockiej, która stała się dla mnie i najlepszą matką, a także „pełniła obowiązki ojca”. Irena Czarnocka przyjęła mnie z niezwykłą serdecznością i sta-

łam się jednym z Jej czwórki teraz dzieci, a pozostała trójka stała się moją siostrą i braćmi.

W 1945 roku, po zakończeniu wojny Irena Czarnocka wróciła do Polski, tym razem Ludowej, w ramach akcji repatriacyjnej. Ja – chociaż prawnie nosiłam nazwisko ojca – zostałam zapisana jako Janina Czarnocka. Zabieg ten miał na celu uniknięcie ewentualnych problemów i komplikacji ze strony nowych polskich władz.

Po przyjeździe do Polski – o ile wiem – moja matka Irena Czarnocka nosiła się z zamiarem adoptowania mnie, ale odradzono Jej takiej decyzji, ponieważ się wciąż liczone z możliwością powrotu mego ojca, który w takim przypadku znalazłby się bez rodziny i praw do córki. Niestety mój ojciec nigdy nie wrócił. W późniejszym okresie dowiedziałam się, że Niemcy osadzili go w Gross-Rosen i że zaginął w trakcie ewakuacji tegoż obozu.

* * *

Dalsze moje życie spędziłam jako córka Ireny Czarnockiej, która dla mnie przez całe Jej życie była troskliwą, najlepszą i najmądrzejszą matką. Ona to niemal zdecydowała za mnie, abym skończyła Liceum Ogólnokształcące, ona spowodowała, że skończyłam studia leśnicze w Poznaniu, ona doradzała mi w rozmaitych sytuacjach życiowych. Dzięki niej mam z córką do dziś liczną i wspaniałą rodzinę i mimo utraty męża, syna i wnuka nie czuję się nigdy samotna. I utratę własnej rodziny i ukochanych stron rodzinnych, nostalgicznego Polesia zrekompensowała mi dobroć i miłość mojej Matki, Ireny Czarnockiej,

herbu Lis Bzura.

Po długim i pracowitym życiu jako nauczycielka Szkół Rolniczych w Sokolej Górze nieopodal Radomska, w Kościerzynie koło Sieradza i w Bojanowie w pobliżu Poznania Irena Czarnocka zmarła w dniu 18 grudnia 1992 roku, przeżywszy lat 90.

Panie, świeć nad Jej duszą. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.

Janina Kondranin Wieczorkowa
Poznań



Prużana – targ na garnki (przed 1939 r.). Foto: Mikołaj Rozanow

PRUŻAŃSCY UŁANI

Prawdziwą wizytówką międzywojennej Prużany był 25 Pułk Ułanów Wielkopolskich, który kwaterował w tym cichym poleskim miasteczku od 1924 roku. Prużańskim Ułanom właśnie jest poświęcony niniejszy artykuł.

Powstanie pułku

Wielka ofensywa sowiecka latem 1920 roku wykazała, że dla przeciwdziałania armiom nieprzyjacielskim w tych warunkach, w jakich toczyła się wojna na wschodniej granicy polskiej, konieczne było posiadanie licznej kawalerii, która mogłaby skutecznie zwalczać działania konnych oddziałów nieprzyjaciela.

W tym celu nakazane zostało w Polsce sformowanie całego szeregu nowych pułków kawalerii. Terminy jednak pogotowia były tak krótkie, a środki tak skromne, że utworzenie tych jednostek zdawało się zupełnie niemożliwe. Ale dobra wola, praca, energia i zapał przezwyciężyły wszystkie przeszkody. Młode polskie pułki stanęły szybko, tak, aby zdążyć jeszcze wziąć udział w zapasach śmiertelnych, decydujących o bycie Ojczyzny.

Przy szwadronie zapasowym 15 pułku ułanów poznańskich, dawniejszego 1 pułku ułanów wielkopolskich, rozpoczęto w połowie lipca 1920 roku formowanie nowego pułku kawalerii, oznaczonego numerem 115 i nazwą wielkopolskiego, od numeru i na-

zwy tego pułku, przy którym rozpoczął swe istnienie. Pogotowie marszowe wyznaczone było na dzień 27 tegoż miesiąca. Wysiłek więc utworzenia oddziału zwartego, zaopatrzonego we wszystko, co może być potrzebne jednostce w polu, był olbrzymi.

Szwadron 1 sformowany został na miejscu z ludzi i koni, dostarczonych przez szwadron zapasowy 15 pułku ułanów. Taki sam szwadron, oznaczony numerem 3-im, sformowano z ludzi i koni, pochodzących ze szwadronu zapasowego 16 pułku ułanów z Bydgoszczy.

Oba te szwadrony złożone były z dobrego starego żołnierza, przeważnie zaprawionego do walki w wojsku niemieckim; podoficerami byli wyłącznie wielkopolanie. W tym samym czasie utworzono 2 szwadron, wyłącznie prawie z ochotników z Wielkopolski, pełnych zapału i chęci, lecz zupełnie niewyszkolonych, często prawie nie umiejących jeździć konno. Podoficerami w tym szwadronie byli również wielkopolanie. Szwadron 4 sformowany został przy szwadronie zapasowym 2 pułku strzelców konnych w Pińczowie.



25 pułk ułanów w Prużanie



Żołnierz 25 pułku ułanów
z odznaką pułkową
(ze zbiorów D. Zagackiego)

Szwadron ten składał się z byłych kawalerzystów armii rosyjskiej, austriackiej i oddziałów legionowych, oraz częściowo z ochotników cywilnych. Podoficerowie w tym szwadronie pochodzili wyłącznie z byłej służby rosyjskiej.

Nowoutworzona jednostka składała się również z plutonu łączności i szwadronu karabinów maszynowych.

Oficerowie pułku pochodzili częściowo z armii niemieckiej, częściowo z rosyjskiej, przydzieleni z różnych pułków. Skład więc osobowy przedstawiał się bardzo różnolicie. Taka sama pstrokaczna charakteryzowała materiał koński, a w szczególności materiał uzbrojenia, gdyż pułk posiadał broń rosyjską, austriacką, niemiecką i francuską. Stanowiło to w ciągu całej kampanii ogromną trudność przy uzupełnianiu amunicji. Pierwszym dowódcą pułku był rotmistrz Maciej Mielżyński.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej pułk brał udział w bitwie Warszawskiej, walkach nad rzeką Słuczą, pod Żytomierzem i Korosteniem.

Po wojnie, dnia 25 lutego 1921 roku w Kaliszu pułk otrzymał nowy numer – 25 – z zachowaniem nazwy ułanów „wielkopolskich”, na pamiątkę ziemi, na której został sformowany i pułków, które najwięcej przyczyniły się do jego utworzenia. Barwami jednostki były kolory biały i szkarłatny, podzielone pośrodku chabrową żyłką. Po zakończeniu działań wojennych pułk wszedł w skład 9 Brygady Jazdy (od 1937 roku Nowogródzkiej Brygady Kawalerii) i w połowie 1921 roku pułk został przeniesiony w okolice Nowogródka. W Nowogródku, w dniu 29 kwietnia 1923 roku, w imieniu prezydenta II Rzeczypospolitej przez dowódcę DOK III generała dywizji Malczewskiego wręczony został pułkowi ufundowany przez oficerów sztandar. W końcu 1924 roku dla wielkopolskich ułanów nastąpiła kolejna dyslokacja, tym razem do Prużany, małego powiatowego miasta na Polesiu. Rozkaz o wydzieleniu dla pułku budynków mieszkalnych i gospodarczych w miejscowym garnizonie datuje się 7 lutego 1924 roku. Prużana była ostatnim garnizonem pułku do 1939 roku.



Henryk Roycewicz Leliwa



Rotm. Maciej Mielżyński

Pobyty w Prużanie

Podczas swego pobytu w Prużanie wielkopolski początkowo pułk stracił swój jednolity charakter. Odtąd jego kadra oficerska przybywała z różnych dzielnic kraju, a znaczną część żołnierzy rekrutowano ze wschodu. Na przykład w listopadzie 1922 roku w pułku służyło 375 Polaków, 118 Białorusinów, 3 Ukraińców i 4 Żydów.

Baza materialna jednostki początkowo nie była zbyt dobrą. Jak wspominali ułani 25 pułku: „...Garnizon Prużana zaliczał się bowiem do tak zwanych garnizonów leżących...” u diabła na kuliczkach”, gdzie wyrunki służby były początkowo bardzo prymitywne. Stan ten jednak szybko uległ poprawie i na kilka lat przed wojną pułk posiadał jedną z najlepszych w Polsce ujeżdżalni krytych, miłe domy mieszkalne, wygodne koszary i stajnie, później obsadzone rabatami kwiatowymi, korty tenisowe i szereg innych wygód. Z czasem ułani z biało-szkarłatni ułani wpisali się trwale w pejzaż kresowej Prużany.

Właśnie w Prużanie zaistniały warunki do unifikacji i systematycznego szkolenia żołnierzy. Tam bowiem wszystkie szwadrony skupiono w jednych koszarach i dowódcy każdego szczebla mieli swoje oddziały w zasięgu ręki. Program szkolenia obejmował prócz władania białą bronią, szablą, lancą, bagnetem, także wyszkolenie strzeleckie oraz praktyczne zajęcia terenowe. W polu bowiem łączono nabyte umiejętności oraz wiedzę. Jesienią i zimą, w każdy czwartek po południu odbywały się w kasynie ćwiczenia aplikacyjne. Tutaj uczono się dowodzenia i omawiano szczegółowo sposoby szkolenia ułanów. Prowadzono również zajęcia z zakresu wiedzy ogólnej, historii wojskowości, dziejów ojczystych, politologii wychowania obywatelskiego, geografii, a nawet literatury i sztuki.

Około 20 lipca pułk wychodził na letnie ćwiczenia i manewry. Do koszar wracali ułani po 20 września. Ćwiczone elementy ataku, obrony, przeprowadza-

no ostre strzelanie. Ćwiczenia odbywały się także z udziałem czołgów, stwarzając w taki sposób ułanom okazję do zapoznania się z budową tych pojazdów. W programie była także przeprawa przez Niemien, budowa przeprawy, nauka pływania. W czasie manewrów na szczęblu brygady żołnierze doskonalili umiejętności w zakresie forsowania rzek we współdziałaniu z sąsiednimi jednostkami, pościgi, natarcia, dozorowania przeszkód wodnych, opóźnianie nieprzyjaciela, obronę poszczególnych punktów oraz linii terenowych. W ramach tych ćwiczeń szkolono oficerów i podoficerów, a także ułanów wykonujących zadania terenowe. Szczególną atrakcją był moment wracania żołnierzy z manewrów, a również defilady pułku w dni 11 Listopada i 3 Maja. Popatrzyć na ułanów zbierali się wtedy prawie wszyscy Prużaniacy.

Osiągnięcia 25 pułku ułanów najlepiej wyrażały się na polu sportowym. Należał on do czołówki pułków kawaleryjskich, osiągając szczególnie dobre wyniki w zawodach konnych oraz szermierce. Rozwój sportów konnych datuje się już od 1921 roku, gdy instruktorem jazdy w pułku został młody absolwent Szkoły Jazdy w Grudziądzu, ppor. Henryk Roycewicz. Odtąd co tydzień w godzinach pozasłużbowych odbywały się świczenia jazdy konnej, ujeżdżania koni i skoków przez przeszkody. Były one obowiązkowe dla całej kadry. W miesiącach letnich odbywały się one nad jeziorem Świteż. Wielkim miłośnikiem sportów jeździeckich był płk Włodzimierz Tyszkiewicz. Najwyższy jednak poziom wyszkolenia osiągnięty został za czasów płk Witolda Morawskiego. W 1933 roku ekipa pułku w składzie: rtm. Józef Wolski, rtm. Roycewicz, por. Zygmunt Orłowski i por. Tadeusz Gerlecki, zdobyła w Baranowiczach mistrzostwo armii w zawodach „Militari”. W dwa lata później (1935) pułk zespołowo zdobył drugie miejsce w Suwałkach, a indywidualnym mistrzem armii został rtm. Roycewicz. Największym osiągnięciem tego doskonałego

kawalerzysty było zdobycie dla Polski srebrnego medalu na olimpiadzie w Berlinie w roku 1936.

Spośród innych osiągnięć sportowych 25 pułku ułanów warto wymienić zdobycie trzeciego miejsca na zawodach w Łucku (1936) i drugiego w Białymstoku (1937), a także pierwszego miejsca na zawodach „Militari” w latach 1938 i 1939. Wyróżniającymi się indywidualnie jeźdźcami byli rtm. Józef Wolski oraz rtm. Wincenty Zawadzki. Pierwszy zdobył tytuł mistrza armii w Baranowiczach (1933), a drugi w Bydgoszczy (1939).

Specjalnością pułku była też pokazowa szermierka. Nie mniej barwną imprezę stanowił urządzany w dniu św. Huberta (3 listopada) bieg myśliwski. W pułku była też sekcja narciarska, doskonale prezentująca się i wyszkolona. Na strzelnicach, w jeźdźalni, w czasie ćwiczeń terenowych i na manewrach żołnierze uczyli się swojego rzemiosła i doskonalili umiejętności.

W okresie międzywojennym 25 pułkiem ułanów dowodzili kolejno: ppłk dypl. Włodzimierz Bogusz Rolland (1921–1922), ppłk Aleksandr Zelio (1922 – 1923), płk dypl. Jan Tyszkiewicz (1923), płk Jan Jezierski (1924). Od połowy lat dwudziestych nastąpiła pewna stabilizacja na stanowiskach dowódczych. W 1925 roku dowódcą 25 pułku ułanów został płk Spirydion Koiszewski, który tę funkcję sprawował do marca 1932 roku. Od kwietnia 1932 roku do marca 1937 roku dowodził pułkiem płk dypl. Witold Morawski, a od czerwca 1937 roku do końca września 1939 roku – płk Bogdan Stachlewski. Dwaj ostatni wywarli największy wpływ na rozwój i przygotowanie oddziału, nie tylko z powodu długotrwałych z nim związków. Zarówno Morawski, jak i Stachlewski byli, bez wątpienia osobowościami nieprzeciętnymi w korpusie oficerów kawalerii. Bardzo pozytywnie mówił o Witoldzie Morawskim w 1934 roku gen. dyw. Tadeusz Piskor, Inspektor Armii: „Wybitnie uzdolniony oficer. Umysł jasny i gętki. Taktycznie śmiały... Bardzo lubiany przez podkomendnych. Na wojnie wypróbowany. Gospodarczo i administracyjnie pułk podniósł znakomicie; znawca i miłośnik koni...”.

W ramach rozpoczętej 23 marca 1939 roku mobilizacji częściowej 25 pułk opuścił tak zagospodarowane prużańskie koszary i miał dołączyć się do innych jednostek dowodzonej przez gen. Władysława Andersa Nowogródzkiej Brygady Kawalerii w okolicach Sierpca. W kampanii wrześniowej żołnierze prużańcy, ułani uczestniczyli we wszystkich walkach toczonych przez brygadę.

Dymitr Zagacki
Baranowicze



Ułani (ze zbiorów D. Zagackiego)

Stara Prużana oczami polskiego krajoznawcy

Prużana jest starym miastem z bogatą historią i kulturą. Zawsze interesowała historyków i krajoznawców. Zobaczmy, co pisano o Prużanie na stronach tygodnika krajoznawczego „Ziemia” w dalekim 1911 roku.



Herb Prużany

Prużana albo Prużany, miasto powiatowe gub. grodzieńskiej, położone po obu brzegach rzeki Muchy (powstającej ze zlewu dwu strumieni, łączących się tuż pod samym miastem) w wieku XV jako niewielka osada należała do ks. Kobryńskich, w roku zaś 1532 przeszła w posiadanie królowej Bony, dzięki której zaczęła się nazywać miasteczkiem. Z biegiem czasu miasto wraz z przyległymi dobrami otrzymała w opowie wdowiej królowa Anna Ja-



Królowa Bona Sforza

giellonka, która je obdarzyła prawem magdeburskiem i nadała mu herb Sforzów (przedstawiający wijącego się węża z dzieckiem w paszczęce); herb ten mimo wieków i zmian dotychczas

pozostał. Za Stanisława Augusta Poniatowskiego ekonomia prużańska składała się z 66 wsi i zarządzana była przez tzw. gubernatora. W czasie powstania kościuszkowskiego utworzył się z części powiatu prużańskiego powiat bereski, którego krótkotrwałym marszałkiem był ks. Franciszek Lubbecki. Po rozbiorach Rzeczypospolitej Katarzyna II dobra te wraz z miastem nadała głośnemu Rumiancewowi, który je wkrótce rozprzedał: Trębickiemu, Bułharynowi, Włodkowi i Szwykowskiemu. Ten ostatni nabył na własność rezydencję tuż przy mieście (tak zwana Gubernia) wraz z położonymi w pobliżu folwarkami. W „pamiętnym roku wojny i urodzaju” (1812, aut.) stał tu generał francuski Reyner z 7-m korpusem piechoty. O parę wiorst, na terytorium folwarku Semenczy, z podjazdem nieprzyjacielskim stoczona była potyczka. W miejscu tem przed 30 lat wznosiła się mogiła. Tu wreszcie, na rozległej równinie pod miastem w pierwszej ćwierci ubiegłego wieku korpus litewski odbywał ćwiczenia, na które naczelnym „dowódca wojsk polskich” W. ks. Konstanty przybył z Warszawy.

Gleba okoliczna po części czarnoziemna, w części zaś gliniasta. Proso zawsze, a pszenica pod rok plon dobry wydaje. Lud okoliczny bierny, powolny, dorodny, fizycznie nieźle jest zbudowany; należy on do grupy etnicznej małoruskiej i mową od pińczuków niewiele się różni.

Ubiór włościanie szyją sobie z przygotowanych w domu samodziałów, świty noszą sukienne barwy tabaczkowej, kożuchy o sporych kołnierzach, barwią na czerwono. Nogi swe męczyzna obuwa w plecione, skórą niekiedy świńską podszyte postęły, a kobiety głowy swe okracają w białe, płóciennie tzw. nametki.

„Obywateli” przedmieścia Chwatka, a razem z nimi i chłopci w podmiejskich Plebańcach zajmują się garncarstwem i wyroby swe z czarnej dobrze wypalanej gliny rozwożą w dni targowe i jarmarczne po całym powiecie.

Ostatnim z wyborów marszałkiem powiatu prużańskiego (obрани w 1854 r.), był Walenty herbu Ogończyk Szwykowski. Wysoko wykształcony i pełen przymiotów towarzyskich pan marszałek był prawdziwym wykwitem kultury polskiej i tradycje jej w sercu swem piastował. Słynna z gospodarności małżonka (z domu Przeciszewska) była harmonijnym jego dopełnieniem.

Pałac ich wznoszący się tuż przy mieście samym, lekki, w stylu nowo-włoskim, zbudował znany architekt Lanci. Gościnne podwoje jego były zawsze dla wszystkich otwarte. Z wiekowych pomarańcz, których las był istny, palm, mirtów i cytryn, na całą Litwę słynna była Szwykowskich oranżeria. Takiej podobno i Radziwiłłowie nie mieli. Rozległy ogród był rezydencji tej pradziwą ozdobą; będąc bezdzietny, marszałek duszę w niego włożył.

Niestety, w kraju niebawem zerwała się straszna zawierucha, padły gromy, rok 1863 wszystko zmiotł i wniwecz obrócił. Marszałka złośliwy los przerzucił na zachód, do Belgii, gdzie Szwykowski dzięki wrodzonej uniwersalności polskiej mógł znośnie się jeszcze utrzymać w bluzie ogrodnika. Wspaniała oranżeria jego znalazła się w pobliskiej Białowieży, a w murach

pałacu dykasterje powiatowe rozsiały się na dobre.

Zdawało się, że wszystko już stracone, stał się atoli cud... Niczem nieznużone starania pozostałej w kraju marszałkowej odniosły bezprzykładny skutek, po latach kilku rząd rosyjski Szwykowski zwrócił piękną Prużanę.

O kilka wiorst za miastem w stronie północno-wschodniej leży Dołhe, w którym obaj Kraszewscy: Józef i Kajetan, bez troski i w spokoju lata spędzali. „Dołhe stokroć mi jest miłsze – pisał niegdyś Józef – niż księgi całego świata!” W majątku tym przed laty 30, gdym cały miesiąc z małżonką jubilatą u marszałkostwa gości, mieszkał podówczas brat jego młodszy, p. Lucyan Kraszewski, wierny adept sztuki, rysownik zawołany, artysta całą duszą...

W pobliżu Dołhego i Prużany były liczne domy szlacheckie, nawet wielkopańskie, atmosfera wszędzie panowała swojska, zażyłość serdeczna. Czas jednak nieubłagany kres temu położył, sędziwy dziedzic Prużany oddał duszę Panu (Walenty Szwykowski w wieku lat 82 zmarł w 1902 r. w Warszawie) i nie tylko, że dobra jego przeszły w ręce obce, ale i w niedalekiem sąsiedztwie wnet powstały szczyrby...

Według podania Prużana nazwę swą otrzymała z tego powodu. Królowa Bona, zatrzymawszy się tutaj, trzymać miała do chrztu dwoje bliźniąt płci męskiej i żeńskiej imieniem Prost i Anna. Na pamiątkę tego zdarzenia miasto przybrało nazwę Prošana – Prużana. Według drugiej wersji, gdy królowa Bona przepływała łodzią przez rozlany strumyk Muchę, mała jej córeczka wpadła do wody i utonąła. Mucha pożarła to dziecko, a stąd nazwa: Pożarła – Prożora – Prużana. Faktem jest, że jeszcze przed paru dziesiątkami lat miasteczko położone w nizinie przedstawiało wiosną i jesienią jedno wielkie bagno, zwłaszcza



Józef I. Kraszewski

Prużana. Niemieckie
widokówki czasów pierwszej
wojny światowej



w pośrodku, gdzie przepływa Mucha, rzeczka utworzona z dwóch strumyków: Kamionki i Pirogówki.

Niezwykle malowniczy jest strój tutejszych mieszczanek, które ze względu, iż go przejmują okoliczne wieśniaczki, z dniem każdym zanika, „obywatelki” bowiem aby się wyróżnić od „chłopianek” na gwałt się zaczynają ubierać podług ostatniej mody. Strój, o którym mowa, składa się z tzw. andaraka spódnicy, gorsetu, bekieszy (kiecki wełnianej) i „szalówki” na głowę czyli chustki różnokolorowej, zawiązanej u dziewczyny z przodu w bardzo misterny węzeł, spuszczonej zaś na plecy w jeden duży koniec. An-

darak drobno fałdowany, szyty bywa z samodziału wełnianego, utkanego wzorzysto w kwiaty. Fałdy jego utrwalają się w iście pierwotny sposób: są one przykładane zwykle wprost z pieca wyjętymi bochenkami chleba. Po manipulacji takiej zbytecznie całkiem jest prasowanie. Najbogatszą część ubrania stanowi bekiesza z granatowego, cienkiego sukna, szamerowana niebieskimi tasiemkami lub amarantową jedwabną pelerynką i podobna materia obszytymi rękawami. Szerokie rękawy białej koszuli z falbanką – naramienniki, inaczej przyramki, tkane są z czerwonego „goryniu” tj. z bawełny zwanej purpur. Stroju dopełnia długi biały, marszczony fartuszek z koronką u dołu, na szyi mnóstwo paciorków oraz wstążek, okrywających całe plecy. Dziewczyny noszą warkocze związane kokardą.

Lucyan Kraszewski, brat Józefa, przed laty kilkunastu przesłał do Muzeum Narodowego w Krakowie manekin wielkości naturalnej, ubrany w typowy strój mieszczanek prućańskiej.

Opracował - **Dymitr Zagacki**
Baranowicze



Międzywojenna Prużana w starej książce telefonicznej

Książka telefoniczna jest zwykłą na pierwsze wejrzenie rzeczą. Jednak jeżeli taka książka ma więcej niż osiemdziesiąt lat, to może opowiedzieć wiele ciekawego. Kartkując jej strony można zanurzyć się w atmosferę dawno minionego czasu. Zobaczmy, co nam opowiedzą strony książki telefonicznej okresu międzywojennego o przeszłości Prużany i jej mieszkańców.

Jedna z takich unikatowych książek przechowuje się teraz w Baranowickim Muzeum Krajoznawczym. Jest to „Spis abonentów sieci telefonicznej okręgu dyrekcji poczt i telegrafów w Wilnie”. Niewielka ta książeczka została wydrukowana w Wilnie w dalekim 1930 roku. W „Spisie abonentów” są numery telefoniczne prawie wszystkich kresowych miast, w tym i prużańskie. Telefon był wtedy dość drogą rozkoszą. Zamontowanie telefonu prywatnego kosztowało od dwudziestu do trzydziestu złotych. Dla niewielkiego kresowego miasteczka to była solidna suma, więc tylko nieliczni obywatele mogli posiadać własny telefon. Za trzy minuty rozmowy przez telefon państwowy trzeba było zapłacić od 0,5 do 1,5 złotych. Aparat telefoniczny z lat trzydziestych różnił się od nowoczesnego. Oto przepisy o używaniu telefonów, wydrukowane w 1930 roku: *„Przywołanie centrali telefonicznej skutecznia się przez kilkakrotne szybkie obracanie korbką indukta. Po skutecznieniu sygnałów podnosi się słuchawkę do ucha i czeka się zgłoszenia centrali. Należy prawidłowo powiedzieć numer żądanego abonenta. Centrala powtarza numer i otrzymawszy potwierdzenie tegoż dodaje „łączę” albo „proszę wołać”. Na odpowiedź centrali obraca abonent raz wolno korbą induktora i po zgłoszeniu się wezwanej osoby rozpoczyna się rozmowa”*. Zapamiętać potrzebny numer osiemdziesiąt lat temu było znacznie łatwiej niż dzisiaj: numery składały się tylko z dwóch lub trzech liczb.

Przed 1930 rokiem Prużana, centrum starostwa w województwie Poleskim, była zamieszкана przez około 8 tysięcy mieszkańców. Łączność telefoniczna istniała wtedy, przede wszystkim, w budynkach Starostwa Powiatowego, Urzędu Gminy Prużańskiej, Sejmika Powiatowego (ulica 3-go Maja, 55), magi-

stratu, który mieścił się przy ulicy Pacewicza, 24, na posterunkach policji w Prużanie i sąsiednich wsiach, a także w innych instytucjach państwowych różnego rodzaju. Odnajdzie się w poradniku i numer telefoniczny wojewody poleskiego. Dom wojewody znajdował się przy ulicy 3 Maja, 12. Na telefon numer 22 można było zadzwonić do starosty powiatu prużańskiego.

Głównymi ulicami w Prużanie okresu II Rzeczypospolitej były ulicy Pacewicza, Dąbrowskiego, 3 Maja, Strażacka, Kobryńska. Ulica Pacewicza dostała swą nazwę na cześć urodzonego w Prużanie doktora medycyny Augustyna Pacewicza (1847–1928), wspaniałego lekarza i filantropa. Dr Pacewicz studiował na Akademii Wojskowo-Medycznej w Peters-



Poradnik telefoniczny 1930 r.

burgu, potem służył w Kronsztadcie jako wojskowy lekarz. Po demobilizacji w 1918 roku wrócił do rodzinnej Prużany, oddał siebie bez reszty medycynie, służbie zdrowia u swoich ziomeków. W swoim szpitalu dr Pacewicz utrzymywał za własne środki sale i łóżka dla biednych, szczególną opieką otaczał dzieci z biednych rodzin. Był prawdziwym dobrodziejem, wielkim autorytetem w Prużanie. W 1926 roku w 50 rocznicę pracy lekarskiej był odznaczony Orderem Odrodzenia Polski. Jedną z największych ulic Prużan do 1942 roku nosiła imię doktora. Zgodnie ze „Spisem abonentów” w 1930 roku przy ulicy Pacewicza mieściły się: miejscowy wydział Banku Spółdzielczego, Przychodnia Powiatowej Kasy Chorych, Sąd Powiatowy, a również gabinet sędzi śledczego. Mieszkali tu między innymi doktor Faingold (telefon numer 50), przemysłowiec Goldfajn. Przy ulicy Pacewicza znajdowały się także halle targowe. Było to centrum życia handlowego międzywojennej Prużany, prawdziw eden dla przedsiębiorców. Telefoniczna książka opowiada o niektórych zakładach, w tych hallach rozlokowanych: sklepie wódek Chaima Kapłana i Spółdzielni „Rolnik”.

Nie mniej ożywioną była ulica 3 Maja. Przy ulicy 3-go Maja w tych czasach mieściły się budynki Agencji Syndykatu Emigracyjnego (dom Nr 1), Zarządu Drogowego, Inspektoratu szkolnego. Mieszkali

tu adwokat Eugeniusz Chwostowski, obrońca sądowy Jan Ledzewicz, a również liczni kupcy i przedsiębiorcy: Włodzimierz Utgof (dostawa materiałów kamiennych), Sergiusz Wasilenko (przedsiębiorca budowlany), Chaim Rosochowski (właściciel młynu parowego) i inni.

Ulica Strażacka swoją nazwą zobowiązana była miejskiemu oddziałowi Ochotniczej Straży Pożarnej. W roku szkolnym tu zawsze można było spotkać wiele młodzieży – przecież znajdowała się przy tej ulicy największa prużańska uczelnia – Gimnazjum Państwowe im. A. Mickiewicza.

A kogo moglibyśmy spotkać przy ulicy Kobryńskiej? Książka telefoniczna powiada, iż mieszkali tu obrońca sądowy Mieczysław Supernat i dr Olga Goldfajn.

Oczywiście, że w poradniku można odnaleźć informację o większości prużańskich ulic. Strony starego poradnika telefonicznego odtwarzają życie powszednie Prużany czasów II Rzeczypospolitej – niewielkiego przytulnego miasta. Tu są numery przedsiębiorstw i hoteli, sklepów i uczelni. Bardzo interesujące są ogłoszenia reklamowe z lat trzydziestych, które możemy widzieć w poradniku. W Prużanie współmieszkali w zgodzie i szacunku przedstawiciele różnych narodowości i wiarowyznania: Polacy, Białorusini, Żydzi, Rosjanie. Prużana była dla

nich wszystkich, ich kochaną małą ojczyzną, tu rodzili się, żyli, uczyli się, pracowali, wychowywali swoje dzieci. Jakże potoczyły się losy ludzi, nazwiska których spotykamy na stronach „Spisu abonentów”? Wielu z nich musiało się stać świadkami i uczestnikami tragicznych wydarzeń 1939 roku, strasznej wojny i okupacji, nagle zostać obcymi w rodzinnym mieście i skazanymi na banicję.

Wiele ciekawego jeszcze możemy dowiedzieć się, gdy zajrzymy do starego poradnika telefonicznego, ponieważ jest on milczącym świadkiem minionych czasów.

Dymitr Zagacki
Baranowicze

17. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 18. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 19. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 20. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 21. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 22. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 23. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 24. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 25. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 26. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 27. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 28. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 29. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 30. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.	31. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 32. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 33. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 34. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 35. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 36. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 37. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 38. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 39. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 40. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 41. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 42. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 43. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 44. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 45. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.	46. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 47. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 48. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 49. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 50. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 51. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 52. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 53. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 54. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 55. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 56. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 57. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 58. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 59. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 60. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.	61. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 62. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 63. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 64. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 65. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 66. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 67. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 68. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 69. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 70. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 71. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 72. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 73. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 74. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 75. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.
Przechodzie 1. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 2. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 3. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 4. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 5. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 6. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 7. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 8. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 9. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 10. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.	11. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 12. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 13. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 14. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 15. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 16. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 17. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 18. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 19. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 20. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.	21. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 22. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 23. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 24. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 25. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 26. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 27. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 28. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 29. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 30. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.	31. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 32. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 33. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 34. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 35. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 36. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 37. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 38. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 39. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11. 40. Białostocki Włodzisław, strażnik miejski, ul. Włocławka 11.

Obraz Moskala w piśmiennictwie polskim XVI–XVII wieku

„Naród ten wszystek Moskiewski, albo Ruski, więcej się w niewoli, aniżeli w wolności kocha. (...) wszyscy albowiem tamci obywatele jakiegokolwiek kondycji ludzie ciężką niewolą są od tyranów swych obowiązani (...) Ale, iż ten wszystek naród Moskiewski, wielkiemu Carowi podległy, bardziej sobie smakuje w niewoli aniżeli w wolności (...) z tych przyczyn znać, że oni tymi obyczajami swoimi pana sobie podobnego (jak niegdy żaby bociana na króla) z potrzeby wyciągają. (...) Tyraństwo, którym jest ten naród ściśniony, duchy ich tępi bojaźń, z którą się rodzą, ta w nich zostanie na zawsze”.

Aleksander Gwagin, 1534–1614

W drugiej połowie XVI wieku szybko rozkwita w Rzeczypospolitej literatura i publicystyka. Pisało po polsku i po łacinie, zwiększając jednocześnie liczbę gatunków literackich i rozbudowując ich formy. Była to reakcja na coraz bogatsze i rozmaitsze przejawy życia zbiorowego oraz zmiany społeczno-polityczne i wyznaniowe. Potężny był też wpływ humanizmu, który przyniosła na ziemie polskie epoka Odrodzenia. W tych nowych warunkach, sprzyjających kształtowaniu się niezależnej i samodzielnie myślącej jednostki, człowiek uczył się obserwacji świata w nowym, nieznanym dotąd wymiarze. Oceniał siebie i innych stosując kryteria cywilizacyjne. Wszystko to sprawiło, że zaczęły powstawać liczne dzieła literackie, historyczne i publicystyczne. Różniły się nie tylko gatunkiem. Były zróżnicowane tematycznie i miały niejednakową wartość. Znamionowały niemniej rozpoczęcie się Złotego Wieku polskiej kultury. Jaką też wartość mają te dzieła dla nas, współcześnie żyjących? Co możemy z tej obfitości i różnorodności źródeł i tematów? Przede wszystkim z literatury tej możemy wyodrębnić zagadnienia, które albo nie straciły na aktualności, albo umożliwiają dokonanie pewnych porównań w przekroju historycznym. Z tym, że warunkiem ocen powinno być unikanie prymitywnej generalizacji i ekstrapolacji ówczesnych realiów na współczesne życie. Ale zanim oddamy głos konkretnym autorom rzućmy pobieżnie okiem na niektóre polskie osobliwości tamtej epoki.

W miarę rozwoju historycznego, kształtowania się społeczeństwa polskiego i rozwoju demokracji szlacheckiej Polacy stawali się coraz pewniejsi siebie. Rozwój ojczystej kultury i stabilizacja ustroju społeczno-politycznego stwarzały podstawy do dumy, a nawet spoglądania z góry na sąsiadów, zarówno tych na Wschodzie – nieco opóźnionych w rozwoju skutkiem wieloletniej niewoli pod rządami Złotej Ordy, jak też tych na Zachodzie – uwikłanych w ustawiczne wojny religijne, ciągle waśnie i przewroty towarzyszącej w tamtej epoce nadużyciom absolutyzmu i braku tolerancji religijnej. Skoro pobłażliwie zaczynało

traktować w Polsce starą Europę, będącą spadkobierczynią cywilizacji grecko-rzymskiej, coś dopiero mówić o mało jeszcze znanym i odległym Wschodzie, ukrytym za ścianą pilnie strzeżonej i niebezpiecznej granicy, nie tylko państwowej, ale też cywilizacyjnej. Moskwa dopiero co otrząsnęła się z długiej niewoli tatarskiej, przyswajając w jej ciągu wiele cech azjatyckich. „Zdumieni Polacy – pisał Aleksander Bruckner w swych słynnych *Dziejach kultury polskiej* – ujrzeni przed sobą dorosłych wiekiem, dzieci umysłem, nic nie wiedzących o bożym świecie poza swymi murami chińskimi, chytrych prostaków, obłudnych i kłamliwych, nieufnych i zdradzieckich, w szatach niby z obrazów średniowiecznych, bez kobiet (bo strzeżonych w zaciszu domowym), bez sztuki czytania i pisanie, bez muzyki i rzeźbiarstwa, druku, bez aptek i lekarzy, różniących się od Tatarów chrześcijaństwem powierzchownym, brzydzących się katolikiem jak psem (po obu należało cerkiew oczyszczać), spodlonych do służalstwa, a zarozumiałych do śmiechu...”¹

Zatem w wiekach XVI–XVII Polacy poczuli się bardzo dumnymi ze swojej organizacji życia zbiorowego, dobrobytu, tolerancji i kwitnącej kultury. Sprawiało to, że nie raz patrzyli na innych wyniośle, z dystansem i poczuciem wyższości. Dlatego ich opinie o obcokrajowcach muszą być oceniane krytycznie, z uwzględnieniem osobowości autorów, okresu dziejów i konkretnych sytuacji historycznych. Warto bowiem pamiętać, iż liczne tego typu opinie opierały się na obserwacjach czasem dość powierzchownych, a nawet przypadkowych. Nierzadko, wskutek okoliczności wydarzeń, z braku czasu obserwacje te czyniono pobieżnie, bez należytej znajomości realiów. Zdarzało się też, że były to obserwacje dokonane przez ludzi mało doświadczonych, nie posiadających wprawdy w pisarstwie i wyciąganiu prawidłowych wniosków. Często wrażenia spisywane były na własny użytek i nie wyróżniały się delikatnością ocen. Z reguły obcokrajowców postrzegano gorszymi od siebie. Ale pod tym względem Polacy niczym się nie różnili od innych narodów. Negatywne stereotypy były i pozostają zjawiskiem powszechnym, uogólniającym

i generalizującym pewne mało znane obcemu obserwatorowi cechy i zwyczaje. Niemniej jednak, ujęte w ciąg tematyczno-chronologiczny, zachowane świadectwa stwarzają nie tylko obraz epoki, ale też ludzi w tej epoce żyjących.

„Car moskiewski zwyczajem wiarołomnego narodu...”

Istniała również okoliczność, która poważnie wpłynęła na treść niektórych źródeł literackich, a zatem i na obiektywność przekazu. Chodzi o cenzurę. Szczególnie dała się we znaki w zaborze rosyjskim. W wydanych na tamtych terenach pamiętnikach i publikacjach historycznych, jak też innych dziełach literackich, wszelkie ujemne opinie o Rosji, narodzie rosyjskim były skwapliwie usuwane. Typowe przykłady tego rodzaju „cięć” znajdujemy w dziele znanego badacza pamiętników staropolskich **Alojzego Sajkowskiego**. Otóż, jeżeli w rękopisie występowało „Moskal zdrajca”, to w druku pozostawiano tylko „Moskal”¹, albo zdanie „car moskiewski zwyczajem wiarołomnego narodu” skracano do: „car moskiewski”. W innym zdaniu: „utwierdzili to przysięgą posłowie, że o wojnie car nie myśli, ale zdradliwy naród inaczej czyni. Łamie car przysięgę Bogu na wiek oddaną...” łagodzi się końcówkę i brzmi już ono: „utwierdzili to przysięgą, że o wojnie nie myślą, ale inaczej postąpiono”. W podobny sposób usuwano inwektywy, świadczące nie tylko o emocjonalnym stosunku autora, lecz podkreślające również merytoryczny sens wypowiedzi lub opinii. Na przykład zakazywano używania wyrazu „tyran” nie tylko w odniesieniu do carów moskiewskich, lecz nawet gdy mowa była o cesarzach rzymskich.² Obraz Rosjanina miał być ukazywany albo pozytywnie, albo neutralnie, albo wcale, historię natomiast przedstawiano w taki sposób, jak gdyby Rosjanie nie ponosili porażek ani na polach bitewnych, ani w dyplomacji. Eliminowano też fragmenty tekstów mogące wywołać niechęć dla władzy skojarzenia.

Brytyjski historyk **Norman Davies** w swej historii Polski zatytułowanej „**Boże igrzysko**” zaznacza, że cenzura carska wyróżniała się szczególną srogością wobec wszelkich przejawów zainteresowania historią Rzeczypospolitej. Autor przytacza drażliwe przykłady małostkowości cenzorów. Przykładem w 1784 roku zakazano publikacji pierwszego tomu historii Polski pióra Adama Naruszewicza, ponieważ w rozdziale o prehistorii Słowian „autor wyznaczył Polakom bardziej doniosłą rolę niż Rosjanom”.³ „Jeśli cenzorzy rosyjscy nie zezwalali na publikowanie książki na temat szkodliwości grzybów trujących (grzyb potrawa postna, służy umacnianiu wiary, a więc nie można o nim pisać źle), to trudno sobie wyobrazić, ażeby wydali zgodę na wygłoszenie jakiegokolwiek publikacji przedstawiającej w negatywnym świetle państwo rosyjskie, jego władców, urzędników, społeczeństwo” – pisze badacz stosunków polsko-rosyjskich Antoni Giza.⁴

Nie – „uczcie długo tłumionej swobody”

W zaborze rosyjskim obowiązywała surowa cenzura prewencyjna. W miarę upływu czasu rosła też liczba tematów „niebezpiecznych”. Kontrolując dzieła o treści politycznej i historycznej, cenzorzy wycinali z nich fragmenty, ich zdaniem, „obraźliwe” dla Rosjan. Skutecznie ograniczano w ten sposób liczbę tekstów literackich i naukowych, mogących się ukazać na terenie Królestwa Kongresowego, bo na ziemiach zabranych druk polski był całkowicie zakazany po 1863 roku. Kontrola publikacji była tak ostra, że czasami zakrawała na groteskę. Tak oto cenzor wileński dopatrzył się „niebezpiecznych” fragmentów nawet u **Mikołaja Reja** (1505–1569). W krakowskim wydaniu jego utworów z 1848 r. jego zastrzeżenia wzbudziły wiersze opisujące miłość do ojczyzny, nakazujące bronić państwa i chwaliące wojenne czyny przodków. Zakazem objęto też **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego**, ponieważ, zdaniem władz, były „prześlągnięte nieprzyjaznym wobec Rosji duchem”. W warszawskim wydaniu **Zamku Kaniowskiego Seweryna Goszczyńskiego** (1928) cenzura carska wymazała m.in. następujące wiersze: „*Komu różgami ojciec zasieczony/Czyja się panu podobała żona/Komu najmilsza córka pogwałcona/ [...] Kogo najdroższa boli przeto strata/Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie*”, *mimo, że słowa te wypowiada Kozak Nielaba, kierując je pod adresem ziemian polskich. Skreślono też m in. słowa o „uczcie długo tłumionej swobody”*⁵.

Na szczęście polskie książki drukowano nie tylko na terenie imperium carów – w Warszawie i Wilnie. Ukazywały się w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Lipsku, Paryżu, tam, gdzie nie sięgała martwica rosyjskiej cenzury zakazanych tematów.

Zanim jednak doszło do tragicznych rozbiorów, szesnastowieczna Polska – potężne państwo, cywilizacyjnie związane ze światem Zachodu i kulturą humanizmu, szczytującą się swą wolnością i formą rządów, wyniosłe traktowała dopiero wzrastającą w potęgę Moskwę. Państwo owe mogło służyć wówczas wzorem bezwzględnej tyranii. Na jego poddanych Polacy spoglądali nieco z góry, jak na ludzi o innej kulturze, religii, którym obce były naczelné wartości europejskie właściwe Polsce tamtych czasów.

Informacje o mieszkańcach Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, ogromnego obszaru leżącego na wschód od Rzeczypospolitej, zaczęły docierać do Europy stosunkowo późno. W miarę szczegółowe rękopiśmienne opisy ich obyczajów znajdują się w źródłach pochodzących z końca XV – początku XVI w. Większość z nich zawdzięczamy krakowskiemu kronikarzowi Maciejowi z Miechowa, zwanemu również **Miechowitą** (1457–1523), autorowi *Tractatus de duabus Sarmatiis* (**Traktatu o dwu Sarmacjach**) z 1517 roku. Dzieło to ukazało się drukiem w licznych wydaniach i zostało przetłumaczone na różne języki: niemiecki, włoski i polski. Wydanie polskie z 1535 roku otrzymało tytuł

Polskie wypisanie dwojej krainy świata. Traktat ten był źródłem informacji geograficznej o mało znanym podówczas Wschodzie – Moskwie i Tartarii, którą posługiwano się w Europie, w postaci prawie niezmiennej przez okres około stu lat. „Po raz pierwszy w Europie pojawił się prawdziwy, nie `hiperborejski` opis jej wschodu, co uprzątnął na koniec bajki Ptolomeuszowe...” – jak oceniał to dzieło Aleksander Bruckner.⁵

Samych Rosjan opisuje Miechowita jako ludzi wysokiego wzrostu i mocnej budowy ciała. Piją oni wodę, miód i kwas, a także miód zaprawiony rozgrzewającymi korzeniami oraz wyrabiają ze zboża ognistą wodę, a to dla ochrony przed panującym tam zimnem. Nie używają natomiast wina i oliwy, a władca ich nie pozwala im upijać się pod karą śmierci z wyjątkiem 2 lub 3 razy w roku i nie pozwala poddanym warzyć na własną rękę piwa i sycić miodem. Dziś nie sposób już odróżnić informacji uzyskanych bezpośrednio przez autora od przypadkowych. Te pierwsze stanowią oczywiście najcenniejszą część treści traktatu. Były to widocznie informacje, których dostarczyli kronikarzowi jeńcy moskiewscy i emigranci.

„Żyją w warunkach ohydnych niewolnictwa i tyranii”

Do najbardziej uderzających informacji występujących w publikacjach tamtego okresu należą teksty, mówiące o despotyzmie władców moskiewskich i niewoli ich poddanych. Nawet w szesnastowiecznej Europie z przerażeniem pisano o sprzedawaniu ludzi jako bydła, o tak pilnie strzeżonych granicach moskiewskich, że żaden obcokrajowiec nie mógł ich przekroczyć, a żaden Moskal opuścić kraj bez specjalnego zezwolenia. Warto zatem porównać opisy Miechowity z obrazem obyczajów moskiewskich przedstawionych osiemdziesiąt lat później przez geografę włoskiego **G. A. Magini** w jego *Geographiae universae opus (Geografii powszechnej)*, wydanej w 1597 roku w Kolonii. „Z wyglądu ludzie ci wydają się być mocni; są rośli (...) Jedzą i piją nędznie (...) konsumpcja napojów alkoholowych zabroniona jest pod groźbą srogich kar (ponieważ ludzie ci mają wielki pociąg do picia) i wolno im się upić jedynie dwa do trzech razy w roku (...) Żyją w warunkach ohydnych niewolnictwa i tyranii: szlachta i magnaci są uciemiężeni przez Wielkiego Księcia (...) Są oni z natury tak zaciekli, że obrzucają się nawzajem obelgami, a nawet mordują jeden drugiego bez powodu. (...) Odznaczają się barbarzyństwem, bezbożnością i nieszczerością (...) Są chytry i nierzetelni, nigdy nie dotrzymują słowa...”⁶ Jest to niewątpliwie ostrzejsza ocena, niż ówczesna opinia polskiego autora.

Na ogół wśród opinii o Moskwie i charakterze Moskwi-tów wyrażnie przeważają nieprzychylnie. Oto jak z kolei pi-sze o nich **Mikołaj Rej** w swym dziele *Zwierciadło* (1568): „Moskwa, to już wiemy, co to za panowie/Znamy je w oby-czajach, znamy i w rozmowie/Jest chłop by sójka w klatce, co szczebiotać umie/Ale ledwie sam czasem, co mówi rozu-

mie/A też są miłosierni, bo nie bardzo biją/Kiedy im ciężko, w szczelinę się kryją/Z pirwotkuć się postawi, by miał zjeść każdego/Ale potem do lasu masz posta pewnego/Chłopi są z głupia chytry/Ale tam prawego rozumu bardzo mało, k rzeczy przystojnego/ Co by kogo oszukać, okłamać, oszy-dzić/Tego jako za cnotę nie będą się wstydić.”⁷

Wiersze te odzwierciedlają zapewne doświadczenia wojenne, ale odnajdujemy również w tym dziele frag-ment filozoficzno-moralizatorski, w którym Rej odwołuje się do postaci Moskwicina jako przykładu metaforycznego: „A wszak wiemy, że zawsze mamy na się [tzn. przeciw sobie] nieprzyjaciela srogię fortunę, która z żadnym człowiekiem przymierza ostatecznie nie dźierży. Aby je też z kim najstateczniej postanowiła i największą łaskę ukaza-ła, patrzajrze, długoli to trwa: kiedy się najlepiej o jej łasce a o jej przymierzu ubezpieczysz, alic ona jako Moskwicin albo Tatarzyn, tuż wnet za posłem wojsko wyprawi, ani wzwiesz [tzn. dowiesz się], z której ci strony chluśnie.”⁸ Zmienność fortuny porównywana tu jest do przewrotno-ści Moskali, co świadczy, że w połowie XVI wieku ta cecha charakteru sąsiada utrwaliła się w świadomości Polaków jako powszechnie znana, jako stereotyp.

Tematykę wschodnią poruszał także **Jan Łasicki** (1533–1599), pisarz, historyk, działacz reformacyjny pochodzący z Mazowsza. W ostatnim okresie swego życia mieszkał i tworzył w Zasławiu pod Mińskiem, gdzie też zmarł i najprawdopodobniej został pochowany. Zabłyśnął Łasicki przede wszystkim dzięki swemu dziełu *O bóstwach żmudzkich*. Był to człowiek o szerokich renesansowych zainteresowaniach, ciekawił się historią wierzeń i religii, etnografią i dziejami obyczajów. Nie przypadkowo więc z pod jego pióra wyszła książka *De Russorum Moscovitarum et Tatarorum religijne, sacrificiis, nuptiarum, funerum ritu* (Rusi Moskiewskiej i Tartarii religie, świętości, weselne i pogrzebowe zwyczaje, 1582). Wiadomości o wschodnich krajach zasławski samotnik czerpał najprawdopodobniej nie w bezpośrednim zetknięciu z nimi, gdyż w Moskwie nigdy nie był, ale na podstawie ustnych wywiadów z jeńcami wojennymi oraz informacjach dyplomatów wysła-nych do cara Iwana Groźnego, a także żołnierzy przeby-wających w niewoli moskiewskiej. Między innymi Łasicki wykorzystał w swym dziele relacje Jana Hlebowicza, kasztelana mińskiego, który w tamtym okresie przebywał w niewoli moskiewskiej. Opierał się również na relacjach piśmiennych i drukowanych, zwłaszcza źródłach włoskich. Rysował się więc w umyśle Łasickiego obraz zalet i wad społecznych Moskali. Trudno się dziwić, że w okresie wojny inflanckiej i czasach zmagania z carem przeważały w tym obrazie akcenty negatywne, powstałe na tle politycznym i religijnym. Ujawniły się one przede wszystkim w niechęci do postaci Iwana Groźnego, jego terrorystycznych rządów oraz okrucieństwa i wrogości okazywanej światu, wyznającemu inną religię niż rosyjskie prawosławie.

„Rab twój Wańka...”

Najbardziej jednak dziwiły ówczesnych badaczy, pisarzy i podróżnych z Zachodu bezgraniczna uległość, posłuszeństwo poddanych moskiewskich oraz ich ślepa wiara w nieomylność cara. Przepaść, dzieląca poddanych od wszechwładnego władcy podkreślana była wśród pospółstwa poprzez porównywanie cara do Boga. Na carskim dworze obowiązywał bowiem rytuał, zakazujący nawet najdostojniejszym osobom rezygnację ze swych tytułów i podpisywania się pełnym imieniem i nazwiskiem. Wszyscy dygnitarze, niezależnie od stanu i piastowanego stanowiska, zwracając się do cara, poprzesławiali na żalosnych zdrobnieniach typu: „rab twój Wańka, Daniłko itp.” Zdziwienie naszych przodków można zrozumieć, zwłaszcza uwzględniając okoliczność, iż w środowisku szlacheckim ówczesnej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, dla uniknięcia rażącego „tykania”, czyli zwracania się do innej osoby per „ty”, ustaliły się tytuły – Waćpan, Aspan i Asan (jako skrót od Wasza Miłość Pan), nawet w stosunku do służby i drobnej szlachty.

Nieco inaczej natomiast oceniał rosyjski charakter narodowy Jan Łasicki. Pisał o rzadkości takich zjawisk jak pijaństwo i złodziejstwo. Z uznaniem wyrażał się o religijności Moskali. Z dezaprobatą jednak mówił o przesadnej dbałości o swoiście rozumiany honor, wyniosłości, a zwłaszcza porywczoci. W związku z tym przytacza Łasicki powtarzający się w ówczesnym piśmiennictwie przykład załatwiania przez Moskali porachunków na modłę tatarską, posługując się długim na łokieć, ukrywanym w obszernych fałdach sukni sztyletem. Mówiąc o cechach charakteru Moskali wspomina też autor o ich przebiegłości i „zbytnej skłonności do Wenus”, czyli miłostek.

„Więcej się w niewoli, aniżeli w wolności kocha”

Dość obszerne relacje o Wielkim Księstwie Moskiewskim i obyczajach w nim panujących zostawił dziejopis pochodzenia włoskiego **Aleksander Gwagnin** [Guanino] (1534–1614). Urodzony w Weronie, walczył w wojsku polskim za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Osiedlił się na stałe w Polsce i zmarł w Krakowie. W 1578 roku Gwagnin wydał dzieło pod tytułem *Sarmatieae Europaeae descriptio* (**Kronika Sarmacji Europejskiej**), stanowiące utwór o charakterze kompilacyjnym, który w następnych wydaniach został on uzupełniony szczegółami wojny polsko-moskiewskiej. Książka ta zyskała popularność w Europie jeszcze w XVI wieku i tłumaczona była na języki czeski, niemiecki i włoski. Przekład polski ukazał się w roku 1611, w wersji znacznie poszerzonej.

Dokonane przez Gwagnina opisy Księstwa Moskiewskiego i jego obywateli podzielić można z grubsza na dwa zasadnicze tematy, przedstawiające ustrój tego państwa oraz panujące w nim obyczaje. Takie podejście zresztą właściwe jest prawie wszystkim autorom XV i XVI wieku. Gwagnin, jak i niektórzy jego poprzednicy, nie omija te-

matu tyrańskich rządów moskiewskich, notując: „*Naród ten wszystek Moskiewski, albo Ruski, więcej się w niewoli, aniżeli w wolności kocha. (...) wszyscy albowiem tamci obywatele jakiegokolwiek kondycji ludzie ciężką niewolą są od tyranów swych obowiązani (...) Ale, iż ten wszystek naród Moskiewski, wielkiemu Carowi podległy, bardziej sobie smakuje w niewoli aniżeli w wolności (...) z tych przyczyn znać, że oni tymi obyczajami swoimi pana sobie podobnego (jak niegdy żaby bociana na króla) z potrzeby wyciągają. (...) Tyraństwo, którym jest ten naród ściśniony, duchy ich tępi bojaźń, z którą się rodzą, ta w nich zostanie na zawsze*”.⁹ Czyżby te słowa Gwagnina, dolatujące do nas przez stulecia, były prorocze? Z pewnością nieustające rządy tyrańskie i towarzyszący im ustrój państwowy, wraz z odpowiednio wykształconym układem społecznym, pobudowanym na upodleniu jednostki, pozbawia ją poczucia obywatelskiego i prowadzi do zaniku godności osobistej. Dostrzega to Gwagnin włączając do swojej kroniki następujący Fraget: „*A to śmieszna, że słudzy na Pany swe częstokroć się uskarżają, iż ich grzbiet rzadko knutami chędożą: bo powiadają, że ty Panie mnie nie miłujesz, kiedy nie często bijesz: i znak to gniewu tego, że mnie nienawidzisz, gdy mnie nie karzesz, ani słowy, ani biciem. (...) i tak ono przez grzbiet dębowym posażkiem wzbieranie [tzn. okładanie] za miłość sobie poczytają*”.¹⁰ Powtarza również Gwagnin szeroko wówczas rozpowszechnione mniemanie o „*grubości i nieszczeroci Moskwy*”. Ujmuje to w taki oto sposób: „*Ten naród moskiewski jest tak bardzo gruby, nieludzki i przewrotny, że prawie nic w sobie tak szczerzego nie mają, co by się z prawdziwą przyrodzoną miłością zgadzać mogło, jeden na drugiego wre by na psa, bez wstydu, bez baczenia i bez bojaźni Bożej, kto co na kogo wymyślić może, włoży nań potwarz, jeszcze tam, gdzie będzie ludzi najwięcej... A tak się bardzo klną, łają, szkalują, sromocą, że to rzecz niepodobna*”.¹¹

W napisanym po zwycięstwie pod Cudnowem **Triumfie Wespazjana Kochowskiego** (1632 – 1700), też czytamy o „grubej Moskwie” i „dzikich Kazańcach”, a w **Pamiętniku** z lat 1640–1684 **Jana Władysława Poczebota-Odlanickiego** o „grubym [grubiańskim] narodzie”, „wiarołomnym Moskwicinie”. Widocznie opinie te ustaliły się na dobre w ówczesnym społeczeństwie Rzeczypospolitej, skoro zajęły trwałe miejsce w piśmiennictwie. W jednym z rękopisów nieznanego autorstwa, pochodzącego ze zbioru Załuskich i datowanego 1650 rokiem, czytamy: „*Moskale okrutni szczeni [cwani]/obrońcy twierdz/Ostrzy w ripo-stach/Czciciele obrazów zamiast bóstw/Złodzieje zawołani, między sobą nierzetelni...*”¹² Wiersz ten nawiązuje zresztą i do walorów wojskowych mieszkańców bezkresnych lasów i stepów. O ich stosunku do wojny oraz usposobieniu wojennym pisze też Gwagnin: „*A wszystkiej szlachcie i bojarom (...) rzadki spoczynek dają, bo częste walki, albo z Litwą, albo z Szwedami, albo z Turki, albo z Przekopskimi Tatary miewają (...) Polną bitwę z Polaki i Litwą rzadko*

się schodzą bo zawsze przegrywają (...) albowiem niemal wszyscy bić się i bronić obyczajnie władać nie umieją. Są jednak sposobni do dobywania, jako i do bronięcia miast i zamków”.¹³ W związku z tym warto przypomnieć też wzmiankę z *Jazdy do Moskwy* Jana Kochanowskiego: „Za murem ci Moskwicin jakkolwiek mężny / Ale kiedy przyjdzie wręcz, już tam niedołączny/. Z pewnością w czasach późniejszych opinie te musiały ulec zmianie pod wpływem doskonalenia sprawności armii rosyjskiej, ale jesteśmy przecież przy wieku XVI.

„Dlatego przysięgają żeby śniadniej oszukać...”

Nieszczerość, niedotrzymywanie układów i łamanie przysięgi, w szeregu innych przypisywanych Moskalom przywar, należą do najczęściej wymienianych przez autorów omawianego okresu. U Gwagnina, jak i u jego poprzedników, powtarza się motyw przewrotności Moskali: „A to trzeba wiedzieć, że naród moskiewski bardzo się zdradliwie z postronnym obchodzi, fałszem, krzywoprzysięstwem wszystko narabiając (...) przysięgą oszukują bo dlatego przysięgają żeby śniadniej oszukali”.¹⁴ Jan Żabczyc, którego dzieło *Polityka dworska* ukazało się w 1616 r., czyli w czterdzieści prawie lat po *Kronice* Gwagnina, omawiając „defekty cnót różnych narodów” wyodrębnia tylko jedną, zdaniem autora najbardziej charakterystyczną wadę właściwą Moskalom – wadliwe słowo właśnie.¹⁵ Dla lepszej wiary przytacza Gwagnin opinię nie wymienioną przez niego z imienia osoby, „człowieka wielkiego, a prawie Świętego”, jak podkreśla, który przez dłuższy czas znajdował się w więzieniu moskiewskim: „Prawdziwie (opowiada) ci ludzie chrześcijańskiego tytułu i nazwiska nie są godni, gdyż pod tym imieniem pełnią takie brzydkie sprośności, jakowych żaden inny naród na świecie nie słyszał. (...) Konwersując i obcując z większą częścią narodów tego świata nie widziałem, ani słyszał o takowym narodzie, któryby zrównał z Moskwą na wszelakim rodzaju nieprawości, przewrotności, zdrady co by tak próżen [wyzbyty] wszelakiej słuszności i sprawiedliwości prawa ludzkiego i Boskiego (...) Bez wątpienia naród to tak zdradliwy, tak przewrotny, tak kłamliwy, jakiego drugiego nie ma na świecie (...) A nade wszystko główni nieprzyjaciele naszego imienia katolickiego”.¹⁶

„Miasteczko o nazwie Nalewajki”

Nie omija Gwagnin także tematu skłonności Moskali upijania się na UMÓR. Przewija się on w relacjach współczesnych z zadziwiającą regularnością, a zbieżność ich treści, powtarzających się czasem dosłownie, może świadczyć o częstych wzajemnych zapożyczeniach. Dajmy więc słowo Gwagninowi: „W Moskwie, za rzeką, ks. Wasyl, ojciec Iwana okrutnika [Iwana Groźnego], dla siepaczków swych i dla drugich ludzi obcych miasteczko o nazwie Nalewajki zbudował, gdzie im się upijać pozwolono, czego pozostałym Moskalom pod groźbą wielkiej kary zakazano, z wyjątkiem

kilku śiqt, m. in. Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania Pańskiego oraz niektórych świętych. I jeszcze nie odświęciwszy, popiwszy się różnymi trunkami, jako bestie, to tam to siam biegają wrzeszcząc jak wściekły, a jako szaleni nożami się kolą. A Kidyby temu narodowi codziennie wolno byłoby upijać się, samiby się wzajemnymi razy pozabijali”.¹⁷

„A tak srogo był zniewolony od Tatarów...”

Los sprawił, że pod komendą Gwagnina służył w wojsku słynny dziejopisarz polski **Maciej Strykowski** (1547–1582), autor głośnej *Kroniki polskiej, litewskiej, żmudzkiej i wszystkiej Rusi* (1582). Jak wskazuje sam tytuł, autor opisuje ziemie wschodnie monarchii jagiellońskiej i ościennych krajów ruskich. Co prawda, nie odnajdujemy w dziele tym jakichś istotnych wiadomości o Moskwie. Niemniej znalazł się tam fragment, który poniekąd tłumaczy przyczyny półzajętyckiej despotcji moskiewskiej i poddańczego upodlenia jej ludu. Strykowski nader obrazowo przedstawia czasy niewoli tatarskiej, która wycisnęła tak głębokie piętno na całej późniejszej historii rosyjskiej. Piśze o tym w swej *Kronice*: „... a tak srogo był zniewolony od nich [Tatarów] kniaź moskiewski, iż gdy posłowie albo gońcowie tatarscy po trybut albo po jakiejś innej sprawie przyjechali do Moskwy, sam Książę Wielki piechotą musiał przeciw posłowi wychodzić, a kobyłego mleka kubek z wielkim ukłonem i czoła biciem na koniu siedzącemu Tatarzynowi podawał, a jeśli by jaka kropla na grzywę końską z wąsów Tatarskich albo z kubka kapnęła, to Książę Wielki musiał lizać; tłumaczowi zaś, czytającemu listy carskie, dla siedzenia szatę najwyborniejszych sobolów podściełał, a sam z radnymi Pany swoimi stojał, a potem czołem bijąc, słuchając listów, na kolana upadł i klęczał; ani się z żadnej posługi tyrańskiej wymawiał, też chociażby wojnę przeciw własnym przyjaciołom powinnym a chrześcijanom podnieść mu kazał, musiał wszystko czynić”.¹⁸

Nietrudno się domyśleć, że po takim, trwającym ponad dwieście lat „szkoleniu”, władca moskiewski, wyrwawszy się z niewoli tatarskiej, jako wolny już suweren, naśladował postępowanie swych ciemniejszych. Stąd wynikała ta niepohamowana zarozumiałość i buta władców moskiewskich, pokrewne pysze i wyniosłości najbardziej tyrańskich despotów Wschodu. Miał więc podstawy Jan Kochanowski pisać o lekceważeniu przez cara moskiewskiego wszystkich innych monarchów w te oto słowa: „Czyli temu dawny czas, kiedy szczęściu swemu/Car moskiewski ufać chciał światu wszystkiemu/Groźnym być, wszystki lekce króle krześcijańskie/Uważając przy sobie, także i pohańskie”.¹⁹

„gruba Moskwa”

Obszernym materiałem źródłowym zawierającym opisy Moskwy i panujących w niej stosunków są pamiętniki, diariusze staropolskie. Na dobre rozwój pamiętnikarstwa w Rzeczypospolitej rozpoczął się dopiero na początku

XVII wieku. Ubolewał nad tym **Aleksander Bruckner**, pisząc w swych „*Dziejach literatury polskiej*” „o dziwnej nieproduktywności średniowiecznej literatury”, która nie posiada ani jednego opisu podróży. „Nikt tyle nie jeździł ani posłował co Polacy, do Moskwy, do Carogrodu, do Paryża, ale nie komu ani przez myśl nie przeszło zapisywać co widział.”²⁰ Znaleźli się jednak z czasem i tacy, a wiek XVII stał się okresem pod tym względem przełomowym. Jeżeli przedtem szlachta trzymała się przeważnie starego obyczaju, siedząc na wsi po dworkach, zasklepiona w kręgu własnych spraw i tradycji, nie ciekawa podróży i obcych krajów, to burzliwe siedemnastowieczne wydarzenia polityczne zaczęły ją szybko wciągać w życie publiczne. Przede wszystkim liczne wyprawy wojenne, szczególnie na Moskwę, zmuszały szlachtę do opuszczania zagrzanych zaścianków i rzucania się w otchłań spraw politycznych.

Jako pierwszy wśród pamiętników siedemnastowiecznych wypada wymienić diariusz **Elasza Pielgrzymowskiego** z 1601 roku o długim tytule, początek którego brzmi „Poselstwo i krótkie spisanie rozprawy z Moskwą i traktatów w r. 1601...” Pochodzący z litewskich Miedników pamiętnikarz brał udział w poselstwie Lwa Sapiehy do Moskwy w roku 1600. Diariusz jego zawiera opisy licznych tamtejszych realiów i obserwacji, aczkolwiek nie należy do zbyt obszernych źródeł wiadomości o państwie moskiewskim. Stanowi niemniej wstępny krok do właściwego zespołu pamiętników tego rodzaju, ponieważ chronologicznie wyprzedza je o kilka lat. Wystarczająco długi pobyt w Moskwie dawał możliwość Pielgrzymowskiemu bliżej przyjrzeć się miastu, mieszkańcom i poddanym Wielkiego Księcia, opisać życie jego dworu. Dość ciekawy to obraz Moskwy za Borysa Godunowa, z wyliczeniem dań serwowanych podczas uczt carskich na Kremlu. Zatem większa część szczegółów i opisów dotyczy jadła i przyjęć właśnie, bo mieszkając w prymitywnych warunkach, narażeni na ustawiczne szykana ze strony gospodarzy i w ścisłym odosobnieniu, w którym ich trzymano, biesiady te były dla posłów niemal jedyną okazją do obserwowania ludzi moskiewskich i ich życia.

Ogólny obraz wypadł Pielgrzymowskiemu raczej w barwach ciemnych, z przeważającymi uwagami o rozpasaniu, hipokryzji i barbarzyństwie moskiewskim. Określenie „gruba Moskwa”, używane przez Pielgrzymowskiego, powtarza się w późniejszych relacjach polskich. Również w jego wcześniejszych listach – listach z obozu pod Pskowem, podczas wyprawy Batorego, napotkać można wzmianki o „grubym narodzie” moskiewskim. Również **Lew Sapieha**, w liście do żony wysłanym spod oblężonego w roku 1609 przez wojska polsko-litewskie Smoleńska, pisze o obrońcach miasta – „ten gruby naród”.

Niektóre fragmenty Diariusza przybierają pod piórem Pielgrzymowskiego zabarwienie karykaturalne lub ironiczne: „Po obiedzie, który trwał prawie do północy.../Kniaź młody tym co nieśli jeść i pić do stołu/Każdemu z nich

z osobna i wszystkim pospołu/...miał dać upominki.../Ali nawet dał każdemu kniaź po słonej śliwce...” Wyliczając następnie o wiele kosztowniejsze oznaki wdzięczności u ludów starożytnych, autor dodaje: „Z śliwek prostych nie widzę, by się równać miały/Tym rzeczom, co się przedtem za monarchów działy/Śliwka, śliwka, kto ją wziął nie wiele wskórali/ I szczodrość za posługę niewielką poznali/Wolałby ja mym zdaniem słyszeć dobre słowo/Śliwką się kontentować nie każdemu zdrowo”.²¹

Ten dziwny zwyczaj opisuje również Stanisław Niemojewski (1560–1620) w swym *Pamiętniku* z lat 1606–1608, upatrując w nim raczej nie przejaw dziwaczności obyczajów, lecz służalczy charakter samego rytuału. Oto opis Niemojewskiego: „Po skończeniu obiadu postawiono przed Hosudarem dwie tacy śliwek kwaszonych, niedojrzałych. Przyszli z sieni 30 par sług, co jeść nosili, po parze też każdemu z nich Hosudar z ręki swej onych śliwek dawał, które jedni zaraz przy Hosudaru jedli, drudzy zaś jedną zjadłszy, drugą do domu schowali, pokazując żonom i domowym swym, chwalcąc się taską, jako oni zowią «pożatowaniem hosudarskiem»”.²²

„Zełgał ja”

O zwyczajach biesiadnych moskiewskich, jak je widział Niemojewski, jeszcze będzie mowa. A teraz kilka słów o samym autorze. Pamiętnikarz ten pochodził ze szlachty kujawskiej, był dworzaninem Zygmunta III i z polecenia siostry króla Anny Wazówny, udał się w 1606 roku do Moskwy. Podczas tej podróży napotkały go rozmaite przygody i ciężkie przejścia. Znalazł się w grupie Polaków, którym się udało ująć z życiem z powstania przeciwko Dymitrowi Samozwańcowi. Został jednak uwięziony i po dwu latach wrócił do kraju. Jego pamiętnik zawiera interesujące opisy Moskwy i obyczajów epoki. Wspomnienia swe zaczął Niemojewski spisywać zaraz po przekroczeniu granicy moskiewskiej za Orszą. Chronologicznie obejmują okres od 18 kwietnia 1606 r. do 2 października roku 1608. Znajdując się w niewoli, autor opracował swój pamiętnik, uzupełniając go w opisy kraju i zwyczajów w Moskwie. Stąd też jego wartość. Zawiera bowiem wiadomości bardzo cenne, wyróżniające się obfitością i dokładnością szczegółów, spisanych przez człowieka wykształconego i spostrzegawczego. Aleksander Bruckner, że się ponownie odwołamy do niewątpliwego autorytetu, uważał, iż *Pamiętnik* Niemojewskiego przewyższa wszystkie dawne polskie pomniki pod względem szczegółów o Moskwie, zarówno o kraju, rządach, wojsku jak też i życiu codziennym. „W dawnej literaturze polskiej nie ma równie dokładnego i obfitego wykładu” – pisze Bruckner i dodaje, że pamiętnikarz „niczego nie upiększa, owszem pisze z goryczą, pogardą, nienawiścią; wybucha żalem i sarkazmem i grzeszy raczej przesadą stron ujemnych”. Rzeczywiście, używa Niemojewski nieraz w stosunku do Moskali okre-

śleń ostrych i dosadnych: źli, podli, grubi, kłamliwi, zdradliwi Moskwićini, ten „błahy” naród. Z drugiej zaś strony trudno jest wyobrazić, żeby zesłaniec i więzień Rostowa i Biełozierska zdobył się na bezstronną i obiektywną ocenę swych oprawców i ciemiężców.

Niesłowność Moskali w diariuszu Niemojewskiego jawi się ich nieodłączną, charakterystyczną niemalże cechą. Pewnego dnia notuje: „...nas obiecali do Polski odpuścić, rozumiejąc, że to prawda była; na czym żeśmy bardzo omylili, jeszcze świadomi nie będąc, żeby to tak kłamliwy naród był (...) naprzód przysięgać się będzie na krzyż święty, żegnać się, twierdząc to, co powiedział, a kiedy się okaże, że przecie inaczej jest, niż on twierdzi, na ostatek przyzna się i bez wszelkiego wstydu rzece: «zełgał ja»”. Przywara ta, podkreśla Niemojewski, właściwa jest również wyższym warstwom społecznym, osoby cara nie wyłączając. „Hospodarowi samemu mawiają Bojarowie: - Wielki Kniaziu, Caru, Hospodarowi wsieha Rusi, zełgał ty...” Kiedy natomiast Dymitr Samozwaniec zabronił podobnych wypowiedzi, wstydząc się przebywających na dworze carskim Polaków i Litwinów, dziwili się najszczerzej i pytali: „A jakoś ci mówić Hosudarowi, Caru, Wielki Kniaziu wsieha Rusi, kiedy zełżesz?”.²³

Powyższa relacja bardzo przypomina zdanie posta angielskiego na dworze moskiewskim **Richarda Fletchera**, który w swym dziele **O państwie rosyjskim** (1588) pisał: „Co dotyczy wierności danemu słowu, to Moskale przeważnie za nic ją nie mają, gdzie tylko mogą coś wygrać oszustwem. Naprawdę rzecz można – a jest to dobrze wiadomo tym, co mieli z nimi więcej spraw handlowych – każdy Moskal od dużego do małego, z wyjątkiem bardzo niewielu, których bardzo trudno odnaleźć, nie wierzy temu, co mówi inny, a za to i sam nie powie nic takiego, na czym można polegać. Te cechy czynią ich godnymi pogardy w oczach wszystkich sąsiadów, zwłaszcza Tatarów, którzy się uważają za daleko uczciwszych i sprawiedliwszych od Moskali. Ci, którzy uważnie badali stan obu narodów, sądzą, iż nienawiść do trybu rządzenia i postępowania Moskali była do tej pory głównym powodem pogaństwa Tatarów i ich wstrętu do wiary chrześcijańskiej”.²⁴

„Daj Hospody, Hospodar zdrów był, wie i rozumie wsio..”

Znajdujemy u Niemojewskiego sporo wypowiedzi i opinii na tematy religijne, głównie porównawczych, oceniających prawosławie moskiewskie z pozycji katolicyzmu. Dziś ciężko jest ocenić, w jakim stopniu odpowiadały one rzeczywistości i na ile były głębokie lub powierzchowne, gdyż od tamtej epoki oddziela nas już ponad 400 lat. W tym czasie wiele mogło w obrzędach religijnych się zmienić. Oddajmy jednak głos świadkowi wydarzeń: „Popy wszyscy żonaci, a kiedy mu żona umrze, przestaje być popem i w prostego się chłopca obraca, jakoby rangą charakteru kapłańskiego

żona była. (...) Gdy też białogłowa w domu porodzi, powiadają, że się ten Dom i wszyscy w nim mieszkający spoganili, i zaraz przychodzi pop żeby znowu pozyskać ich kościołowi (...) Kiedyśmy ich pytali, czemu by te młode nie chodziły też do służby Bożej, powiadali: «A co im po tym, kiedy jeszcze młode». Z tej też przyczyny i sakramentów nie używają, dopiero w podeszłym wieku. (...) błędów siła u tych głupców i wyrodków dawnego świętego kościoła greckiego, którzy za nieposłuszeństwem, jako od jedności odpadli, nie mając żadnego pasterza i dyrektora, wiarę świętą i obrzędy kościelne w zabobonne praktyki obrócili (...) żadną religią bardziej się nie brzydzą jako świętą, powszechną, katolicką i kiedy chcą na kogo największe przekleństwo włożyć, tym przeklinają: „Bodaj ty był łatynnikiem”.²⁵ Zarzuca też Niemojewski Moskalom prostactwo religijne, które równie dobrze uchodzić może za gorliwą pobożność i szczerą religijność. Notował niemniej: „Nie wyjdzie, ani wejdzie do żadnego domu, nie zje, ani napije, nie przeżegnawszy się. Także i kiedy cerkiew ujrzy, do kilkunastu razy i więcej żegnać się będzie. Z poranku także z domu wyszedłszy, wielu z nich obracając się na wszystkie strony, wiele razy żegnając się, łbem kiwają, w tych trzech rzeczach nadzieję zbawienia swego pokładając w grubej prostocie”.²⁶

W swym dziele czyni autor obszerniejsze dygresje dotyczące ogólnej sytuacji w państwie moskiewskim, jego ustroju, prawa, wojskowości. „Ten gruby naród Litwą nas nazywa, rozumiejąc, że tylko trzy narody w chrześcijaństwie: Ruś, najprzedniejsza, którą się oni zowią; potym Litwa, a tymże nazwiskiem i Polaków zowią; trzeci Niemczyzna, wszystkie inne narody w to przezwisko włączając (...) łowiąc ich Niemczyzna francuska< Niemczyzna duńska, szwedzka, brabancka. O tych tylko nieco wiedzą, handel z nimi wiodąc, o inszych zaś narodach rzadko bardzo co słyszeli. (...) A też nie dziw, bo (...) nauk i ćwiczenia się w zakonie [Piśmie Świętym] nie znają. (...) Ale i ksiąg żadnemu nie wolno czytać i w domu mieć, prócz psalterza i homilii św. Jana Chryzostoma; inaczej byłby w podejrzeniu, że chce być mądrzejszym niż Wielki Książ, co jest przestępstwem zasługującym na karę śmierci. Także rozmawiać z cudzoziemcem nikomu nie wolno, albo się pytać o czym, ani mówić bez obecności przy tym przystawa, od Wielkiego Kniazia przysłanego. Kiedy którego kto z obcych spyta o zdanie jego, odpowie: «Nie wiedaju, nie rozumiem, ale Car Wielki Książ wsieha Rusi, daj Hospody, Hospodar zdrów był, wie i rozumie wsio»”.²⁷

„Wolności żadnych nie chcą, a nie wiedzą też, co to jest”

Dość krytyczne są uwagi Niemojewskiego dotyczące praw i wolności poddanych cara. „Prawa pisanego ani ustawodawstwa żadnych nie mają, tylko zwyczajami się sądzą, które sędziowie dają sobie spisywać do sądowych izb. (...) Mężowi żonę wolno zabić z tej racji: kiedyby do-

bra była, ni zabijałby jej. (...) Wolności żadnych nie chcą, a nie wiedzą też, co to jest". Autor wspomina, że kiedy Polacy opowiedzieli o panujących w ich ojczyźnie wolnościach obywatelskich, iż nikt nie może być aresztowany bez podstaw prawnych, a król nie ma prawa wprowadzenia podatków, ani też wypowiedzenia wojny bez zezwolenia Sejmu, „dziwując się opowiadali nam: «Horoszo to tak u was, ale my zaś powolnością naszą tym większą zasługę mamy w niebie».”²⁸ Trudno o bardziej bierne i wymijające tłumaczenie swego podległego stanu, który zrównał biednych i bogatych, pospólstwo i arystokrację. „Zameczku żadnego własnego nikt nie ma, tylko dworki drewniane, z okrągłego, nieociosanego drzewa budowane, w których rzadka świetlica, pospolicie czarne izby. (...) A też nie wolno nikomu budować sobie izby z ciosanego drzewa. Za Iwana, Wielkiego Kniazia, jeden Bojarzyn, będąc posłem w Polsce, przypatrywał się budowaniu naszemu i przyechawszy, kazał sobie z ciosanego drzewa izbę postawić; o czym dowiedziawszy się Wielki Książ kazał pospólstwu wszystkich ten Dom, błotem popluskawszy, rozrzucić, że pospolity człowiek chce mu być równy”.²⁹

„Pracowicie zamków bronią...”

Rozważając o możliwościach militarnych Moskali notuje Niemojewski co następuje: „Sposób po te czasy wojowania narodu tego był wszystkich na koniach zwyczajem tatarskim, jedni z łuki, drudzy z rohatynami, drudzy też sztukę żelaza albo kości do nahajki uwiązawszy. Ludzie nadzy, nie każdy ma szablę (...) Teraz już niektórzy, chociaż bardzo rzadko, miewają kierysy, pancerze, hełmy (...) Potykanie się u nich także dziełem tatarskim: albo uciekając strzelają z łuków (...) siebie chwalą, że i potykając się biją i uciekając” [w innym miejscu czytamy też: „Potykanie się u nich tatarskim zwyczajem: biegając albo uciekając, strzelają”].³⁰ Autor, jako jedyny bodajże wśród pamiętnikarzy wspominających o szczególnej wprawie Moskali przy obronie twierdz i grodów, usiłuje tłumaczyć tę taktykę i sprawność. „Zawždy, ale osobiwie na wojnie, posłuszeństwo u nich wielkie”. Każde wykroczenie lub brak karność karane były dożywotnim więzieniem, śmiertelnym biciem, albo też wysłaniem na wierną śmierć w walce z nieprzyjacielem. „I dlatego właśnie pracowicie zamków bronią” – konkluduje pamiętnikarz.³¹

„Napój u nich przedniejszy gorzałka”

Jak już zaznaczono na wstępie, pamiętnik zawiera sporo szczegółów dotyczących tradycji, obyczajów i mody w ówczesnej Moskwie. Oto niektóre z tych uwag o życiu codziennym mieszkańców tego państwa. „Napój u nich przedniejszy gorzałka, którą się nie tylko mężczyźni, ale i białogłowy zbyt się obżerają. (...) Było też hiszpańskie i francuskie wino, tto morzem przychodzi, ale mało tego używają, wolą gorzelec. Miody rozmaite, ale żadnego dobrego. (...) Na weselach

żadnej dobrej myśli, muzyki, tańców, prócz pijaństwa nie masz (...) aż się popiją przeplatając to miód, to gorzałkę, to piwo (...) Przy jadł także mieszają to gorzałki czarę, to inszego napoju. (...) Talerzy nie używają, garściami z misy biorą, a kości pod stół, albo zaś w misę rzucają”.³² „Strojów też nie wymyślają; jaki wzięli od Tatar, takiego się dzierżą, z wyjątkiem kołnierzy stojących, co od naszych zapożyczyli, które sobie do kaftanów przyszywają, a wysokie, mało nie równe z łbem. (...) Dziewczętom głowy golą, tylko nad uszema kosmyki długie zostawiają. Zwyczajnie wszystkie się bielą i rumienią, a co dziwniejsze, oczy, żrenice czernią, brwi przyrodzone ogolą, a inne wyżej sobie przylepiają”. I, jakby podsumowując, wnioskuje: „Tych obyczajów i wojowania nauczyli się od Tatarów, naonczas panów swych, u których przez 400 lat w niewoli byli”.³³

Tyle Stanisław Niemojewski, podstoli koronny.

„Wasza wolność wam dobra, a nasza niewola nam”

Zamknięty świat wschodniego sąsiada Rzeczypospolitej stanowił dla jej poddanych (nie mówiąc już o podróżnych z bardziej oddalonego Zachodu) teren nie mniej egzotyczny, niż kraje orientu. Egzotyka ta mniej dziwiła ludzi pochodzących z ziem bezpośrednio sąsiadujących z państwem moskiewskim – z obszarów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Do takich właśnie należał **Samuel Maskiewicz** (1580–1640), pisarz nowogrodzki, „Litwin, prostak kresowy, uczestnik kampanii moskiewskiej zarówno pod Żółkiewskim, jak po odwołaniu hetmana, był typowym kondotierem, szukającym na wojnie przygód i pieniędzy”, jak go scharakteryzował **Julian Krzyżanowski** w swej *Historii literatury polskiej*.³⁴ Ten oficer husarii zostawił po sobie Pamiętnik, spisany od roku 1594, zawierający sporo wiadomości dotyczących współczesnych mu zjawisk, kultury moskiewskiej oraz szkice obyczajowe. Wykazuje w nim autor różnicowany stosunek do widzianego z murów Kremla – od pogardy i butnego lekceważenia do podziwu.

Przed wszystkim rzucały się autorowi w oczy rażące różnice w pojmowaniu prawa, zasad rządzenia i sprawiedliwości w Polsce a Wielkim Księstwie Moskiewskim. Naturalnie, tych odmienności miłujący wolność szlachcic nie mógł pozostawić poza uwagę. Pisze o swych rozmowach z Moskalami na ten temat: „W rozmowie z nimi nasi zalecali im wolność, aby się z nami spoiwszy teje nabywali, a oni po prostu: wasza wolność wam dobra, a nasza niewola nam; wolność bowiem wasza, prawi [mówi], swawolą jest (...) A jeśli sam Car jakie mi bezprawie uczyni, to jemu wolno jako Bohu, bo on i karaje i żałuje [uśmiewa] (...) bo oni tak rozumieją, że monarchy większego pod słońcem nie ma nad ich Cara, i żaden mu wydołać [podołać] nigdy nie może i przetoż go nazywają: Słonce prawiednoje, świeciło Ruskoje”. W rozmowach z Polakami powiadali też oni: „u was każdy możniejszy krzywdę może słabemu, zwłaszcza chłopom wyrządzić. Cóż więc z tego, że mogą oni praw

swych dochodzić poprzez organa państwowe i instytucje publiczne? Latami to trwać może niewiadomo z jakim skutkiem. U nas zaś, wystarczy do cara bezpośrednio zwrócić się o pomoc, aż on sprawiedliwość przywróci natychmiast, nie bacząc na osoby. Dlatego nawet możni tak skutecznego i szybkiego sądu carskiego unikają”.³⁵ Wątpić jednak należy, że tę naukę Maskiewicz przyswoił. Niczym nie ograniczona władza carska w oczach europejczyków kojarzyła się raczej z azjatycką despotcją, wyuzdanym uciskiem i bezprawiem, niż ze środkiem ograniczającym anarchię, której, niestety złota wolność polska też uniknąć nie mogła.

„Nauk też tam żadnych nie ma – aby który mędrszym nad Cara nie znalazł”

Nie ominął Maskiewicz w swym pamiętniku ówczesnych rosyjskich praktyk religijnych, wypowiadając się o nich niezbyt pochlebnie, mając na myśli przede wszystkim ciemnotę ludu nie zawsze zdającego sobie sprawę z istoty i sensu praktyk religijnych. „Grubiaństwo wielkie między prostym ludem około wiary” – pisze, przytaczając następujący przykład: „Podczas kiedy król pod Smoleńsk podstąpił, okoliczni do lasów z bydłem uciekać poczęli, biorąc z sobą i obrazy z domów (w których oni nazbyt wielką ufność pokładają), zatem kiedy nasi żywność w lesie szukając, i natrafiwszy na nie, bydło im pobrali, oni rozgniewawszy się na obrazy, powiesili ich w górę nogami na drzewie, na wzgardę ich, mówiąc: my wam się modlim, a wy nas od Litwy nie strzeżli”.³⁶

W sposób krytyczny wypowiada się pamiętnikarz również o nauce i kształceniu się w Moskwie: „Nauk też tam żadnych nie ma, ani ich używają, bo zakazane są, a to temu gwoili, aby który mędrszym nad Cara nie znalazł...”.³⁷ Twierdzenie to popiera Maskiewicz przykładami z opowiadań bojarzyna Gołowina, z którym zaprzyjaźnił się mieszkając w Moskwie. „Było to za owego tyrana [Iwana Groźnego], że kupiec z Litwy przywiózł do Moskwy kalendarze do sprzedaży. Dowiedziawszy się o tym car rozkazał część z nich, jako wzory, przynieść jemu. Okazały się podobno „za mądre” jak na niego, gdyż nic z nich nie zrozumiał. W obawie więc, żeby ludzie nie nauczyli się tego rozumieć, czyli innymi słowy nie stali się mądrzejsi od niego, kazał car temu kupcu zapłacić za całą partię kalendarzy taką cenę, jakiej zażąda, a następnie spalić je wszystkie rozkazał”.³⁸ Rodzony brat owego Gołowina był bardzo zdolny do obcych języków. Nie wolno mu jednak było publicznie, czyli jawnie i otwarcie, tych języków się uczyć, według zwyczajów naówczas w Moskwie panujących. Musiał więc trzymać u siebie w domu po kryjomu Niemca i Polaka, którzy nauczali go języków niemieckiego i łaciny oraz potajemnie nabywać książki dla tej nauki.

Relacje powyższe świadczą nie tylko o stanie nauki i edukacji, który zastał w Moskwie pan Samuel. Odsłaniają one również poniekąd źródła późniejszej rosyjskiej kse-

nofobii, której korzenie sięgają głębi stuleci. Inny zaczerpnięty z pamiętnika przykład świadczy, że tradycyjna dla Rosjan szpiegomania też nie powstała na pustym miejscu. „Tam kiedy kto idzie lub jedzie w nocy bez ognia, uważa się za złodzieja lub szpiega. Dlatego znakomici i nieznaczeni, chcąc uniknąć biedy, powinni jeździć i chodzić z latarnią: a kto wpadnie w ręce warty, tego niezwłocznie odsyłają do fortecy na więzienie, skąd rzadki wychodzi”.³⁹

Moskiewski sposób na zwalczanie pijaństwa

Ale nie same tylko przywary widzi Maskiewicz w Moskalach. Zwraca on uwagę na zdolności i zalety prostego ludu, szczególnie na wysoki poziom rzemiosła rosyjskiego. Jak pisze, rzemieślnik rosyjski „wyśmienity, bardzo dobry” jest na tyle pojętny i roztropny, że potrafi zrobić każdą rzecz po pierwszym na nią spojrzeniu tak dobrze, „jak by na tym wzrósł”, choć przed tym jej „jak żyw nie widział”. Zdumiewa też Maskiewicza trzeźwość obyczajów panująca w Moskwie, tym bardziej, że w Rzeczypospolitej XVI – XVII w. liczny naród szlachecki za kołnierz nie wylewał. Zaprzecza to zupełnie obserwacjom Stanisława Niemojewskiego, co raczej nie powinno dziwić, gdyż tamten, będąc posłem, obracał się przeważnie w wyższych kręgach dworskich, wtenczas jak carski zakaz picia obowiązywał warstwy niższe. Oddajmy jednak głos Maskiewiczowi: „Trzeźwość wielką zachowują między sobą, starszym i pospólstwu bardzo ją zalecają, zakazując pijaństwa i przetoż karczm (według ich nazwy – kabaków) ani piw i gorzałek na sprzedaż nigdzie nie masz po wszystkiej Moskwie. Człowiekowi pospolitemu nie wolno robić w domu to, czym by się miał upić, bo często szpiegowi chodząc upatrują. Starostowie rewidują domy (...) koggo pijanym obaczono, do turmy go zaraz wzięto (...) po siedzeniu długim w turmie, knutami go okropnie siekają, po ulicach wozząc kaci...”⁴⁰ Istnieje moskiewski sposób na zwalczanie pijaństwa.

„Narzeczony nie widzi swojej oblubienicy do samego wesela...”

Odmienność obyczajów moskiewskich widocznie skłoniła autora do niektórych refleksji nad życiem codziennym w państwie cara: „Żenią się oni prawie jako Żydzi: nie jeden narzeczony nie widzi swojej oblubienicy do samego wesela... Zwyczaj tam takie: w jednej komnacie mężczyźni siedzą, w drugiej oddzielnie białogłowy”.⁴¹ Był to w ogóle zwyczaj orientalny, w tym muzułmańsko-tatarski, co ze względów historycznych i geograficznych bardziej do Rosji pasowało. Ale autorowi z autopsji bardziej była znana tradycja żydowska, dlatego też zapewne na nią się powołał. Niewiasta „wyjeżdża w kolebce [lektyce] ze wszech stron osłoniętej (...) z której każdego widzi ona, sama nie będąc widziana, chyba gdy siada do kolebki lub z niej wychodzi (...) Komnaty dla niewiasty budują się w tyle domu, o chociaż jest wchód do nich od podwórza po schodach, lecz klucz od nich ma

gospodarz u siebie, tak że do części niewieściej przez jego tylko izby wejść można. Z mężczyzn nikogo tam nie wpuszczają, nie wyłączając nawet krewnych. Dziedzinić zaś za mieszkaniem kobiet obwodzi się [otacza się] tak wysoką palisadą, że chyba ptak przez nią nie przeleci. Tam to używają kobiety przechadzek”.⁴² Trudno się oprzeć wrażeniu, że mamy przed sobą opis haremu.

Zabawy i rozrywki moskiewskie też nie budzą w Maskiewiczach zachwytu. Pisze z odrobiną urazy i zgorszenia: „Na wieczorach żadna muzyka nie bywa; śmieją się z naszych tańców, uważając za rzecz nieprzyzwoitą tańczyć poważnemu człowiekowi. Zato mają u siebie błaznów, którzy ich bawią ruskim skakaniem. (...) Mówią oni o tańcach naszych: co za ochota po komnatach chodzić, szukać nic nie straciwszy, udawać wariata i skakać jak kuglarz? Poważny człowiek siedzieć powinien na swoim miejscu i tylko się bawić wydwarzaniem [wykrętasami] błazna, a błaznem nie być samemu dla zabawy drugich, to się nie godzi (...) Moskalom wszakże bardzo się podoba to, niech to im będzie na zdrowie! Zostaną sobie ze swymi rozrywkami, nie znając lepszych!”⁴³

Swój pamiętnik pisał pan Samuel stylem niezwykle prostym, nie używając zbyt wielu kategorii stylowych i unikając nadmiernych nawarstwień. Chodziło mu przede wszystkim o przekazanie informacji, a nie o walory literackie.

„Moskwicz krnąbrny, choć sto razy bity...”

Odmienność o obcość obyczajów moskiewskich była powszechnie znana już pod koniec XVI wieku. W swym *Dzienniku wyprawy Stefana Batorego pod Psków* (1581) odnotowuje Jan Piotrowski, iż z obozu króla wysłano do cara dzieła Herbersteina i Gwagnina, opisujące państwo moskiewskie widziane oczyma Europejczyków. Do wiadomości tej dołączył autor nie bez przekąsu następujące słowa: „aby sobie czytał, co o jego obyczajach świat pisze”. Tę samą wojnę opisuje w swych Pamiętnikach o wojnie moskiewskiej (1584) Reinhold Heidenstein (1556–1620), przedstawiając obraz polskiego zwycięstwa nad Iwanem Groźnym. Znajduje się w nich epizod znakomicie charakteryzujący różnice ustrojowe i moralne, które istniały między Rzeczpospolitą a Moskwą. Chodzi o epizod, kiedy po poddaniu się wojsk moskiewskich król wyznaczył straż dla jeńców, „która miała bronić ich od swawoli żołnierskiej (...) Przestrzegał król jak najpilniej, ażeby się Moskwie jaka krzywda nie działa od żołnierzy. (...) Czyn ten zjednał mu niemałe uwielbienie u nieprzyjaciół, tym bardziej podziwiających łaskawość i sumiennność królewską, że w ciężkiej swej niewoli o takich cnotach nie słyszeli wcale”.⁴⁴ Wspomniałobyśmy ten gest, świadczący o przestrzeganiu zasad prowadzenia wojny w jaskrawy sposób kontrastuje z rażącym postępowaniem Rosjan w stosunku do jeńców z wojna Batorego: „W obrębie zamku znajdowano poszarpane ciała naszych żołnierzy, których Moskwa dopadła była (...) zawłóknęła ich do zamku, w najokropniejszy sposób rozszar-

pywała na sztuki. (...) ...pastwiła się okrutnie: wsadzała ich do kotłów, pod którymi palił się ogień, i, nalawszy wody po kolana, gotowała żywcem; wiązała im ręce w tył powrozem i, ponacinawszy wzdłuż brzuch i całe ciało w gęstych odstępach, najohydniej darła z nich pasy. Dyszeli więc zemstą żołnierze. Król jednak, uważając, że słowa raz danego nieprzyjacielowi, łamać nie wolno, dwie rotę przysłał tym na obronę, którzy wracali do Moskwy”.⁴⁵

Poruszony tu temat brutalności moskiewskiej podejmował też urodzony na Wołyniu pisarz polityczny Szymon Staropolski (1588–1656) w swej apologii Rzeczypospolitej Pt. *Declamatio contra obtrectatores Poloniae* (**Mowa przeciwko zazdrośnikom Polski**). Wyliczając cechy szczególne charakterów różnych narodów, za główną cechę Moskali uważa okrucieństwo: „Nie jesteśmy ani pyszałkowaci jak Niemcy – pisze o swoich rodakach autor – ani lekkoduchy jak Francuzi, ani wyniośli jak Hiszpanie, ani okrutnicy jak Moskale”. W *Kronice Pawła Piaseckiego* (1579–1649) czytamy: „Moskale, im bojaźliwszy z przyrodzenia, tym sroższy [tu: nieludzki, straszny] naród, a poeta Wespazjan Kochowski z pogardą pisze o „żydogłowych Moskalach” i o wiarołomnej Rusi, nazywając Moskwę jadowitą harpią. Guillaume de Beauplan w *Opisie Ukrainy* twierdzi nawet, że szlachta polska nie utrzymywała stosunków z Moskalami z powodu ich brutalności. Wzmiankuje też o nich Andrzej Maksymilian Fredro (1620–1679) – „Moskale raczej ostrożni, niż odważni”, jak również Wacław Potocki (1621–1696) w swej *Wojnie Chocimskiej*: „...Moskwicin krnąbrny, choć sto razy bity”, „Moskal przeniewierca”, dokładając do tych opinii – obłudnika< krzywoprzysięzcę, gbura. Moskwa niecnotliwa z naszej wiary śmieje” – woła i ujmuje porównawczo: „Żle słynęli Syrowie u Rzymian i Greków/Z nieludzkich obyczajów, z głupstwa starych wieków/Jako z tych Moskwa słynie między chrześcijan/Pod siódmym się trionem rodząc grubiany”.⁴⁶

„Bardziej się urażają o krzywdę imienia carskiego niż imienia Bożego”

Wrażenia i opinie związane z Moskalami w *Pamiętnikach Jana Chryzostoma Paska* (1630–1701) sprowadzają się przeważnie do opisów wojennych potyczek pod Lachowiczami i nad rzeką Basią. Odnajdujemy u niego jedyną bodajże uwagę wartościującą: „... oni bardziej się urażają o krzywdę imienia carskiego niżeli imienia Boskiego”.⁴⁷

Tymczasem siedemnastowieczne poselstwo moskiewskie było widowiskiem nie lada jakim. Na podstawie źródeł staropolskich opisuje je żywo Jan Kucharzewski w swym dziele *Od białego caratu do czerwonego* (1925): „Ludzie ci, nie mając zazwyczaj doświadczenia i umiejętności prowadzenia rozmów dyplomatycznych, często nie znający języków, przerażali Europejczyków odmiennością swoich zwyczajów. Jednym z zasadniczych motywów ich postępowania była ustawiczna bojaźń gniewu carskiego oraz kary za wyrzeczenie „niewłaściwego” słowa, lub popełnienie

jakiegoś błędnego czynu, wyłamującego się ze szczegółowo ustalonych przepisów proceduralnych i uchylającego *ceteris paribus*. Sposób ich bycia też nie należał do swojskich w Europie. Paradując na ulicach w swoich narodowych strojach, uszytych z różnobarwnego złotogłowia o ogromnych kołnierzach i przydługich rękawach w futrzanych czapkach orientального kroju, niezmiennie skupiali dookoła siebie tłumy chętnych egzotycznych widowisk gapiów”. Do poselstw moskiewskich odnoszono się z lekceważeniem, wyśmiewano ich obyczaje, pomijano przy zaproszeniach na uroczystości. Echem tych poglądów polskich, pisze Jan ST. Bystrzeński w swym klasycznym już dziele *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce, wiek XVI–XVIII*, jest fragment z pamiętnika Laboureaux, dworzanina marszałkowej de Guébriant, opisujący poselstwo moskiewskie za czasów Władysława IV: „Nędzny był wjazd tego posła do Warszawy; miał z sobą dwieście lub trzysta osób źle ubranych... większa ich część jechała sankami, a konie były chyba nie większe i nie piękniejsze od naszych osłów francuskich (...) Co się tyczy dworu poselskiego, nie lepsze obyczaje jego jak ubiory. Jedli bez serwet i obrusów, a raczej nie jedli, ale pili zawsze, i to nie wino lecz gorzałkę, którą się od rana do wieczora zalewali (...) Chociaż są szlachtą, bawią się kupiectwem i sprzedają przy okazji tych poselstw sobole, rysie i gronostaje”.⁴⁸

W piśmiennictwie polskim epoki humanizmu przejawiała się wyraźna tendencja do kształtowania własnej postawy w życiu duchowym, rozstrzygnięcia zagadnień politycznych, religijnych i etycznych. Rezultatem tych procesów była świadomość własnej odrębności, wartości i trwałej pozycji nie tylko w kraju, ale i Europie, tak na Zachodzie jak i na Wschodzie. Procesy te nie mogły nie znaleźć odzwierciedlenia w ówczesnej polskiej literaturze, poezji, pamiętnikarstwie.

Współczesnego czytelnika razić mogą lapidarność i bezkompromisowość sądów autorów tamtego okresu. Trzeba jednak brać pod uwagę tę okoliczność, iż było to w XVI–XVII stuleciach zjawiskiem powszechnym, nie tylko polskim bynajmniej. Z drugiej zaś strony nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie wychowani w tradycjach europejskich i cywilizacji łacińskiej patrzyli na świat wschodni jak na odmienny, różniący się od zachodniego typem kultury. Ta kultura była mniej skomplikowana, bardziej ascetyczna, obca ideałom świeckim, co czyniło życie moskiewskie bardziej archaicznym, jednowymiarowym, pogrążając je w odmętach teokracji i zaściankowości.

Często oceniamy przeszłość według kryteriów współczesnych, co jest rzeczą niedopuszczalną tak ze względu na metodologię historii jak też rzetelną ocenę zjawisk historycznych. Natomiast możemy, a nawet musimy pokazywać i ujawniać ją taką, jaką widzieli ją ci, dla których była teraźniejszością.

Opracował dr Jerzy Waszkiewicz
Mińsk

¹ A. Bruckner, *Dzieje kultury polskiej*, Kraków 1930, t. II, s. 648–649.

* W dawnych czasach, aż po wiek XIX, mianem „Moskala” określano Rosjanina („Rusinami” nazywano prawosławną ludność Rzeczypospolitej, zamieszkującą przeważnie tereny dzisiejszej Ukrainy). Miano to nie miało zatem wydźwięku pejoratywnego czy też obraźliwego, które nadano mu w XX w.

² A. Sajkowski, *Nad staropolskimi pamiętnikami*, Poznań 1964, s. 7.

³ N. Davies, *Boże igrzysko*, Kraków 1991, s. 134.

⁴ A. Giza, *Polaczkowie i Moskale*, Szczecin 1993, s. 43.

⁵ A. Bruckner, *op. cit.*, t. II, s. 215.

⁶ Cyt. za: St. Kot, *Polska złotego wieku a Europa*, Warszawa 1987, s. 791.

⁷ Mikołaj Rej z Nagłowic, *Zwierciadło*, t. II, Kraków 1914, s. 323.

⁸ Tamże, s. 82.

⁹ A. Gwagnin, *Kronika Sarmacji Europejskiej*, Kraków 1611, s. 510, 524–525, 572.

¹⁰ Tamże, s. 512.

¹¹ Tamże, s. 519.

¹² Por. St. Kot, *op. cit.*, s. 741.

¹³ A. Gwagnin, *op. cit.*, s. 517–518.

¹⁴ Tamże, s. 476.

¹⁵ Por. St. Kot, *op. cit.*, s. 731.

¹⁶ A. Gwagnin, *op. cit.*, s. 572–573.

¹⁷ Tamże, s. 475.

¹⁸ M. Strykowski, *Kronika polska, litewska, żmudzka i wszytkiej Rusi*, Warszawa 1846, t. II, s. 283.

¹⁹ J. Kochanowski, *Jezda do Moskwy* [w:] *Dzieła polskie*, t. II, Warszawa 1967, s. 149.

²⁰ A. Bruckner, *op. cit.*, t. I, s. 607; t. II, s. 216.

²¹ E. Pielgrzymowski, *Poselstwo i krótkie opisanie rozprawy z Moskwą* [w:] A. Bruckner, *Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej*, „Biblioteka Warszawska”, t. I, zesz. 2, Warszawa 1896, s. 272–273.

²² *Pamiętniki Stanisława Niemojewskiego 1606–1608*, Lwów 1899, s. 55–56.

²³ Tamże, s. 98.

²⁴ Дж. Флетчер, *О государстве русском*, [w:] *Проезжая по Московии (Россия в 16–17 веков глазами дипломатов)*, Москва 1991, s. 138.

²⁵ Tamże, s. 127–128.

²⁶ Tamże, s. 169.

²⁷ Tamże, s. 130, 169.

²⁸ Tamże, s. 168–169.

²⁹ Tamże, s. 173.

³⁰ Tamże, s. 159.

³¹ Tamże, s. 163.

³² Tamże, s. 170, 175.

³³ Tamże, s. 173–174, 176. Gwoli sprawiedliwości zaznaczmy, że niewola tatarska na Rusi moskiewskiej trwała trochę ponad 220 lat.

³⁴ J. Krzyżanowski, *Historia literatury polskiej*, Warszawa 1964, s. 268.

³⁵ *Pamiętniki Samuela Maskiewicza*, Wilno 1938, s. 342–343.

³⁶ Tamże, s. 15–16.

³⁷ Tamże, s. 42.

³⁸ Tamże, s. 43.

³⁹ Tamże, s. 41.

⁴⁰ Tamże, s. 42.

⁴¹ Tamże, s. 39–41. Pisze o tym też Stanisław Niemojewski: „Białogłowy z panią młodą w inszej izbie od mężczyzn siedzą, i rozjadają się z wesela i nie widzą się z mężczyznami...”

⁴² Tamże, s. 39–40.

⁴³ Tamże, s. 39–40.

⁴⁴ Cyt. za: I. Chrzanowski, *Historia literatury niepodległej Polski*, Warszawa 1920, s. 224.

⁴⁵ Tamże, s. 224–225.

⁴⁶ W. Potocki, *Wojna Chocimska*, Kraków 1924, s. 82–83.

⁴⁷ J. Ch. Pasek, *Pamiętniki*, Wrocław 1968, s. 151.

⁴⁸ J. Bystrzeński, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce, wiek XVI–XVIII*, Warszawa 1994, t. I, s. 131.

Polska i Polacy

Polska

Czekamy na 1 maja dzień beatyfikacji naszego kochanego Jana Pawła II. Od tego roku 1 maja kojarzył się już będzie z Janem Pawłem II, a nie z lewicowym świętem pracy. Człowiek, który siłą ducha rozbił bandycki system komunistyczny w Europie, co wydawało się niemożliwe, unieważni w końcu pierwszomajowe pochody. W ten dzień media całego świata będą skoncentrowane na Placu Świętego Piotra, a nie na innych placach, gdzie przez lata powiewały czerwone sztandary.

W 2010 r. Polska wyeksportowała towary za 117 mld euro. Jest to rekordowy wynik. W 2004 r. - pierwszym roku członkostwa Polski w Unii, eksport Polski wynosił 60 mld euro. Po 7 latach członkostwa, eksport wzrósł dwukrotnie. Europejczycy ufają polskiej jakości, np. Niemcy sprowadzili z Polski towary o wartości 30 mld euro. Eksport na wschód ma również tendencje wzrostowe. Sprzedaż polskich towarów do Rosji wzrosła aż o 40%.

Caritas Polska zebrała około 3,5 tony starych polskich monet i banknotów o wartości ponad 2 miliardy starych złotych. Narodowy Bank Polski wymienił je na 250 000 nowych złotych. Zebrane pieniądze Caritas przeznaczy na stypendia dla 298 ubogich dzieci.

60 lat temu - 8 lutego 1951 r. został stracony w więzieniu mokotowskim w Warszawie mjr Zygmunt Szendzielarz "Łupaszko", jeden z bohaterskich żołnierzy wyklętych, walczący z sowieckimi okupantami na Kresach. Był on dowódcą, działającą na terenie Wileńszczyzny i Białorusi, legendarnej 5 Wileńskiej Brygady AK, zwanej też „Brygadą Śmierci”. Do dzisiejszego dnia nie jest znane miejsce pochówku Łupaszki i trzech innych oficerów straconych razem z nim. 30 czerwca 2008 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach odbył się symboliczny uroczysty pogrzeb mjr. Zygmunta Szendzielarza "Łupaszki". Za udział w kampanii wrześniowej 1939 Łupaszko został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy, w styczniu 1944 r. - Krzyżem Walecznych przez Komendanta Okręgu, płk. Aleksandra Krzyżanowskiego ps. „Wilk”, 25 czerwca 1988 r. Prezydent Polski na Uchodźstwie w uznaniu wybitnych czynów w czasie wojny nadał mu Krzyż Złoty Orderu Virtuti Militari, a w 2007 został odznaczony przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Łupaszko ma już tablice pamiątkowe w polskich kościołach. Myślę, że doczekamy się i pomnika dla bohatera. (Pamiętamy o Tobie Panie majorze!)

Sprzedaż tygodnika katolickiego „Gość Niedzielny” wynosi już 144 000 egzemplarzy, co wskazuje na to, iż

tygodnik wyprzedził w sprzedaży pozostałe popularne polskie tygodniki, takie jak: „Polityka”, „Wprost” i „Newsweek Polska”. Jest to fenomen na skalę europejską, gdyż jest to czasopismo katolickie. (Na Białorusi jest to nie do pomyślenia).

W 2010 r. Polskę odwiedziło 12,5 mln turystów, którzy zostawili 6 mld dolarów. Są to głównie turyści zachodni, ponieważ wymagane wizy ograniczają przyjazd turystom ze Wschodu.

90 lat temu Polska i Rosja Sowiecka podpisały w Rydze traktat o granicy. Moskwa była skłonna oddać Polsce Mińsk i Mińszczyznę. Niestety Polska nie zgodziła się na te warunki. Największymi przegranymi tego traktatu, stali się Polacy mieszkający na tych terenach. Według różnych szacunków mieszkało na ziemi Mińskiej więcej niż 1 mln Polaków. Tylko około 120 tysiącom udało się później wyjechać do Polski. Na pozostałych na Mińszczyźnie, w 1937 r. spadła stalinowska siekiera. Wymordowano polską inteligencję, a pozostali otrzymali „bezpłatną wycieczkę” do Kazachstanu. Dzięki polskiemu zwycięstwu w 1920 r. udało się wyrwać spod panowania komunizmu część terytorium dzisiejszej Białorusi i uratować życie dziesiątkom tysięcy Polaków i Białorusinów. Niestety, nadszedł 1939 r. i na Kresy przyszli „wyzwoliciele” ze Wschodu. Zapanował głód, nędza i prześladowania, w także masowe zsyłki na daleki Wschód.

10 kwietnia 2011 r. obchodzimy pierwszą rocznicę katastrofy pod Smoleńskiem. Zdecydowana większość Polaków (75% badanych przez CBOŚ) uważa, że opublikowany przez Międzypaństwowy Komitet Lotniczy raport na temat przyczyn katastrofy smoleńskiej jest niezetelny. Polacy nie wierzą też, że uda się wypracować wspólną, polsko-rosyjską wersję tragedii z 10 kwietnia. Większość Polaków w Polsce i na świecie nie wierzy wersji rosyjskiej.

8 września 1968 r. podczas centralnych dożynek na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie w obecności przywódców polskiej komunistycznej partii, dyplomatów i 100-tys. widzów Ryszard Siwiec (były akowiec, ojciec 5 dzieci) na znak protestu przeciwko okupacji Czechosłowacji podpalił się, krzycząc: „Protestuję!”. Przed samospaleniem rozrzucił na stadionie ulotki z apelem protestującym. Agresja na Czechosłowację z udziałem wojsk polskich uświadomiła mu, że należy wstrząsnąć sumieniem rodaków. Zmarł po 4 dniach.

W czerwcu 1991 r. Rada Miasta Przemyśla podjęła decyzję, aby nowy most, wybudowany w miejsce starego mostu wiszącego, nosił imię Ryszarda Siwca. W 2001 r.

prezydent Republiki Czeskiej, Václav Havel przyznał pośmiertnie Ryszardowi Siwcowi order Tomáša Masaryka. W 2003 r. bohater został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, a 2006 r., w dniu święta narodowego Słowacji ambasador tego kraju František Ružička przekazał na ręce Wita Siwca, syna zmarłego, nadany pośmiertnie Order Podwójnego Białego Krzyża. W 2009 r. jego imieniem nazwano jedną z ulic w Pradze, przy której mieści się Instytut Badania Reżimów Totalitarnych (odpowiednik polskiego IPN). Ostatnio przy tej ulicy odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Ryszarda Siwca. Cześć i chwała dla polskiego bohatera. Jak widzimy i Czesi o nim pamiętają.

1 marca 2011 Polska po raz pierwszy obchodziła Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Tego dnia, w 1951 r. (60 lat temu) stracono siedmiu oficerów - członków władz konspiracyjnej organizacji WiN (Wolność i Niezawisłość). Właśnie WiN, jako kontynuatorka Armii Krajowej walczyła przeciwko polskim i sowieckim komunistom o wolną Polskę. Jeden z oficerów, ppłk Łukasz Ciepłiński pisał na kilka dni przed egzekucją do swojego trzyletniego syna: „Andrzeju! Wymodlony, wymarzony i kochany mój synku. Piszę do Ciebie po raz pierwszy i ostatni. W tych dniach mam być zamordowany. Chciałem być Tobie ojcem i przyjacielem. Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że Idea Chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przewrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Żegnaj, mój ukochany. Całuję i do serca tulę. Błogosławię i Królowej Polski oddaję”. W latach 1944-1956 z rąk polskich i sowieckich komunistów zginęło około 20 tys. polskich patriotów, a 200 tys. polskich patriotów było prześladowanych, więzionych i torturowanych.

(Wśród tych ludzi było tysiące naszych krajan z Wileńszczyzny, Nowogródzkiej i Polesia. Pamiętamy o nich. 1 marca każdego roku ani jeden grób Żołnierzy Wyklętych nie powinien zostać bez świecy i modlitwy. Oni walczyli za wolną Polskę).

Apel o pomoc świąteczną dla polskich kombatanów na Białorusi podczas akcji Wielkanocnej 2010 r. spotkał się ze wspaniałym odzewem, Zarząd Stowarzyszenia Odra-Niemen (prezes Ilona Gosiewska) z Wrocławia postanowił ponowić projekt na czas Świąt Bożego Narodzenia. Projekt udał się znakomicie, o czym świadczą poniższe dane: stowarzyszenie zebrało 2 110 kg darów, od 171 darczyńców. Paczki przychodziły pocztą, przesyłkami kurierskimi oraz były przynoszone osobiście, lub były odbierane przez członków Stowarzyszenia z różnych miejsc Polski i zza granicy (m.in. Niemcy, Dania, Norwegia, Irlandia, USA). Od 253 darczyńców otrzymano wpłaty finansowe na łączną kwotę 44 000 PLN. Patronem akcji był portal

Kresy.pl Do akcji włączyło się wiele szkół z terenu całego kraju, które zbierały dary rzeczowe i finansowe. W projekcie wzięło udział wiele firm, przedsiębiorstw i wielu zwykłych ludzi. Grupą, której udział należy szczególnie podkreślić, są kibice piłkarscy. W akcję włączyły się fankluby wielu środowisk kibiców w Polsce, m.in. Legii Warszawa. Dostarczono także paczki od wrocławskich kibiców WKS Śląsk. Bardzo pomógł Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie, który zebrał znaczącą ilość paczek i wsparł akcję finansowo. Pomogły także Kluby Gazety Polskiej. Do akcji włączyła się młodzież studencka, drużyny harcerskie, młodzi ludzie z różnych organizacji społecznych, patriotycznych.

(Trudno bez wzruszenia komentować takie akcje pomocy dla Polaków na Wschodzie. Kiedy rozmawiałem z naszymi akowcami na ten temat, widziałem łzy wzruszenia w ich oczach. Na pewno przyda im się żywność, ale dużo ważniejsze jest to, że o nich Polska pamięta. Stowarzyszeniu Odra-Niemen – Bóg zapłać za bezinteresowność, to prawdziwi Patriotci.

„To jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu” – powiedział PAP były prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki, inicjator przywrócenia dnia wolnego od pracy w święto Trzech Króli. Były prezydent Łodzi w 2008 roku jako pierwszy rozpoczął batalię o przywrócenie dnia wolnego od pracy w to święto. Metropolita łódzki abp Władysław Ziśka podczas mszy świętej w katedrze, podkreślił inicjatywę i determinację Jerzego Kropiwnickiego w przywróceniu dnia wolnego od pracy w święto Trzech Króli. „Nie było to zadanie łatwe, ponieważ tej ustawie mocno sprzeciwiali się pracodawcy, ekonomiści i politycy, argumentując, że nie ma obecnie dobrego momentu do wprowadzenia kolejnego dnia świątecznego, że przyniesie on szkodę naszej gospodarce, że byłby to luksus na który nie stać Polski” – mówił metropolita. Prace nad inicjatywą obywatelską dotyczącą ustawowego przywrócenia 6 stycznia dniem wolnym rozpoczęły się w marcu 2008 roku. Wnioskodawcą projektu był prezydent Łodzi, a inicjatorzy zebrali ponad milion podpisów.

Litwa

W ostatnich wyborach samorządowych polska partia na Litwie - AWPL (Akcja Wyborcza Polaków na Litwie) i Sojusz Rosjan zdobyły 6,5% głosów i 65 mandatów. Polakom przypadnie 61 mandatów (poprzednio mieli 53 mandaty), cztery mandaty – Rosjanom. AWPL zachowała i zwiększyła czołowe pozycje w rejonach wileńskim i solecznickim: w wileńskim zdobyła 19 mandatów w 27-osobowej radzie, w rejonie solecznickim – 22 mandaty w 25-osobowej radzie.

Na razie antypolska kampania nie osłabiła Polaków. Wprost przeciwnie, wzmocniła ich i skupiła wokół Akcji. Co więcej, dała ona do myślenia innym, niepolskim mniejszościom. Stąd zapewne wynika wyborczy sukces pol-

sko-rosyjskiej koalicji. Wybory te udowodniły, że Akcja Wyborcza Polaków na Litwie przestała być partikularną partią reprezentującą interesy Polaków, a stała się partią regionalną reprezentującą interesy mieszkańców Wileńszczyzny, niezależnie od ich narodowości – inaczej Rosjanie by na Polaków nie głosowali. Mobilizacja polskiej społeczności jest świadectwem rosnącej aktywności mniejszości narodowych, które coraz bardziej aktywnie domagają się od władz Litwy rozwiązania ich problemów.

Mer rejonu sołecznickiego na Litwie Zdzisław Palewicz zdobył tytuł „Polaka Roku 2010”, przyznawanego od 13 lat przez „Kurier Wileński”. To wyróżnienie za osiągnięcia w działalności na rzecz Polaków mieszkających na Litwie. Merem rejonu sołecznickiego, gdzie Polacy stanowią prawie 80% mieszkańców, Zdzisław Palewicz jest od 2 lat. Od wielu lat kieruje też rejonowym oddziałem Związku Polaków na Litwie. Walczy o polskie szkolnictwo, prawo do nazewnictwa ulic po polsku i o upamiętnienie miejsc pamięci narodowej, m.in. grobów AK-wców. Palewicz skutecznie zabiegał też o unijne środki na renowację Pałacu Balińskich w Jaszunach, gdzie częstymi gośćmi byli Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Zdzisław Palewicz mówi, że chociaż nie jest łatwo być Polakiem na Litwie, to na pewno warto: „Walczymy przecież o swoje odwieczne prawa do podwójnego nazewnictwa ulic i miejscowości i o pisownię naszych nazwisk po polsku” – mówi Polak Roku 2010.

Z okazji 45-lecia powstania Polskiego Teatru w Wilnie, przedstawiciele polskiego konsulatu, wręczyli zasłużonym aktorom tego teatru wysokie polskie odznaczenia. Czworo otrzymało Krzyże Zasługi, dwoje z nich – Krzyże Kawalerskie Orderu Zasługi RP, a pozostałych pięcioro otrzymało odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Dom Kultury Polskiej w Wilnie ma już 10 lat. Stanowi on siedzibę trzydziestu polskich organizacji społecznych, hotelu i restauracji „Pan Tadeusz”. To centrum życia kulturalnego i społecznego – placówka, bez której trudno dziś wyobrazić sobie życie litewskich Polaków.

Dom Kultury Polskiej – budynek o powierzchni 6 tys. m² stanowi największą na świecie polską placówkę tego typu. Został on wybudowany dzięki wsparciu polskich podatników, którzy przeznaczili na ten cel 5 mln dolarów.

Nie potwierdziły się obawy, że będzie to instytucja zamknięta. Jednocześnie nie tylko Polaków, ale też promuje polską kulturę na Litwie – mówi dyrektor Artur Ludkowski.

Rocznie w DKP odbywa się około 600 imprez: spektakli, koncertów, spotkań, konferencji, projekcji filmowych, jubileuszy, zabaw. Salę DKP wykorzystują również przedstawiciele innych mniejszości narodowych: Rosjanie, Tatarzy, Ormianie, Ukraińcy, Karaimi, Azerowie, a także organizacje litewskie. DKP z ofertą stara się dotrzeć do dzieci, nastolatków, czterdziestolatków i ludzi w starszym

wieku, którzy licznie odwiedzają „swoją dom”. 36-osobowy zespół DKP jest dumny, że nie spełniły się obawy sprzed dziesięciu lat, że placówka stanie się gettem Polaków na Litwie, finansowo się nie utrzyma i będzie obciążeniem dla polskiego podatnika.

Polka z Wileńszczyzny wygrała litewskie eliminacje do konkursu Eurowizji. Pytana, jak zamierza podbić Europę, przyznała, że zacznie chyba od tournée po Polsce. Ewelina Saszenko okazała się bezkonkurencyjna! W pięknym stylu wygrała finał i będzie reprezentowała Litwę w Dueseldorfie. To było jej drugie podejście do Eurowizji, przed rokiem zabrakło niewiele, tym razem zaśpiewana piosenka po angielsku i po francusku okazała się strzałem w dziesiątkę. Bez żadnego show, tricków czy wymyślnej choreografii – stojąca przy fortepianie Ewelina skupiła się przede wszystkim na wykonywanym utworze, który zyskał nie tylko sympatię publiczności, ale i uznanie zasiadających w komisji profesjonalistów. Niezwykły głos i – jak przyznała po występie – szczerłość wykonania zrobiły swoje.

Ewelina Saszenko będzie pierwszą Polką, której udało się wygrać krajowe eliminacje.

Wiadomo, że wśród mieszkańców Wileńszczyzny jest znana i lubiana; uświetniła swoim występem jubileusz 10-lecia Domu Polskiego w Wilnie, a ostatnio zdobywa coraz silniejszą pozycję w litewskim show biznesie i ma wielu fanów w całym kraju.

Bilans akcji zbierania podpisów w obronie szkół polskich na Litwie wyniósł 60 423 podpisy obywateli Litwy i 6 619 podpisów elektronicznych złożonych za pośrednictwem portalu „Wilnoteka”, w tym ponad 5 500 z Polski oraz innych krajów. Kopie podpisów już trafiły do najwyższych władz Litwy, a list otwarty w tej sprawie również do władz Polski.

W rejonie wileńskim zebrano prawie 25 tys. podpisów, w sołecznickim - około 11 tys., trockim – 4 tys., w Wilnie – prawie 20 tys. „Rodzice, nauczyciele, uczniowie, cała społeczność Wileńszczyzny wzięła w tym udział i cieszy się, że akcja przebiegała bardzo aktywnie” – powiedział Józef Kwiatkowski, prezes Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Polska Macierz Szkolna”.

„Chodziło też o to, by dowieść, że Polacy na Litwie są społecznością zorganizowaną i aktywną, i to się udało. Tylko aktywną postawą można walczyć o swoje i Polacy dowiedli, że to rozumieją. Ludzie odczuwają ciągłą presję, ciągle pretensje do Polaków na Litwie i czują, że trzeba się temu przeciwstawić (...) Przychodzili ludzie, brali druczki i wracali z pięcioma, dziesięcioma, piętnastoma kartkami wypełnionymi podpisami, nie od jakiejś organizacji, tylko na przykład z osiedla” – podkreślił prezes „Polskiej Macierzy Szkolnej”. „To wskazuje, że społeczność już nie jest obojętna, że nadszedł kres wytrzymałości” – podsumował.

Jeżeli proponowane przez Litwinów zmiany wejdą w życie, liczba polskich szkół na Litwie może zmaleć na-

wet o połowę, a w pozostałych wiele przedmiotów będzie nauczanych po litewsku.

Gruzja

Na oficjalnej stronie internetowej żony prezydenta Gruzji Saakaszwili – Sandry Saakaszwili znajdują się informacje poświęcone Marii Kaczyńskiej.

Gruzińska prezydentowa zamierza też powołać fundusz stypendialny imienia Marii Kaczyńskiej dla młodych ludzi, którzy chcą studiować w Polsce. Do polskich księgarń trafiła właśnie jej autobiografia. Pierwsza dama Gruzji wiele miejsca poświęca w niej swojej przyjaźni z Marią Kaczyńską.

Sandra Saakaszwili jest z pochodzenia Holenderką, obywatelstwo gruzińskie otrzymała trzy lata temu. W 1996 r. przyjechała do ojczyzny męża ze Stanów Zjednoczonych. Siedem lat później w Tbilisi wybuchła Rewolucja Róż. Mąż, Michaił Saakaszwili, był już znany jako radykalny reformator gruzińskiego wymiaru sprawiedliwości. W apogeum konfliktu wszedł do parlamentu trzymając czerwoną różę. Stąd nazwa rewolucji. Sandra Saakaszwili opisała te wydarzenia w autobiografii „Historia idealistki”.

Promuje kulturę, zwłaszcza muzykę klasyczną prowadzi audycję w radiu, gra na fortepianie i flecie. Z wykształcenia jest filologiem, wykształconym we Francji. Mówi biegle po niderlandzku, francusku, niemiecku, angielsku, rosyjsku i gruzińsku.

Ukraina

Wiktor Janukowicz w wywiadzie dla polskiej prasy powiedział: „Mój dziadek i pradziadek byli litewskimi Polakami, katolikami. Dopiero mój ojciec, który urodził się w Donbasie i ożenił się z kobietą pochodzącą z Rosji, oderwał się od tamtych ziem. Babcia opowiadała mi, że urodziła się w Warszawie. Jej matka zmarła, gdy była mała, a ojciec ożenił się z litewską Polką i przeniósł do Wilna. Rewolucja zmusiła ich do ucieczki, babcia trafiła wówczas do Witebska. Tam poznała mego dziadka, który żył w Dokszycach, a wieś Januki znajduje się właśnie obok Dokszyń”. Rodzina Janukowiczów pochodzi ze wsi Januki. Na tamtejszym cmentarzu jest wiele polskich grobów z nazwiskiem „Janukowicz” pisanym po polsku.

Na Ukrainie został zarejestrowany Oddział Związku Harcerstwa Polskiego. Dzięki temu harcerze będą mogli stworzyć centrum polonijne w kupionym przez Łódzką Chorągiew budynku szkoły w Kostiuchnówce na Wołyniu, wybudowanej ze składek polskich legionistów przed wojną.

Tunezja

W lutym 2011 r. w stolicy Tunezji został zamordowany polski ksiądz Marek Rybiński. Pracował na rzecz miejscowych katolików i Polaków mieszkających w Tunisie,

był on kapłanem Polonii w tym kraju. Był to ogromny szok dla wszystkich, bo Tunezja to kraj arabski o sporej tolerancji. Przed katolicką katedrą kapłana żegnało 15 tys. Tunezyjczyków i Polacy mieszkający w stolicy. (Ksiądz Marek zginął mając 33 lata. Cześć Jego pamięci).

Niemcy

W Niemczech powstanie polska partia polityczna, to reakcja na nieprzyznanie Polakom mieszkającym w Niemczech statusu mniejszości narodowej. Pomysłodawcą jest adwokat Stefan Hambura, który postanowił zareagować na brak działania ze strony Kanclerz Angeli Merkel. Mecenasa Hambura w liście do niej prosił o zniesienie dekretu Hermana Goeringa, który nie pozwala na przyznanie Polakom statusu mniejszości narodowej. Formalnie ważność dokumentu wygasła po II wojnie światowej, niemniej okazuje się, że nadal stanowi przeszkodę na drodze spełnienia postulatów naszych rodaków osiadłych za Odrą. Hambura wyjaśnia, że jego dotychczasowe zabiegi pozostały bez pożądanej reakcji. Dlatego uznał, że o należne Polakom prawa trzeba walczyć inaczej: „Spójna polityczna reprezentacja może uzyskać zakładane cele przez udział we władzach na różnych szczeblach” - uważa pomysłodawca partii.

W Polsce mniejszość niemiecka ma duże przywileje, m.in.: prawo do dwujęzycznych szkół, dotowanie z budżetu działalności kulturalnej, wydawniczej oraz informacyjnej, a także kandydowanie do parlamentu bez konieczności przekroczenia progu wyborczego. W sumie ok. 150 tys. jej członków korzysta z dotacji w łącznej wysokości 25 mln euro.

Polaków w Niemczech jest ok. 1,5 mln. Mają prawo zabiegać o wsparcie z budżetu projektów o charakterze kulturalnym do wysokości 300 tys. euro.

Ponieważ ani Związek Polaków w Niemczech, ani Konwent Organizacji Polonijnych nie mogą się angażować w politykę, wymyślono partię polityczną. Jej członkowie mają zdobywać miejsca we władzach różnych szczebli, a później uczestniczyć w podejmowaniu decyzji m.in. o przyznawaniu dotacji i wspieraniu lokalnych społeczności.

Nie ma jeszcze ustalonej nazwy ugrupowania. Pomysłodawcy liczą nie tylko na mieszkających już w Niemczech Polaków, lecz także na tych, którzy napłyną po otwarciu tamtejszego rynku pracy od maja br. Wg różnych szacunków może ich być nawet ok. miliona.

Zgodnie z podpisanym w 1991 r. traktatem o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, Polonia w Niemczech powinna być traktowana na równi z mniejszością niemiecką w Polsce. Różnice można jednak dostrzec np. w nauce języka ojczystego. Swojego języka uczy się 90% dzieci mniejszości niemieckiej w Polsce, a zaledwie 3% dzieci mniejszości polskiej w Niemczech.

Przygotował - *Aleksander Siemionow*.
Lida

„Nad Niemen – tam gdzie sięgają nasze korzenie”
„Tam skąd rozpoczynają się nasze polskie ścieżki”

BOHATYROWICZE

Dziś, gdy przyszło nam żyć w zakłamaniu, oszustwie, poniewieraniu Polaków i naszego ojczystego domu, gdy na nowo przekłamuje się nasza tragiczną czasem, ale już ponad 1000-letnią historię, gdy jesteśmy świadkami wielkich afer i przekrętów w wykonaniu elit sprawujących władzę, warto cofnąć się w odległe lata by zobaczyć, jacy byli nasi przodkowie. Nade wszystko, co nam przekazali i nakazali pielęgnować dla innych pokoleń.

Pójdźmy śladami króla Zygmunta, który prawie 500 lat temu zobaczył późniejsze BOHATYROWICZE nad Niemenem. Według przekazu Tadeusza Łopalewskiego w książce „Między Niemenem a Dźwiną” i Elizy Orzeszkowej w „Nad Niemenem” legenda głosi:

Król Zygmunt pojrzał przez te szerokie otwory, krzyknął aż z zadziwienia i żartobliwie do panów swoich zawołał:

„Hej! hej! Waszmoście panowie, widzi mi się, że ktoś tu dla mnie nowe królestwo gotuje!”

Aż tu wszyscy wyjechawszy z lasu stanęli, oczom własnym wiary nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, leżała wielka równina, żółtością ścierniska po żętym zbożu pozostałego okryta. Na ściernisku, by wysokie domy lub też by słupy z pozwężanymi wierzchołkami, stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pole pod przyszły zasiewek, a wśród pola na gładkich łakach hasały stada obłaskawionych koni, pasły się trzody krów ryżych i białych owiec.

Na dwóch pagórkach dwa wietrzne młyny łopotały swymi wielkimi skrzydłami, lipowe gaje rozlegały się od baczenia nieprzeliczonych rojów pszczelnych, a w olszynach i brzoźniakach na wszystkich gałęziach wisały wielkie jak czapki gniazda gawronie. Sto domów, przedzielonych ogrodami, sznurem wyciągało się w podłuż rzeki, a z ich kominów, by z kościelnych kadzielnic, sto złotych dymów podnosiło się prosto do nieba. Na jabłoniach i śliwach liście widać nie było za czerwonością i liliowością owocu, po zielonych trawach suszył się len i bielity się sztuki płócien, w chatach krosna stukały i huczały terlice, przed domami na gałęziach i plotach wysychały ufarbowane przędzywa wełny, a na dachach po stronach do słońca wystawionych dojrzewały żółte, ogromne dynie. Ptactwo domowe, ziemne i wodne, grzebało się w piasku lub z hałasem leciało nad rzekę, od której powracający rybacy wychodzili zza góry, niosąc po kilka siecie i niewody z rzucającymi się w nich rybami.

To było bardzo dawno temu. Dziś jest tam już nieco inny krajobraz.. Zachowała się jednak mogiła legendarnych założycieli siola Bohatyrowicze, Mogiła Jana i Cecylii. Jedźmy do nadniemeńskich wsi Bohatyrowicze i Miniewicz. Przeżyjmy ich piękno. Leżą nad Niemenem w odległości 38 km od Grodna.

Z Grodna kierujemy się na Wołkowysk. Po minięciu Swisłocza jedziemy jeszcze około 8 km, by po lewej stronie zobaczyć stojącą przy drodze drewnianą kukłę, która prawą ręką wskazuje, że mamy skręcić w lewo (dziś ręki brak, jest utracona). Będzie również drogowskaz do wsi Gładowici. Jedziemy około 2 km, przejeżdżamy wioskę Dubrowliany i dojeżdżamy do drugiej takiej samej kukły. Tu skręcamy w prawo. Teraz jedziemy wąską drogą asfaltową około 5 km i dojeżdżamy do ostatniej, trzeciej kukły, przy której skręcamy w lewo. Teraz wąską wyasfaltowaną ścieżką po około 400 m dojeżdżamy do grobu Jana i Cecylii. Od grobu nad brzeg Niemna prowadzą spadziste schody. Po zejściu na dół mamy niepowtarzalny widok. Cudowne wręcz miejsce.

Stara nazwa Samostrzelców brzmi Bohatyrowicze. Na skraju wsi pod drewnianym krzyżem leżą dwa omszałe głazy. Głazy pokryte są jakimiś tajemniczymi znakami i zatartymi zgłoskami, tworzącymi imiona „Jan i Cecylia 1549 memento mori”.

Podanie mówi: „Sto lat, albo może jeszcze i mniej po tem, jak litewski naród przyjął świętą chrześcijańską wiarę, w te pola przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji i to tylko można było poznać z mówienia ich i z ubioru, że przyszli z Polshczy. Zwali się Jan i Cecylia i szukali puszczy... i byli to prarodzice rodu Bohatyrowiczów, do dziś dnia tu zamieszkującego.

Powróćmy do spotkania króla Zygmunta z Janem i Cecylią.

Gdy Jan i Cecylia, posiwiali już staruszkowie, stanęli przed monarchą, ten zapytał:

„Kto ty, starcze? – zapytał Jana – odkąd przyszedłeś? Jak zowiesz się i z jakiej kondycji pochodzisz?”

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi, zmiele odpowiedział:

„Przyszedłem tu od stron onych, którymi przepływa Wisła; nazwisko swoje oznajmię tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niska była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem;

ale oto ta pani i małżonka moja z wysokiego domu zstąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielić”.

Wówczas to król Zygmunt oznajmił im swoją wolę:

„Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową i wszystkich praw stanowi rycerskiemu odpowiednich odtąd aż do wygaśnięcia swego używać ma i takowe wykonywać. Nobilituję was i nakazuje, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem Pomian, który jest żubrzą głową na żółtym polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał żubra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole...”

Potomkowie tego wspaniałego rodu wspominają:

Wszelako późniejszym czasem w tym naszym rodzie przez Jana i Cecylię ufundowanym bywało. Włości nie mieliśmy nigdy i krwi ani potu z nikogo nie wyciskali. Bywało, że niektórzy z nas na wojnę chodzili; bywało, że za panami gardłami i szabelkami na sejmiki i sejmy ciągnęli. Jeden i drugi przebywa na pańskich dworach, o urzędnikowskie lub oficjalistowskie posady zaskakując. Jeden i drugi fortuny przyrobiwszy, gdzie daleko na osobnym folwarku siadał i pański już ród fundował. Ale najwięcej i tak jak prawie wszyscy, siedzieliśmy w swoich zaciszkach, własnymi rękami od matki naszej powszechnej chleb dobysząc. Szmaty ziemi, by Chrystusowe szaty, rozdziałały się wciąż pomiędzy nami, a podczas, zrzędzeniem boskim albo niedobrym cha-

rakterem ludzkim, wcale przepadały. Jednakowoż po większej części trwaliśmy przy swoich gnieździech większych czy mniejszych i dotrwaliśmy do tej pory. Teraz szlachectwo przedziadów zdjęte z nas zostało; chłopami nazywamy się i jesteśmy...Ale o to bynajmniej. Wszyscy my kotki jednego płota i stworzenia czasowe. Bieda jedynie, że ubóstwo nasze rośnie i duszne zamroki ogarniają nas coraz większe...

Warto w tym miejscu przypomnieć piękną pieśń, którą jeszcze niedawno śpiewano w Polsce:

**Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną;
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
A ja kaliną.**

**Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,
A ja łożami;
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,
Ja mymi łzami...**

**Ty jesteś panną, ty jesteś panną,
Przy wielkim dworze;
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem,
W białym klasztorze...**

**A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,
Każemy sobie
Złote litery, złote litery,
Wyryć na grobie...**

**A kto tam przyjdzie albo przyjedzie,
Przeczyta sobie;
Złączona para, złączona para
Leży w tym grobie!**

Odrzućmy dziś polskie czarnowidztwo i przyjmijmy do serca treści z podsumowania:

„Szczęście wywyższa, szczęście poniża, wszystko na świecie czasowe i przemijające... każda rzecz by woda przepływa, by liść na drzewie żółknie i gnije...”

Barbara Wachowicz w książce „Ty jesteś jak zdrowie” kończy jeden z rozdziałów poświęcony Bohatyrowiczom: „Polska jest tam, gdzie są Polacy”.

Zbigniew Sulatycki
Sopot, 27 lipca 2008 r.





Tu Radio Moskwa! Tu Radio Moskwa! Białorusini! Zabijajcie swych panów! Przygotujcie nam drogę!

Przerzućmy karty historii Bohatyrowicz o kilkaset lat. Zatrzymajmy się w czasie, gdy Najjaśniejsza Rzeczpospolita znalazła się pod zaborem trzech sąsiadów: Rosji, Niemiec i Austrii, by zobaczyć jak nasi praprzodkowie, a potomkowie Jana i Cecylii, żyli pod zaborem rosyjskim. Jacy byli? Czy równie dzielni jak legendarni założyciele ich rodu? Jak traktowali ich rosyjscy okupanci?

Z chwilą wkroczenia na te tereny Armii Carskiej, a w przyszłości Armii Czerwonej powiedzenie poety „*wsí spokojna – wsi wesóła*” zatraciło całkowicie swoje znaczenie. Dziś po ostatnich tragicznych dla nas latach ponownej rosyjskiej okupacji, po wielu cierpieniach, upokorzeniach i poniewierce, cofnięcie się w tamte czasy jest bardzo potrzebne. Czas wyciągnąć właściwe wnioski by nie dać się ponownie zagarnąć w perfidne sowieckie/rosyjskie sidła. Bez znaczenia jakiej by nie były maści! Podążajmy więc śladami Bohatyrowiczów zarejestrowanych przez Barbarę Wachowicz w książce „*Ty jesteś jak zdrowie*”, powstałej w oparciu o powieść Elizy Orzeszkowej „*Nad Niemnem*”. Do czasów wkroczenia na tereny Bohatyrowicz i Miniewicz okupanta rosyjskiego:

Żyją obok siebie dwa światy. Szlachta zagrodowa z Bohatyrowicz, chlubiąca się rodowodem secin lat sięgającym, którego widowym, znakiem jest mogiła praprzodków – Jana i Cecylii na nadniemeńskim pagórze sosnami szumiącymi strażująca. Żyją białoruscy chłopci z odległej o niecałe dwa kilometry wsi Miniewiczze.

W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bzów, akacji, buldenezów i jeszcze niższą jaśminów, spirei i krzaczastych róż. Dokoła starych, kiedyś kosztownych sztachet topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg okalających trawnik i rosnące wśród niego potężne grupy drzew i krzewów stał dom drewniany także, nie pobielony, niski, ozdobiony wijącymi się po jego ścianach powojami, z wielkim gankiem i długim rzędem okien mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowymi drzewami, rosnącymi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Na przeciw gospodarczych zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego znać, bo w aleje z grubych drzew wysadzonego ogrodu. Dalej widać było u jednego z krańców ogrodu przeświecający przez zieloność ów wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów dziedzińca widzialna była i sama rzeka, szeroka, w tym miejscu okrągłym łukiem skracająca się za bór ciemny. Nie był to dwór wielkopański, ale jeden z tych starych, szlacheckich dworów, w których niegdyś mieściły się znaczne dostatki i wrzało życie ludne, szerokie, wesole.

Dotąd słowa poety „*wsí spokojna – wsi wesóła*” jakże były odzwierciedleniem tego uroczego miejsca.

Sąsiedzi (Rosjanie, Niemcy i Austriacy – ci ostatni zapewne w podzięce za Odsiecz Wiedeńską) – postanowili zagarnąć i podzielić między siebie naszą Ojczyznę.

Ciemniony przez okupanta rosyjskiego naród kilkakrotnie podrywał się do wybicia na niepodległość. Niemalże każde pokolenie ma swoje powstanie.

Szczególnie na terenach Bohatyrowicz i okolic. Tu zawołanie naszych przodków Bóg – Honor i Ojczyzna mocno zakotwiczone w sercach przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Oto odezwa powstańcza w powiecie grodzieńskim, w którym dziedzic Miniewicz był z ramienia Rządu Narodowego cywilnym naczelnikiem:

„Matka Ojczyzna podana na śmierć, jakże dzieciom jej nie płakać... Ufni w miłosierdzie Boże, większe niż grzechy narodu, błagają braci swoich o zjednoczenie się zupełne. Przeto zejdźcie się na jedno pole, pole walki, pod jedno znamię o znakach Orła, Pogoni i Michała Anioła, ku jednemu celowi, którym jest wyzwolenie Ojczyzny”.

„Powstanie tu było zaciętsze, upartsze niż w Królestwie (...). Najmężniejsi, najszlachetniejsi, najgoręcej miłujący zginęli od kuli, od zsyłki, od wychodźstwa. Pozostali z małym wyjątkiem najślabi, najsamolubniejsi zrodzili, a następnie wychowali dzieci pod czarnymi skrzydłami terroru, w trwodze, w gryzącej trosce, w upokorzeniu, w zwątpieniu (...). Kraj nasz zaległa głucha i ciemna noc... przeżyłam noc tę w miejscu, gdzie była ona najgłuchszą i najciemniejszą”. Tym głuchszą i ciemniejszą, że wokół panoszył się, „jeździł szumnie, grał, śpiewał, tańczył, łokciami nas spychał”, „błyszczący, tańczący, triumfujący” – „świat rosyjszczyzny”. Ani szkoły polskiej, ani teatru, ani biblioteki, ani muzyki. Niczego. Język stawał się jakimś dziwnym żargonem przeinaczanych słów polskich, białoruskich, rosyjskich. Kto mógł – rejterował.

„Najbardziej bolesnym było aresztowanie siostry mojej matki, ukochanej Jani – pisze Zofia Strzałkowska, siostra Inez. – Po skończonych w Petersburgu studiach przyjechała do nas nad Niemen i pełna zapału zaczęła się zajmować biednymi, zaniedbanymi pod względem oświaty i kultury ludźmi ze wsi i służby folwarcznej”. Osadzona w więzieniu za nielegalne nauczanie, wydobyta zeń przez Kamieńskich, którzy poręczyli całym swoim majątkiem – umarła na gruźlicę, wyniesioną z wilgotnej, ciemnej celi...

Jan Kamieński – kuzyn Elizy Orzeszkowej urodzony 16 grudnia 1872 roku we dworze Kamieniec pod Zabłudowem, objął włości w Miniewiczach należące do jego rodziny od schyłku XVIII wieku. Pełniąc funkcję „pośrednika do spraw włościńskich” z wyboru, bratał się ze szlachtą zagrodową Bohatyrowicz, opiekował chłopami Miniewicz, bronił, leczył, uczył. Podczas powstania dwór miniewiecki zamienił się w punkt kontaktowy, magazyn i kuźnię broni..

Na donos chłopą Głębockiego rota żandarmów rosyjskich puściła dom z ogniem, a Murawiew – Wieszatiel skazał Kamieńskiego na śmierć. Ułaskawionego z kanary śmierci na dożywocie Jana Kamieńskiego pognano w kajdanach etapami na Sybir, do Omska. Kamieński – tak jak bronił swych chłopów z Miniewicz – teraz w Omsku stawał w obronie oszukiwanych przez rosyjskich spryciarzy Kirgizów. Zdobyl sobie nawet kpiarski tytuł „Kirgizkiego króla”...

Dworek w Miniewiczach, zawieszony nad brzegiem Niemna, tuż obok szlacheckiego zaścianka Bohaterowicze jest nader skromny, szary i mały. Poprzedni spłonął w ogniu 1863 roku. Właścicieli zabrakło. Jan Kamieński, dziedzic Miniewicz i naczelnik cywilny powiatu grodzieńskiego w Powstaniu Styczniowym, pierwowzór Andrzeja Korczyńskiego z powieści „Nad Niemnem”, przepadł gdzieś na Syberii...

Wśród zdjęć przechowywanych przez wnuczkę bohatera „Nad Niemnem” jest spłowiasty las krzyży. Na odwrocie data – 4 czerwca 1865 rok, objaśnienie: „Cmentarz wygnanców w Kungurze, permskiej gubernii” i dwuwiersz: „1864 rok ten jasno wykaże ich myśli i chęci. A więc wdzięczność Im bratnia, chwała ich pamięci”. Po upadku Powstania Styczniowego, od 1866 obowiązywało prawo Murawiewa – Wieszatiela, szczególnie prześladowającego dwory i plebanie za próby tworzenia wiejskich szkółek...

Od jesieni 1869 roku Eliza Orzeszkowa mieszka w Grodnie. Minęło lat pięć od zdeptania, zdławienia, rozstrzelania Powstania. Przeżyła je osobiście. Jako dwudziestoletnia dziewczyna poznała Traugutta, patrzyła na krew, żaloby, zgłiszczka, ruiny istnień i majątków.

Po I wojnie światowej mieliśmy kilka lat wolności. I znów Niemcy napadli na nasz Ojczysty Dom, a dwa tygodnie później, 17 września 1939 r. hordy Armii Czerwonej wbiły nam nóż w plecy, zalewając tereny wschodnie Rzeczypospolitej. Jak miała wyglądać sowiecka krwawa okupacja, jaki los miał czekać nasze siostry i braci wystarczy przypomnieć komunikaty z moskiewskiego radia: Tu Radio Moskwa! Tu Radio Moskwa! Białorusini! Zabijajcie swych panów! Przygotujcie nam drogę!

Wszyscy radzili, by uciekać. Uciekać przez zieloną granicę do Polski. (...) Stary Klemens Strzałkowski oświadczył, że się z Bohatyrowicz nie ruszy. Został i jego syn, mimo błagań żony.

„Przed wojną często ojca wzywali na wieś w nagłych wypadkach zachorowań zamiast lekarza zbyt odległego. Przychodziły też żony aresztowanych komunistów po pomoc prawniczą, bo ojciec ukończył też prawo... Nieraz jeździł do sądu w sprawach ich ojców i braci” – pisała Zofia. Łudziło się, że to go ochroni. Przyszli 24 października. Zabrali obu, ojca i syna. Kazimierz zdążył zarzucić ubranie na nocną koszulę, wyszywaną przez żonę. (...) – Znasz tych, co po mnie przyszli? – Jednego – odpowiedziała.

– Przecież kupowaliśmy u niego ryby. – Zapomnij! Nie chcę, żeby jakaś matka czy wdowa przeze mnie płakała... (...) Dobrąnowszy do Bohatyrowicz trafiła na rabunek domu. Plątała się bezradnie wśród rozdrapujących rzeczy i wyrwywających klamki. – Co chcesz?! – wrzasnęli. – Dajcie mi kukku!

– odszepnęło dziecko. Cisnęli jej lalkę. Ostatni prezent ojca. Tylko nikt nie chciał wziąć bielizny z grubego płótna z wybitymi numerami. Katorżnej bielizny Jana Kamieńskiego – powstańca z 1863 roku... Rabunkiem dowodził chłop Mikula.

Czego można się było spodziewać po tych, którzy nie tylko nawoływali Białorusinów do mordów na Polakach, ale sami w bestialski sposób dokonali ludobójstwa na naszym narodzie (Katyń, Miednoje, Kuropaty, Marsz Śmierci Mińsk – Czerwień, pospolite mordy w więzieniach itp.)

Przywołajmy jeszcze zarejestrowane przez Barbarę Wachowicz wspomnienia żyjących z rodu Bohatyrowicz:

Jadwiga Kopczewska: – Ja urodzona tu, w Bohatyrowiczach. I matka moja Bohatyrowicz, i ojciec Bohatyrowicz, i mój stryj Jan był Bohatyrowicz. (...) Tak koło Jana i Cecylii nasz dom stał... Tu przed wojną był raj ziemski... Za Polskiej to było życia wszystkim i swoboda. Co to znaczy proszę pani swoboda? Jak pani Strzałkowska mówiła, o chlebie i wodzie, ale żeby w wolnej Polsce!

Jadwiga Bohatyrowicz: – Za polskich czasów to bywało krzyżyki u nas w progu, i o, do szkoły chodzili... Chodziła ja, mała dziecienka na katechizma uczyć się... A ja teraz, dziecienka, to ja stara... Oni wsio pozabierali, ziemię od ludzi i zboże... A teraz wydzielają nam chleb...

Teresa Bohatyrowicz: – Jak tu był bolszewizm – to jeżeli mówisz po polsku, to już ty nie człowiek, tobie wszystko gorzej... (...) Jak człowiek skaleczony, już nie dopędzisz, kochana moja. Bo lata przeszły. Przez pięćdziesiąt lat mamy tu ciemięga i nic się nie zmieni, o. I w tym dożywamy. Już moje dzieci w Grodnie. Już tu nigdy nie przyjadą. Mają swoje kwatery w Grodnie, a ziemi nikt nie chce. Tu młodych niema. Nie ma nikogo.

Anna Bohatyrowicz: – Przecież my nie urodzone pod tymi bolszewikami, tylko pod polskim rządem. Jak przyszli tu bolszewicy ja myślę sobie – o nie! To wszystko minie i znowu będzie Polska. Dziecko po polsku rozmawia, do tej ruskiej szkoły nie puszcza... Moja córka po polsku tak pięknie mówiła, a jak oni przyszli, od razu zabronili. Oni nas łamali, łamali, żeby przełamać.

Tadeusz Bohatyrowicz: – U was jeden język, u nas jeden w domu, drugi na ulicy, trzeci w urzędzie i nie wiesz jak mówić... U nas ten język kiedyś czysty był, czysty... W tych kołchozach to jak w tiumach, albo w gettach... Nie będziesz mówił po polsku, bo to ich własność przyszła. I ty milczysz, swój język trzymasz za zębami... To wszystko jakoś poszło niesprawiedliwie... Zmarnowali nas!

Wszystko poszło jak w Niemen... Młodość, Polska, pradiadów sława... Dzieci mówią: Czego tatka będziesz w tej głuszczy siedział? Do miasta weźmiemy. Ja mówię: Tu urodziłem się. Tu umierać będę! Toż gniazdo nasze – wszystko nasze! Te słowa wyrzekł Stanisław Bohatyrowicz w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Trzy i pół wieku po legendarnym Jagiellonowym nadaniu.

(Cytaty zaczerpnięte z: Tadeusz Łopalewski „Między Niemnem a Dźwiną”, Eliza Orzeszkowa „Nad Niemnem” tom I i Barbara Wachowicz „Ty jesteś jak zdrowie”)

Zbigniew Sulatycki
Sopot, 27 lipca 2008 r.

Na urodziny do Kościuszki



Tradycyjnie uczniowie Polskiej Szkoły Społecznej im. Ignacego Domeyki w Brześciu oraz działacze brzeskiego oddziału Związku Polaków przybyli 4 lutego 2011 roku do Mereczowszczyzny na uroczystości związane z 265-leciem urodzin wielkiego naszego rodaka Tadeusza Kościuszki. To w tym miejscu bohater Polski, Białorusi, Francji i Stanów Zjednoczonych przyszedł na świat.

Tym razem Polska Szkoła delegowała harcerzy, którzy po złożeniu wieńca z żywych biało-czerwonych kwiatów u stop kamienia przed odnowionym dworkiem Kościuszki zabrali głos w uroczystościach. Harcerze zarecytowali wiersze Marii Konopnickiej poświęcone Kościuszcze i powstaniu 1794 roku w tłumaczeniu na język białoruski. Pomysł na przetłumaczenie 44 wierszy należy do prezesa Fundacji Kościuszkowskiej z Warszawy – Marka Leszka Krześniaka. Niedługo wiersze Marii Konopnickiej o Kościuszcze zostaną opublikowane i dostarczone do szkół na Białorusi. Misja tej akcji po-

lega na przybliżeniu osoby Kościuszki obywatelom Białorusi, ponieważ tak sowiecka jak i teraźniejsza oficjalna białoruska zrusyfikowana wersja historii tylko wspomina Kościuskę, a miejsce bohatera tego okresu zajmuje osoba Suworowa, który właśnie utopił we krwi Powstanie Kościuszkowskie oraz dokonał rzezi mieszkańców Praги. Paradoksem jest i to, że do tej pory nie ma godnego pomnika Kościuszki na Białorusi, a na cześć Suworowa są nazywane ulice, uczelnia wojskowa w Mińsku, stoją pomniki.



Bardzo kontrowersyjnie wyglądała warta honorowa obok kamienia pod dworkiem Kościuszki, którą pełnili młodzi mężczyźni przebrani w stroje wojsk rosyjskich. Organizatorom wypadłoby poszukać dla takiej okazji strojów kosynierów walczących pod dowództwem Kościuszki za niepodległość i wolność, bo tego wymaga zwykła ludzka przyzwoitość wobec pamięci wielkiego człowieka i jego ideałów, a również historyczna sprawiedliwość.

Hanna Paniszewa



OLIMPIADA HISTORYCZNA

Historia magistra vitae est. (łac.) – mówił starożytny klasyk Ciceron. Dzisiaj ta teza nie przestaje być aktualna. Wiedza historyczna pomaga człowiekowi w orientacji w dzisiejszym burzliwym świecie, doskonale wskazuje źródła tych czy owych konfliktów międzynarodowych, daje instrumenty do analizy sedna sytuacji politycznej w swoim kraju zamieszkania, kształtuje prawdziwy patriotyzm i motywuje człowieka dla określenia swojej pozycji społecznej.

Mając na myśli powyższe, nauczyciele historii i wiedzy o społeczeństwie Polskiej Szkoły Społecznej w Brześciu zainicjowali wśród uczniów starszych klas olimpiadę historyczną pt. „Od chrztu Polski do Unii Europejskiej”. Autorem testu eliminacyjnego był dr historii Stanisław Grodzki. Opiekunką uczniów w przygotowaniu uczestników do finałowej demonstracji swoich prezentacji na temat „Polska w Unii Europejskiej” z użyciem multimediiów była mgr historii Hanna Paniszewa. W olimpiadzie brała udział młodzież polska ze szkół, gimnazjów, liceów Brześcia i obwodu brzeskiego.

Konkurs został przeprowadzony w dwóch etapach. W pierwszym etapie – pisemnym – 12 lutego uczestniczyli wszyscy chętni uczniowie. Było ich 25. Do drugiego etapu przewidzianego multiprezentacją przeszło 11 uczniów z największą liczbą punktów. 19 lutego odbył się drugi etap olimpiady, który rozpoczęto wysłuchaniem hymnu Unii Europejskiej. Uczniowie nie tylko przygotowali



fachowe prezentacje, ale jeszcze zademonstrowali umiejętności recytatorskie i analityczne. Jury brało pod uwagę przede wszystkim zawartość faktograficzną występow (daty, postaci, pełnione funkcje, plusy i minusy pobytu Polski w Unii), poprawność językową i oryginalność.

Pierwsze miejsce w olimpiadzie zdobyła Luba Pawłowa, drugie miejsce wygrały Olesia Darnopych i Anastazja Daniluk, trzecie miejsce jury przyznało Aleksemu Biedlickiemu i Pawłowi Szaszowi. Wyróżnienia otrzymali Marina Szelpuk i Anastazja Bielak.

Organizatorzy olimpiady składają wyrazy wdzięczności Konsulatowi Generalnemu RP w Brześciu za wsparcie tego przedsięwzięcia w postaci nagród dla zwycięzców i słodkiego poczęstunku dla uczestników.

Hanna Paniszewa

ŚPIEWAJĄCA SZKOŁA



Po raz trzeci w roku szkolnym 2010/11 Polska Szkoła Społeczna im. I. Domeyki w Brześciu zorganizowała muzyczny konkurs. Odbył się on 13 marca 2011 r. pod hasłem „Poezja Śpiewana”. Cele, jakie nauczyciele postawili przed uczestnikami, to doskonalenie językowe poprzez uczenie się na pamięć wierszy i ich śpiewanie, integracja uczniów mówiących po polsku i poszukiwanie talentów reprezentujących szkołę na ogólnobiałoruskich i polskich konkursach muzycznych. Tradycje te sięgają początków Polskiej Szkoły Społecznej pod kierownictwem jej założycielki Aliny Jaroszewicz i owocowały nie jeden raz tak pięknymi i cennymi przedsięwzięciami kulturotwórczymi w Brześciu, jak chociażby Polsko-Białoruski Festiwal Sztuki Współczesnej, festiwa-



mi „Brzeska jesień z polską piosenką” czy Międzynarodowym Festiwalem Wokalnym im. Stanisława Moniuszki.

W imprezie muzycznej uczestniczyło 14 zespołów i dwóch wokalistów. Zgodnie z regulaminem konkursu jury wyznaczyło dwa trzecie, dwa drugie i jedno pierwsze miejsce. Pierwsze miejsce zdobył 7-osobowy zespół „Dobra Nowina” z Peliszczy, który zaśpiewał „Mury runą...” z repertuaru Jacka Kaczmarskiego. Drugimi miejscami podzielili się harcerze drużyny im. R. Snarskiego, którzy śpiewali „Żeby była taka noc...” nieznane- go autora z muzyką R. Pomorskiego i uczeń grupy P-82 – Mikołaj Borysow – z pieśnią „Czarny blues o czwartej nad ranem” z repertuaru SDM. Trzecie miejsce zajęły grupy P-81 z pieśnią „Stukot kół” z repertuaru Czerwonego Tulipanu i P-60 z pieśnią „Jedynie, co mam...” także z repertuaru Czerwo-



nego Tulipanu. Cudowny baryton zademonstrował Paweł Bielawski śpiewając „Kołyśankę leśną” nieznanych autorów.

Konkursowi patronował Konsulat Generalny RP w Brześciu, który ufundował nagrody dla zwycięzców i słodki poczęstunek dla jego uczestników. Konsul d/s Polonii Anna Domska-Łuczak przewodniczyła obradom jury. Podczas wręczenia nagród pani konsul zauważyła wysoki poziom wykonawców i złożyła życzenia dalszej owocnej pracy uczniom i nauczycielom Polskiej Szkoły Społecznej w Brześciu.



Dążąc do pielęgnacji tradycji i osiągania nowych sukcesów w sferze muzycznej pedagogowie Polskiej Szkoły zaproponowali zorganizowanie warsztatów wokalnych. 20 marca odbyło się przesłuchanie utalentowanych uczniów przez Igora Michajłowa – absolwenta Muzycznej Akademii w Warszawie. Warsztaty rozpoczną się 1 kwietnia 2011 r.

Hanna Paniszewa

OLIMPIADA JĘZYKA I KULTURY POLSKIEJ

Kolejnym wydarzeniem w życiu Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domyki była międzyszkolna Olimpiada Języka i Kultury Polskiej, która co roku odbywa się wiosną. Tegoroczna edycja opracowana i przeprowadzona przez nauczycieli – Danutę Winiarek i Natalię Rakowicz zgromadziła uczniów XI klas, którzy postanowili sprawdzić swoje językowe umiejętności i wiedzę z zakresu polskiej kultury na niespełna dwa miesiące przed egzaminem konsularnym. Dwudziestu sześciu uczestników 27 marca br. o godzinie 10 stanęło w szranki. Olimpiada miała charakter roboczy i odznaczała się wysokim stopniem trudności. Wszyscy jednak olimpijczycy ambitnie zakończyli swoje zadania (słuchanie ze zrozumieniem, poprawność gramatyczna, znajomość lektur, wiedza na temat polskich świąt itp.).

Ogłoszenie wyników pięknej rywalizacji i wręczenie nagród miało miejsce 3 kwietnia. Bezkonkurencyjna okazała się uczennica Bożena Szwałkowska, która zdobyła 99 punktów i zajęła pierwsze miejsce. Drugą lokatę zdobyła Luba Kowalowa. Laureatkami III miejsca zostały uczennice Anastazja Daniluk i Katarzyna Selekowicz. Były też wyróżnienia dla Kariny Pucykowicz i Iryny Wielkiewicz. Gratulujemy zwycięzcom!

Dziewczyny okazały się lepsze od swoich kolegów. Laureaci otrzymali nagrody książkowe, a wszyscy uczestnicy słodkie upominki ufundowane przez Fundację Pomocy Polskim Szkołom na Wschodzie im T. Goniewicza, o co postarał się pan prezes – Józef Adamski.

Nauczyciele PSS w Brześciu nie ukrywają, że cieszą się, iż wielu uczniów szkoły to ambitne jednostki, które wykorzystują różne możliwości, jakie stwarza szkoła, by podnosić swoje sprawności językowe i pogłębiać wiedzę na temat Polski. Taką możliwością była Olimpiada Języka i Kultury Polskiej.

Danuta Winiarek



Nareszcie mamy drużynę zuchową!

To dzięki harcerce Annie Polijechowej udało się zorganizować i rozpocząć pracę drużyny zuchowej przy Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu. 12 zuchów z zapałem i radością przystąpiło do harcerskiej nauki. Po głosowaniu drużyna wybrała dla siebie nazwę „Zajęcie na łące”. Od początku zajęcia są prowadzone po polsku. Zaczęła drużynowa Anna od wesołych piosenek, opowieści o sednie sprawy harcerskiej, o tym, kto może zostać zuchem i w przyszłości harcerzem, od harcerskich obowiązków i symboli. Następne zajęcia były poświęcone tematowi lasu i jego mieszkańców. Ponieważ zbliża się czas letnich wakacji, drużynowa Anna już przygotowuje zuchów do pierwszego, wspólnego z rodzicami, wyjazdu do lasu, gdzie dzieci będą uczyć się stawiać namioty i rozpalać ognisko.

Hanna Paniszewa



NOWE WYDAWNICTWA POLESKIE

Nakładem Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie oraz Redakcji „Ech Polesia” ukażą się w najbliższym czasie kolejne dwie pozycje z tematyką poleską. Są to:

- Reprint autorstwa **Mikołaja Rozanowa** pt. **„POWIAT PRUŻAŃSKI (Szkic historyczny)”**; książka wydana w roku 1935 nakładem drukarni Prużańskiego Powiatowego Związku Międzykomunalnego przy pomocy finansowej Wydziału Powiatowego w Prużanie, format A5, objętość 143 str. + mapa. Monografia zawiera bogaty materiał źródłowy, prezentujący po ogólnym przeglądzie zdarzeń historycznych: dobra królewskie, dzierżawy ziemskie i prywatne fortuny magnackie oraz dobra szlacheckie i ziemiańskie. Znaczna część książki poświęcona jest wsi i włościanom oraz miastom. Monografię uzupełniają przywileje królewskie, potwierdzenia i nadania oraz skorowidz nazwisk.

Książkę można było wznowić jako reprint dzięki uprzejmości Pani Mgr Historii Sztuki, Literatowi Zofii Rozanow z Częstochowy, spadkobiercy praw autorskich po ojcu Mikołaju Rozanowie. Reprint zamyka notka „O autorze i książce” autorstwa Zofii Rozanow.

- **Jan Kondarewicz** zamieszkały w Replu jest autorem książki pt. **„PIEŚNI LUDOWE POLESIA na Ziemi Lubuskiej w świetle zbiorów własnych”**, powstałej w latach 70-tych XX wieku jako praca magisterska napisana pod kierownictwem prof. Józefa Świdra, a która prezentuje blisko sto pieśni ludowych Polesia, reprezentowanych przez ludność z okolic Prużany i Berezę Kartuskiej, a osiadłej po II wojnie światowej w Białkowie nad Odrą. Autor „zarażony poleskim bakcylem” w swej pracy zamieścił bogaty materiał dokumentalny, ujęty w czterech rozdziałach: I. Polesie jako teren etniczny, II. Stan i zakres badań, III. Z zagadnień klasyfikacji i systematyki pieśni ludowej oraz IV. Część teoretyczną uzupełniają pieśni zapisane wraz nutami. Ze względów ekonomicznych wydawca zmuszony był nie uwzględnić IV. Rozdziału, którego cechuje opracowanie metodologiczne.

Obydwie pozycje można nabyć w Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie, 20-611 Lublin, ul. Kazimierza Wielkiego 9/60, Tel. 81/747-6163 lub 605-828-137, e-mail: fundgon@gmail.com. Cena jednego egzemplarza danej pozycji wg kosztów produkcyjnych = 25,00 zł + porto.

Nasza Czytelniczka, Halina Szpak ze Szczecina, pisze:

Szanowna Pani Redaktor!

W pierwszych słowach pragnę Pani podziękować za pięknych kilka słów o mnie, o nas Sybirakach. Nigdy nie czułam się bohaterką, dopiero dziś w wieku 87 lat czytając Pani słowa, pełne zrozumienia przeżytych przez nas chwil, poczułam się jak bohaterka, a przecież wszyscy byliśmy wówczas dzielni, niepokonani, z nadzieją i wiarą, że Pan Bóg nam pomoże.

Załączam wiersz mojej koleżanki Kazi Wirkus, który napisała w pierwszych miesiącach naszej Syberii jako dowód, że początkowo nie było tak smutno, mimo wszystko wierzyliśmy, że wkrótce wrócimy do Ojczyzny. Jest to bardzo stara pamiątka, dlatego jest mało czytelna.

Jestem zachwycona „Echami Polesia”.

Serdecznie pozdrawiam – Halina Szpak
Szczecin 1.03.2011

Przypomnij sobie Hali, jakżeśmy popadły na sianokos

Poranne jasne słońko
Już wzniosło się ku górze
Drogą wiodącą na ogród
Szły cztery panny duże

Ta pierwsza z lewej strony
Z bardzo poważną miną
Najniższa z całej czwórki
Nazywa się Haliną

A obok wyższa od Hali
Z twarzą roześmianą
Niebieskooka, jak niebo, oczach
Nosiła Losi miano

Ta cienka – to Marysia
Co przyśpiewuje sobie
Ta czwarta – to właśnie Kazia
Ja w swojej własnej osobie

Idziemy wszystkie rażno
Tylko nam skrzypią pantofle
Na pracę do ogrodu
Sadzić za pługiem kartofle

I już za parę minut
Wraz do ogrodu wpadamy
Trochę za wcześnie przyszliśmy
To też na „Wańkę” czekamy

„Wańka” ten w płaszczu „bojca”
Z szpiczastą czapką na głowie
Jest starszym nad „roboczymi”
I „brygadierem” się zowie.

Wreszcie przychodzi „Wanieszka”
Z miłym uśmiechem na twarzy
Daje nam w rączki motyczki
I grządki gracować nam każe

Pracuję do obiadu
W skwarze i pocie czoła
Żeby się czas nie dłużył
Śpiewamy piosnki wesoło

Nadchodzi wreszcie błoga
Czekana przerwa na obiad
Rzucamy spieszenie motyki
Na „oddych” idziemy sobie

Po skromnym lekkim obiedzie
Siadamy sobie na wale
Pośród zielonej trawki
Odpocząć doskonale

Lecz jak zmrużenie oka
Mijają chwile spoczynku
Musimy znów z motyczkami
Stanąć w „roboczym” ordynku

I znów z westchnieniem czekamy
Aż słońce na dół się schyli
Żebyśmy jak najprędzej
Z pracy do domu wrócili

Kiedy słońce, wieczorem,
Kładł się do snu z ochotą
Przychodzi Wania z Kolką
I „prewierajut” robotę

Kola mysimi oczkami
Przelicza grządkę za grządką
I mówi: „Płochy zdiełali
Jutro zaczniecie z początku”

Ale się jego słowami
Wcale nic nie wzruszamy
Grunt, że już praca skończona
I już do domu ruszamy

Aż zatrzymuje nas Kola
I rzecz drwiącym głosem
„Jutro Pietury i Trzaska
Pojadą na sianokosy”

„A Wirkus Katię zawtra
Tu na ogrodzie zostawię
I ona jutro rano
Całą tą pracę poprawi

My nic do niego nie mówiąc
Prędko do domu pędzimy
Okropne zło; nad naszym
Strasznym nieszczęściem radzimy

„Bo jakże my możemy
Do tego właśnie dopuścić
Ażeby naszą czwórkę
Miał taki Kolka rozłączyć

I wszystkie jednogłośnie
Takżeśmy uradzili
Żeby mnie na sianokos
W kantorze przydzielili

I sprawa poszła gładko
Tak nadspodziewanie
Mogłam z wami pojechać
„Na siena sobierannie”.

*Na pamiątkę wspólnych przeżyć
w Kazachstanie – K. W.*

Dzień Papieski w Kroszynie

Dnia 10 kwietnia 2011 r. młodzież ze Społecznej Szkoły Polskiej w Baranowiczach przedstawiła w kościele parafialnym w Kroszynie montaż słowno-muzyczny pt. „Gdzie jesteś źródło”. Inspiracją do powstania montażu stał się poemat medytacyjny Jana Pawła II pt. „Tryptyk rzymski”.

Młodzież recytowała fragmenty „Tryptyku” głównie z motywem źródła, co zostało wzbogacone pieśniami takimi jak: „Barka”, „Czarna Madonna”, „Polskie kwiaty”, „Cywilizacja” oraz „Niech łąki”.

Recytację tekstów artystycznych wygłosili uczniowie ze starszych klas SSP, którzy pracowali pod kierunkiem Joanny Panasiuk, nauczycielki skierowanej do pracy w Baranowiczach przez Zespół ds. Polonii w Warszawie, będący resortem Ministerstwa Edukacji Narodowej. Oprawą muzyczną zajęły się nauczycielki miejscowe: **Helena Kierowa i Halina Breńko**. O dokumentację uroczystości w postaci zdjęć zadbała **Lubow Rowińska**, nauczycielka klas młodszych.

Celem montażu słowno-muzycznego było upamiętnienie życia i działalności apostolskiej Papieża Polaka, Jana Pawła II, jak też uczczenie ofiar katastrofy lotniczej w Smoleńsku.

Na uroczystości byli obecni m.in. nauczyciele pracujący w Społecznej Szkole Polskiej w Baranowiczach oraz rodzice uczniów.

Redakcja gratuluje wspaniałej inicjatywy! Dodamy także, że Pani mgr Joanna Panasiuk zorganizowała także cykl wykładów pt. „Kultura duchowa dawnej Rzeczypospolitej” dla wykładowców Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki i Klubu Inteligencji Katolickiej w Brześciu.



Szanowna Redakcjo,

Nazywam się Rysiek Przewłocki urodzony w Dubnie na Wołyniu, a teraz zamieszkały w Australii przez ostatnie przeszło 60 lat. Nie wiem skąd otrzymałem „Echa Polesia”, ale dzisiaj przeczytałem wszystko od początku do końca i muszę przyznać, że dla mnie to było tak jakby obraz mojego życia pojawił się przede mną. Nigdy jeszcze nie znalazłem w żadnym wydaniu pism takich dokładnych historycznych faktów w jednym wydaniu.

Oczywiście bardzo mnie ciekawi „Katyń”, bo tam straciłem ojca policjanta z Dubna. Jan Przewłocki został wywieziony do Ostaszkowa, rozstrzelany w Twerze i pochowany w Miednoje. Mój kolega ze szkoły w Afryce dostał się do Kanady za pomocą ojca Lucjana Królikowskiego. Ja z nim do dzisiaj koresponduję.

„Była to czysta desperacja, głód zwyciężył strach”. Tak pisze na stronie 68 kiedy mężczyźni postanowili ukraść jedną krowę. Ja sam miałem podobną okazję ukraść kurę, która przypadkowo dostała się do naszego pokoju w Uzbekistanie. W pokoju była tylko moja mama i ja, więc złapaliśmy kurę i jako ośmioletni chłopak pomogłem mamie tę kurę zabić i dopiero w nocy spaliliśmy w piecu pióra tak, aby śladu po tej naszej kradzieży nie było. Mieliśmy nareszcie coś do jedzenia oprócz żółwi i owoców, które udało się mnie od czasu do czasu ukraść. Zrobiłem się też specjalistą łapania żółwi, które mogliśmy jeść i tak przeżyliśmy nasze cierpienia i głód w „sowieckim RAJU”.

Podróż na Sybir, mrozy i głód też dobrze pamiętam. Tak pochowaliśmy mojego brata w wieku 7 lat. Po tych naszych tułaczkach nareszcie polski rząd dał mnie dwa lata temu „Krzyż Sybiraka”, ale niestety moja mama nie doczekała się tego Krzyża. Umarła w Perth (zach. Australia) w 1993 roku.

Gratuluję Redakcji za takie świetne wydanie „Echa Polesia” i cieszę się, że ono jakoś do mnie wpadło.

Z poważaniem, stary „Sybirak” z Melbourne -
Rysiek Przewłocki

Szanowna Pani Alino!

Od roku pronomeruję Echa Polesia i z zainteresowaniem poznaję krainę moich przodków ze strony ojca, pochodzących z Kobrynia. W październiku ub. roku byłem na zjeździe w kobryńskim gimnazjum, co jeszcze bardziej zbliżyło mnie do Polesia. Bardzo chciałbym odnaleźć jakiś znajomych moich dziadków, bądź ojca lub stryja, o których pisałem Pani przed ok 05 rokiem. Zależy mi bardzo na wydrukowaniu moich wspomnień o pradziadku powstańcu

styczniowym, dziadku żołnierzu z 1920 roku, stryja walczącym w baonie uczniowskim pod Kobryniem z Niemcami i ojcu zesańcu z moją babcią na Syberię, a potem żołnierzu Armii Andersa. Zależy mi na znalezieniu jakichkolwiek znajomych, ponieważ ja nie znałem nikogo z nich. Wszyscy polegli: dziadek i stryjek, bądź zmarli: babcia i ojciec przed moim urodzeniem lub zaraz po nim.

Pozdrawiam serdecznie

z wyrazami szacunku
Adam Łęczycki

Arcyciekawa opowieść M. Kowalewskiego

z Sinzing, Niemcy z dn. 26 lutego 2011:

Dziadek Mieczysława Kowalewskiego Aleksander służył w armii carskiej i podczas wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 roku za swoje bohaterskie czyny dostał od cara order Św. Jerzego jako najwyższe odznaczenie. Car co 4 lata organizował dla kawalerów tego orderu bankiety, więc i jego zaprosił ok. 1910 roku. Aleksander w tym czasie ubiegał się bezskutecznie o budowę kościoła w Sielcu k/Berezy, skąd pochodził. Gdy miejscowe władze dowiedziały się o carskim zaproszeniu Aleksandra na ten bankiet, aresztowały go pod jakimś pretekstem. Aleksander z aresztu poprosił żonę, aby przysłała jemu ten order do aresztu w niedopieczonej bułce. W areszcie Aleksander założył sobie ten order na piersi. W Rosji istniał zwyczaj, że nie wolno było aresztować kawalerów tego orderu, a właściciel orderu mógł wymagać od władzy spełnienia swego życzenia. Aleksander zażądał od administracji guberni grodzieńskiej, aby wyprowadzono jego z aresztu przy udziale orkiestry wojskowej z Brześcia, co też się stało.

Zdażył na bankiet do Petersburga i tam carowi przedstawił pismo-prośbę o zezwolenie na budowę kościoła w Sielcu pod wezwaniem św. Aleksego, gdzie ludzie pragną się modlić o zdrowie carewiczów-Aleksego. Car bez wahania nakazał gubernatorowi Grodna udzielić zgody a nawet pomocy przy budowie tego kościoła!

Na podstawie rozmowy telefonicznej
z wnukiem Aleksandra,
tj. Mieczysławem Kowalewskim,
spisał – J. Adamski

A OTO NASTĘPNA CIEKAWOSTKA:

Kuzyn Mieczysława Kowalewskiego zawiesił pierwszy sztandar polski w Berlinie po jego zdobyciu. Przyszli ruscy krasnoarmiejcy i kazali mu „tę szmatę” zdjąć!.....

Kuzyn był mistrzem Europy w boksie.

Dokładne relacje o tej przygodzie i innych otrzymamy od M. Kowalewskiego, do druku w następnych numerach „Echa Polesia” wraz z fotografiami przodków.

Szanowna Pani Redaktor!

Ja Leon Podlach, zamieszkały w Grodnie, jestem członkiem ZPB od 1989 r. Biorę czynny udział w życiu społecznym związku, związku sprawiedliwych.

Param się pisaniem wierszy, mam dwa wydania dwóch tomików, piszę wiersze patriotyczne, takie jak „Uprogu Ojczyzny”, „Pocieszenie strapionych”, „Rok czterdziesty nastąpił”, posiadam również liryczne.

Jestem stałym czytelnikiem „Echa Polesia”, które od ubiegłego roku dociera do nas często, więc czytam z przyjemnością. Za co serdecznie dziękuję zespołowi redakcyjnemu.

Chciałbym podzielić się z Panią próbą swojej twórczości i ocenić jak Pani odbiera moje pisanie. Mam tutaj parę moich ostatnich utworów. Mam już 77 lat więc czas ucieka.

Z uszanowaniem -
Leon Podlach
Grodno



Targ w Prużanie (Lata 1941-44). Foto – Zenon Wysłouch

Upadła ma łąza

Na rzęsach niedbale upadła ma łąza.
I jedna za drugą, jak pacierz w różańcu.
Wciąż nie ma im końca i wyschnąć nie mogą.
Stoję samotnie – dookoła cisza.

Powiedz mi nie milcz, czy łąza nie rozbryźnie się
Padając na małe iskrzące się błyski,
Na krople tęsknoty, urojeń, niezgody.
Stoję samotnie – dookoła cisza.

Czy promień słoneczny odbije się iskrząc,
Kryształem wyschłych mych łez?
Pacierz różańca jeszcze ciągle trwa.
Stoję samotnie – dookoła cisza.

21.02.2010 r.

Hymn Miłości

Śpiewam Ci moja Miłości.
Miłości ciągle niezbytej,
Ciągle na więzach zachłannej,
Ciągle nie wyrwiesz się z więzów

Bo Miłość, to co nie ginie,
Co błądzi wśród ludzi kochanych
I szuka i błądzi wśród zabłąkanych
By lokum umieścić na świecie zbłąkanych

Więc Miłość jest ciągłą tułaczką
Gdzie szuka rozkoszy, rozkwitu w błogości
By przeżyć jedność złączonych
Niektórzy przeżyją z nią razem.

22.02.2010 r.



Prużańskie losy

Anna Biesiekierska



Anna Biesiekierska z domu Ocepa przyszła na świat 15 listopada 1901 roku w Prużanie. Dzieciństwo i lata młodości spędziła na Polesiu w osadzie Kletno w powiecie prużańskim. Po ukończeniu szkoły przez 2 lata pracowała jako nauczycielka. W roku 1922 wyszła za mąż za Jana Biesiekierskiego, osadnika wojskowego. Urodziła czworo dzieci: Jerzego (zmarł w wieku jednego roku), Czesława, Marię i Andrzeja. 20 września 1939 roku został zastrzelony jej mąż. Po roku (10 lutego 1940r.) wraz z dziećmi została wywieziona do Rosji, do archangielskiej obłasti. Dzięki jej zaradności i dzielności rodzina przetrwała ten straszny czas. W roku 1944 Anna Biesiekierska objęła wychowawstwo w polskim domu dziecka w Stawropolu nad Wołgą. Tam zetknęła się z rodzeństwem Mikusków; jej córka Maria wspomina uznanie, z jakim matka mówiła o Czesławie Mikusku, opiekującym się z największym oddaniem i poświęce-

niem swoim młodszym rodzeństwem. 15 kwietnia 1946 roku Anna Biesiekierska z rodziną oraz polskim sierotami z Rosji przekroczyła granice Polski i trafiła do Rozdzielczego Domu Dziecka w Gostyninie. Stąd trafiła do Domu Dziecka w Sztumie, gdzie przepracowała prawie rok. W marcu 1947 roku objęła stanowisko dyrektorki Domu Dziecka w Łęborku. Pracowała tu 2,5 roku, jednocześnie studiując na Wyższych Kursach Nauczycielskich w Krzeszowicach koło Krakowa. Ukończyła je w sierpniu 1949 roku, by po kilku miesiącach – pod koniec grudnia 1949 roku – otrzymać propozycję objęcia kierownictwa Państwowego Pogotowia Opiekuńczego w Sopocie. W tym czasie jej córka Maria zdała maturę i otrzymała nakaz pracy gdzieś na głębokiej prowincji. Udało się tego uniknąć, bo już od kwietnia 1950 roku zwolniło się stanowisko wychowawczyni w PPO na Stawowiu i przez kilka miesięcy, w Pogotowiu przy Stalina 618 pracowały dwie panie Biesiekierskie: mama i córka. Później Maria Biesiekierska znalazła zatrudnienie w żeńskim liceum im. Marii Curie-Skłodowskiej w Sopocie (obecnie I LO), gdzie dyrektorką była Helena Pękalska. Anna Biesiekierska zmarła 23 października 1988 roku.



SAGA POLESKA

Moja piękna mama

Długie są wieczory jesienne przy lampie naftowej. W kręgu łagodnego, zielonkawego światła spod jej jedwabnego abażura, w dużej izbie, zwanej pretensjonalnie salonem, kończy się spokojnie pracowity dzień poleskiego dworu o białoruskiej nazwie Bałandycze.

Na kominku leniwie dopalają się czarne bierwiona. W głębi pokoju, już poza świetlistym kręgiem lampy, Papa wygrywa niedbale bez nut swe fantazje muzyczne na starym fortepianie. Poprzez krople deszczu na szybach zmrok coraz natarczywiej zagląda przez okna, jak gdyby pragnąc wtargnąć do wewnątrz, wcisnąć się w jasność naszej izby.

W kręgu lampy panuje Mama, otoczona dworskimi kobietami. Niania Annuszka i pozostałe dziewczęta zajęte są łuskaniem grochu lub skubaniem pierza na poduszki, od taka sobie robota–zabawa, by jakoś skrócić niekończący się wieczór. Mama najczęściej coś szyje lub haftuje, słuchając ploteczek z pola czy z obory, półgłosem komentowanych przez dziewczęta. Ja, szukając zajęcia dla siebie, przeszkadzam wszystkim, więc wreszcie rezygnuję i biegnę do wielkiego fotela pod oknem, na którym zawsze leży obszerna szuba ze srebrzystych wilków syberyjskich, którą Papa otula się podczas swych wyjazdów sałmami do lasu. Zwisając wokół fotela, jak ciężki namiot futrzany, służy mi ona normalnie za miejsce zabaw, za mój własny dom, w którym mieszkają wszystkie moje zwierzęta pluszowe i nieliczne lalki. Jest to też miejsce, do którego zawsze się chronię, gdy w świecie dorosłych nie można już dłużej wytrzymać. Ale po chwili krąg zielonkawego światła zwycięża. Zaczynam oglądać od niechcienia otaczające mnie, znane od lat, przedmioty: siatkowe firanki, aksamitne ciężkie zasłony, doniczki begonii w oknach, stary dywan z kawałków skór sarnich i krowich na podłodze z heblowanych desek, fotografie nad kominkiem.

Te fotografie zawsze budziły we mnie niepokój. Pochodziły one z nieznanego mi świata, obcego, być może nawet wrogiego, który pewnego dnia może

zniszczyć mój światek dziecinnych wyobrażeń, pogodny czarowny krąg moich Bałandycz.

Same już tylko napisy na fotografiach, dużymi złotymi literami, takie jakieś ozdobne i nie pasujące do naszego otoczenia, zupełnie przerażały mnie swoją obcością. Mama mówi, że są to napisy rosyjskie: Kijów 1904 rok, że na jednej fotografii pan w białym, bardzo pięknym mundurze, to jej ojciec a mój dziadek Michał Borysiewicz i że takie mundury nosili przed wojną w Rosji inżynierowie kolei żelaznych. Na drugim zdjęciu dość tęga pani w długiej czarnej sukni z bardzo bufiastymi rękawami. To podobno babcia Borysiewiczowa, a przy niej troje dzieci: zupełnie mały chłopczyk w białym ubranku z dużym koronkowym kołnierzykiem i dwie trochę starsze dziewczynki. Jedna z nich jest bardzo ładniutka i tak jakoś wdzięcznie włoski ma rozpuszczone i nawet swą laleczkę trzyma na kolanach jakoś ładniej, niż normalnie dzieci swe lalki trzymają. To na pewno jest moja Mama.

Bo moja Mama jest bardzo, bardzo piękna, najpiękniejsza ze wszystkich kobiet na świecie. Mogę godzinami patrzeć na nią, gdy tak siedzi przy lampie nad swoją robótką, zawsze ładnie schylona i zawsze z tym swoim dziwnym uśmiechem. Ten uśmiech jest jakiś taki, że wcale nie można zrozumieć, czy Mama jest w tej chwili bardzo szczęśliwa, czy też, wręcz przeciwnie, ma wielkie zmartwienie. A może właśnie marzy ona o jakiejś pięknej przyszłości czy o tym swoim dalekim Kijowie?

– Maa, powiedz, co z tym Kijowem? Czy mieszkałaś tam z Babcią? Co robiłaś gdy byłaś taka mała, jak ja teraz? Opowiedz, proszę.

Mama nie lubiła i nie umiała opowiadać. Nie pamiętam, żeby mi kiedy opowiedziała choć jedną bajkę, których tak wiele słyszałam od mej poleskiej niani. O czasach jednak swojego dzieciństwa mówiła dość chętnie, ale jakoś bardzo rzeczowo, podając same tylko fakty i nie ozdabiając ich baśniową scenarią, jak to normalnie robili moi tu wszyscy przyjaciele w swoich opowiadaniach.

Wspomnienia z Mamy dzieciństwa to śniegi syberyjskie – budowa Kolei Transsyberyjskiej, gdzie dzia-

dek prowadził jeden z odcinków. Babcia Borysiewiczowa z trojgiem dzieci i z ich francuzką guwernantką podążała dzielnie za mężem, mieszkając w specjalnie przystosowanych do tego celu wagonach kolejowych lub w drewnianych chatach syberyjskich – Dzieci biegały po śniegu na szerokich nartach, podbitych skórą z łosi lub na rakietach, zaś najulubieńszym ich zajęciem była jazda saneczkami, zaprzężonymi w reny lub psy. Ze śniegiem bywały też różne kłopoty. Że po całonocnej zawiei okna chaty zasypywało nieraz po czubki szyb – nie było w tym nic nadzwyczajnego. Pewnego jednak razu, po nocnej śnieżycy, nie można było rozpaść ognia w piecu, żeby ugotować śniadanie. W obawie o uszkodzenie komina, dziadek zatelefonował na budowę po kominarza. Telefon polowy, na szczęście, był czynny. Okazało się jednak, że komin był w porządku, lecz w nocy spadło tyle śniegu, że cała chata wraz z kominem była całkowicie zasypała. Potrzeba było kilkunastu robotników, żeby ich z tej góry śnieżnej wykopać.

Pobyt na Syberii skończył się wraz z zakończeniem budowy Kolei Transsyberyjskiej. Wkrótce potem dziadek umarł na zawał serca, zostawiając babcię z dziećmi w dość skromnych warunkach. Babcia wróciła do swojej rodziny w Kijowie. W tymże Kijowie, o którego pięknie opowiadało się u nas często i chętnie, dzieci chodziły do szkoły.

O ile z dziewczynkami nie było kłopotu – obie skończyły szkoły średnie z odznaczeniem i jeszcze jakieś wyższe kursy francuzkie – o tyle ich braciszek Jura stale miał trudności z nauką. I choć z pieniędzmi było u Borysiewiczów wciąż ciężko, zdecydowano jednak wziąć dla niego korepetytora. Korepetytor, o bardzo niewielkich wymaganiach, wkrótce się zresztą znalazł. Dziwny to był młody człowiek, ten korepetytor. Gdy pierwszy raz przyszedł się przedstawić, uparcie odwracał się plecami do ściany i był jakoś dziwnie skrępowany. Okazało się, że miał łaty z tyłu na spodniach i bardzo się tego wstydził. A i potem zachowywał się jakoś dziwnie: to zbyt nieśmiało, to znów prawie agresywnie–niegrzecznie, nie mając w niczym umiaru. Najzabawniejsze zaś, że na widok młodszej z panien Borysiewicz, czerwienił się on i zupełnie tracił rezon. Nie podobało się to wszystkim surowej Babci Borysiewiczowej, ale, że Jura zaczął robić duże postępy, tak to już i pozostało. Być może przedsiębiorcza i twarda babcia nie zostawiłaby tak tej sprawy, gdyby się domyślała, co ją jeszcze

z tym niewydarzonym młodym człowiekiem, z tym biednym studentem czeka.

Miliony rodziny Kisłowskich (tak się nazywał korepetytor) były w niegospodarnych rękach. Twórcą ich wielkiej fortuny był pradziadek Pisarew, który do posiadanych już ziem na Ukrainie, dokupił sprzedawane z licytacji majątki na Wołyniu i Polesiu, zaprowadził wzorowe plantacje żyta i pszenicy, robiąc następnie duże pieniądze na eksporcie zboża. Jakby się to dziś nie wydawało dziwne – Rosja w tym czasie eksportowała zboże. Po jego śmierci, ani dwaj jego synowie, interesujący się tylko teatrem, a raczej aktorkami i końmi, ani jedyna córka – utalentowana pianistka – żona lekarza Kisłowskiego, mojego dziadka, nikt z nich nie chciał i nie potrafił tym się zająć. Dziadek Kisłowski zmarł bardzo młodo, w kilka lat później tragicznie zginęła jego żona, zostawiając dwoje małych dzieci, Aleksandra i Olgę Kisłowskich, zupełnie bez opieki. Majątkami zarządzali jacyś niekompetentni, a może też i nieuczciwi ludzie, wujkowie trwonili pieniądze w sposób niesłychany nawet na przedwojenne rosyjskie stosunki, budując wytwórnie filmowe, filmów przez nikogo nie oglądanych (był to okres pierwszych filmów niemych), finansując przedstawienia o pustych widowniach i utrzymując role aktorów. Dzieci zmarłej siostry żyły pomiędzy końmi i aktorami, żywiły się resztkami po wielkich przyjęciach i nie miały najniezbędniejszego. Olek, już jako kilkunastoletni chłopak, zaczął zarabiać na potrzeby swoje i siostry, korepetycjami, a potem artykułami do gazet. Prosić wójków o pieniądze żadne z nich nie chciało.

Babcia Borysiewiczowa długo o tym wszystkim nie wiedziała, a gdy się wreszcie dowiedziała, było już za późno, gdyż w tym że czasie ten z trudem tolerowany przez nią młodzieniec, niegdyś korepetytor jej syna, poprosił o rękę jej młodszej córki Nonny i oboje zaklinali się na wszystkie świętości, że żyć bez siebie nie mogą. Odpowiedź Babci była jednoznaczna:

– Nie, kategorycznie nie! Moja córka nie wejdzie do takiej rodziny. Jesteśmy wprawdzie niezamożne, ale znamy naszą wartość. Do takiej rodziny – przynigdy! Cóż robić dalej? Babcia nie zwykła cofać swych słów, lecz i młody człowiek, mimo nieśmiałego wyglądu, nie lubił rezygnować. A panna Borysiewicz, późniejsza moja Mama była taka ładna, taka bardzo ładna.

Sposób na to musiał się znaleźć, chociaż, trzeba przyznać, sposób trochę niezwykły. Mój przyszły Papa kazał wydrukować paręset zaproszeń na ślub jego z moją Mamą w imieniu Babci i jego wujków. Że to niby „Pani Borysiewicz i panowie Pisarew mają zaszczyt zaprosić p.p.... na ślub, mający odbyć się dnia... w kościele...”, itp., jak to przy takich okazjach zwykle pisze. Zaproszenia te rozesłał on do wszystkich krewnych i znajomych Babci, licząc się z tym, że dla uniknięcia tak zwanego skandalu, nie zechce ona zapowiedzianego ślubu córki odwoływać. Jego znajomość ludzi, a Babci w szczególności, nie zawiodła. Postawiona wobec faktu dokonanego, babcia zgodziła się na ślub, zapowiedziała jednak, że nigdy więcej nie chce widzieć w swym domu ani podstępного młodzieńca, ani nieposłusznej córki, która musiała przecież wiedzieć o wszystkim. Wkrótce potem rodzice wyjechali do Polski i rzeczywiście nigdy już potem babci nie zobaczyli.

No cóż, piękne kobiety muszą mieć i życie ciekawsze, niż te inne dziewczyny, niczym się nie wyróżniające. Myślałam tak zawsze, słuchając opowiadań o czasach kijowskich i patrząc z podziwem i zachwytem na regularne rysy delikatnej twarzy i pięknie osadzoną głowę, schylającą się do mnie tak wdzięcznie. Moja piękna Mama była dla mnie jak dzieło sztuki, patrzyłam na nią, ciesząc się, że mogę jej widok mieć przed oczami. Tak było w Bałandyczach – w poleskim dworze, gdzie obowiązywała specjalna hierarchia i porządek, a w tym przypadku każdy z nas miał swoją rolę. Otoczenie było swoje i bardzo dla mnie życzliwe, wszyscy znali mnie od kołyski, uważali za swoją. W okolicznych miasteczkach wszyscy znali i podziwiali moją piękną Mamę, na mnie nikt nigdy nie zwracał uwagi. Lecz od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczono nas razem, zaczęło się coś, co mnie całkowicie wytrąciło z równowagi. Ciągle i wciąż słyszało się okrzyki pełne zdumienia:

– No nie, to jest przecież niemożliwe! Czyżby to była córka tej pięknej kobiety?

– Biedna brzydula przy takiej matce!

Było w tym tyle szczerego zdziwienia, że nawet o specjalną złośliwość nikogo nie można było podejrzewać. I to chyba było najgorsze.

Ja, która wśród innych podlotków byłam normalnym, przeciętnym dzieckiem, przy dumnej – łabędziej piękności mojej Mamy wydawałam się wszystkim po

prostu brzydkim kaczątkiem. I na to już nie było żadnej rady.

Tak jest, moja Mama była piękna, bardzo piękna. A być córką bardzo pięknej kobiety, to sprawa wcale nie jest łatwa.

Mój biedny Papa

Jeżeli Mama była pięknością i elegancją naszego domu, to Papa był źródłem niewyczerpanej energii i optymizmu, a także promiennej, wszechogarniającej serdeczności. Jego stosunek do otoczenia zawsze był aktywny.

Już jako siedmioletni chłopczyk, osierocony po śmierci obojga rodziców, uważał on za swój obowiązek opiekować się młodszą siostrzyczką, stając dzielnie w jej obronie, dzieląc się z nią każdym zdobytym kąskiem czy pieniążkiem. Ta potrzeba opiekowania się słabszym pozostała mu już na całe życie. W czasach studenckich miał przyjaciół wśród znienawidzonych w Kijowie Żydów i stawał zawsze po stronie Polaków, twierdząc, że czuje się jednym z nich. Urodził się on w niewielkim miasteczku na Ukrainie, w pobliżu ziem polskich, w rodzinie jego ojca więcej było Polaków niż Rosjan. Mówił on i pisał po polsku bezbłędnie i z uporem podkreślał swą przynależność do Narodu Polskiego, co nie zawsze znajdowało zrozumienie u rdzennych Polaków. Wyjazd z ogarniętego rewolucją Kijowa do Polski był wyrazem tej właśnie jego postawy życiowej. O tym, że należący do jego rodziny majątek Bałandyczów ocalał na Polesiu, dowiedział się on dopiero potem, po przybyciu do Pińska od adwokata, prowadzącego sprawę jego rodziny. Przy tejże okazji dowiedział się on, że znacznie piękniejszy majątek Kołki na Wołyniu, słynący z niezwykle urodzajnej ziemi, został sprzedany za grosze na pokrycie długów karcianych jednego z jego wujków.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak załadować piękną, delikatną żonę z dwumiesięcznym podówczas dzieckiem i mleczną kozę na zakupioną po drodze furę kartofli – w obawie ogólnie panującego tu w 1920 roku głodu – przebyć w ten sposób 50 km, dzielących Pińsk od Bałandycz, gdzie postanowili oni zamieszkać.

Zamiast jednak okazałego niegdyś dworu, powitały ich świeże jeszcze zgliszczyska. Jedyna, przebywająca w pobliżu istota – brodaty stróż Nikonor, w łapciach

i podartym kozuchu baranim zaproponował im, z poleszucką gościnnością, zamieszkania w jego drewnianej też, na wół spalonej chacie.

W ten to sposób owa jednoizbowa chata poleska stała się moim pierwszym domem rodzinnym. Mieszkaliśmy w niej wszyscy razem, to znaczy: rodzice ze mną, stary Nikonor z żoną Katarzyną i kozą-żywićielką, której mleko stało się wkrótce moim wyłącznym pożywieniem. Koza musiała mieszkać razem z nami, gdyż nie było dla niej obórki. Z koniem, który z trudem przyciągnął tu naszą furę, kłopotu nie było. Była to zgrzybiała szkapina i w kilka dni po naszym przyjeździe zdechła ona z wycieńczenia.

Początki nie były łatwe. Wszystko trzeba było robić samemu. W niewielkim ogródku uprawiało się najpotrzebniejsze jarzyny. W dziwny sposób wyrastały w nim najlepiej czerwone buraki – do dziś dnia moja najulubieńsza potrawa. Uprzątnięcie pogorzelska i wybudowanie nowego, drewnianego, dużo skromniejszego dworu wykonane zostało prawie wyłącznie pracą starego Nikonora i rąk własnych Papy. Drzewa na opał do pieców glinianych, na szczęście, nie brakowało, a w pobliskim jeziorze ryb było pod dostatkiem. Stara Katarzyna łapała je zręcznie we własnoręczne robione sieci w kształcie dużych worów. Tłuszczu nie było żadnego – krów nie miał nikt w okolicy. Rekwizycje wojenne, nieurodzaje i głód zrobiły swoje. Nawet szczątki naszego zdechłego konia, zakopanego przez Ojca po kryjomu w nocy, ktoś wykopał i doszczętnie oczyścił z resztek chudego mięsa. Masła czy oliwy nikt nie miał, lecz miód i воск pszczeli można było dostać. To też placki kartoflane czy ryby smażyono na roztopionym wosku. Podobno w smaku to było niezłe, ale po chwili człowiek czuł się jak worek wypchany kamieniami – zbyt przyjemne to pewnie nie było.

Poprawa przychodziła powoli. Okoliczna ludność, odbudowując się po wojnie, zaczęła kupować drzewo z lasu dworskiego. Za te pieniądze zdobyło się pierwszą krowę, potem konia, potem świnie, kury, gęsi, nawet indyczki. Dwór został wreszcie odbudowany, nieco dalej – obok chaty Nikonora, zbudowano też stajnie, oborę, śpichsz na zboże, kurnik i kilka nowych chat dla czeladzi. Powstało w ten sposób niewielkie osiedle, ze starą chatą Nikonora pośrodku, tuż przy wspólnej drewnianej studni z wysokim żurawiem. Meble ojciec skupywał w okolicznych wsiach. Były to najczęściej meble ze starego dworu, rozkradzione

w czasie wojny, ale o tym nikt już nie wspominał. Trzeba jednak przyznać, że sprzedawano je Ojcu za bescen. Być może było w tym coś z aktu skruchy, czy spóźnionego wstydu, możliwie jednak, że ogół po prostu uznał, że młody dziedzic jest dziś tak samo biedny, jak i wszyscy w okolicy, a że pracuje on jak chłop – sam orze i sieje – więc trzeba go traktować inaczej, niż przedwojennych dziedziców. W jako-tako zagospodarowanym domu brakowało już tylko jednego – fortepianu. Papa pamiętał ze swej wczesnej młodości, że grywał tu na wielkim Beckstejnie, kupionym jeszcze przez jego matkę. Odnalezienie tego fortepianu stało się jego manią. Wszyscy przypuszczali że został on spalony wraz ze starym dworem i tylko Ojciec powtarzał uparcie: – Skoro meble skradziono, skradziono również i fortepian – trzeba go tylko cierpliwie szukać. Jakież było zdumienie we dworze, gdy po kilku miesiącach, furą zaprzęzona w dwa tęgą woły, zajechał przed dom czarny fortepian.. Odnalazł się on w 10 km odległej wsi, w stodole u chłopca, który w jego pudle trzymał wymłoczoną przenicę, a pękatymi nóżkami podpierał deski, grodzące sieczkę i koniczyny dla krów. W chwili, gdy wielki fortepian oczyszczony, odmalowany i od nowa nastrojony stanął dostojnie w izbie gościnnej, życie dworskie wyraźnie się ożywiło – powstał też nowy zwyczaj przychodzenia wieczorami, żeby „posłuchać muzyki”.

Papa nut prawie nie znał, lecz ze słuchu grał bardzo pięknie. Jego własne kompozycje-fantazje, ni to dumki ukraińskie, ni to grzmoty huraganów znad stepów, czy z kolei trele ptactwa znad bagien poleskich, były wprost urzekające. Chłopi z pobliskich wsi przychodzili wieczorami i, siadając na trawniku pod oknem, słuchali tej muzyki. Ja sama ją uwielbiałam.

Gdy Ojciec grał, rozumiałam, co chce on w tych swoich melodiach wypowiedzieć. Zdawało mi się, że jestem z nim jedną myślą, jednym pragnieniem, jedną niemalże istotą, że wędruję wraz z nim po lasach i polach, przeżywam burzę, niepokoje, czy też słoneczne radosne poranki i piękne, spokojne zachody słońca.

Przywiązanie moje do Ojca było w takich chwilach najsilniejsze, ale – co mnie samą dziwiło – było to przywiązanie jakieś bardzo smutne.

Było mnie go zawsze żal, tego mego dzielnego Papy. Dlaczego? Sama nie mogłam tego pojąć. Czy była to historia jego sierociego dzieciństwa, o którym Mama opowiadała, czy to jego paranie się z ciężką

pracą wiejską, te ciągle wysiłki, często nieskuteczne, które przecież widziałam, choć byłam małym dzieckiem. A może była to podświadoma, dziecinna obawa o tę istotę najbliższą, dobrą, odważną, być może zbyt odważną. Bałam się o niego ciągle. Wyczekiwałam niespokojnie co wieczór jego powrotu do domu, momentu, gdy zasiądzie on do swego fortepianu. Od tej chwili mogłam się już o niego nie bać więcej, mogłam spokojnie słuchać jego muzyki – może dlatego tak bardzo ją lubiałam. Wiedziałam, że niebezpieczeństwa – takie czy inne – zagrażają każdemu z nas, ale czułam też, że mój biedny Papa miał wyjątkowy dar pakowania się w przygody, których inni z łatwością unikali. Podobnie zaczęło się to jeszcze w czasach kijowskich.

Na wojnę mógł on nie iść, jako jedyny opiekun siostry–siostry, poza tym był jeszcze za młody. Ale poszedł na ochotnika, uważając, że nie jest to godne człowieka honoru patrzeć beczynn timer, jak inni umierają.

Gdy oficerowie jego pułku uwięzieni zostali przez wojska czerwone na Łukjanowce pod Kijowem, Mama sprzedała wszystkie posiadane kosztowności, by opłacić sanitariuszy, opiekujących się więzieniem i kilku strażników. Droga do ucieczki Papy była wolna. Sama Mama, przebrana za siostrę miłosierdzia, weszła do jego celi, żeby na znak strażnika, wyprowadzić go z więzienia. Jakaż była jej rozpacz, gdy, ze śmiechem całując tę nową sanitariuszkę w oba policzki wykrzyknął on swym donośnym głosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na strażnika:

– Nie, moja Duszeńko, albo mi ty wyprowadzisz także moich kolegów, albo też przyjdzie nam tu wszystkim razem pozostać. Czyż mogłbym uciec sam i tak ich tu zostawić? Wszystko się wydało, Mama z trudem uniknęła aresztu. W kilka dni potem „biali” zajęli z kolei Kijów. Papie i wszystkim jego kolegom udało się uratować.

A i potem, już w Bałandyczach, gdzie życie płynęło na ogół spokojnie, mój biedny Papa nawet i tu potrafił stworzyć niebezpieczne sytuacje, które innym w ogóle się nie zdarzały. Niektóre wiązały się z naszym jeziorem. Jezioro leżało w odległości nie więcej jak 1 km od dworu. Miało ono 300 ha powierzchni i wydawało mi się olbrzymie. Było rybne, przy brzegach zarośnięte trzcinami i krzewami, w których gnieździły się dzikie kaczki. W zimie, pokryte lodem, jezioro stawało się małe. Na łyżwach, lub na dziecinnych saneczkach, połączonych sznurkiem po

5–6 za koniem, można było przebyć je bardzo szybko i droga na pocztę we wsi Odryżyn, na przeciwnym jego brzegu stawała się zupełnie króciutka. W lecie natomiast jezioro było wielkie i groźne. Przepluwając je w poprzek płaskodenną łódką–duszehubką, jakiej poleszycy używali do rybołówstwa, trzeba było uważać na fale i wiry, zmieniające kierunek. Przepluwać jezioro bez łódki odważał się tylko mój Papa. Wprawdzie pływał on i nurkował znakomicie, lecz za każdym razem, gdy czarny punkt jego głowy malał za kolejną falą, przeżywałam tak straszne niepokoje, że potem nocą krzyczałam we śnie i zrywałam się z łóżka. Czułam, że jakieś nieszczęście musi się wreszcie na jeziorze zdarzyć. Stało się to jednak w zupełnie inny sposób.

Jedną z największych przyjemności dla nas wszystkich było kąpanie koni. Nasze dworskie koniki pływały znakomicie. Rodzice obydwój jeździli świetnie konno, dziewczęta ze dworu, a nawet i ja, która do dziś dnia mam stracha przed wodą – wszyscyśmy przepadali za kąpaniem koni, inaczej mówiąc – pływaniem na szerokim grzbiecie końskim, trzymając się krótkiej uzdy, jaką zakłada się do konnej jazdy. Pewnego upalnego popołudnia, gdy wszyscy byliśmy z końmi na wodzie, przyjechał spoconą klaczą, ulubienicą Ojca – rasową, czarną Strunką, chłopak stajenny, który, po odwiezieniu kogoś na stację kolejową, chciał jeszcze wykąpać konia. Nikt z nas nie zauważył, że zamiast krótkiej uzdy, Strunka ciągle jeszcze miała długie lejce, jakich się używa do powożenia bryczką, niebezpiecznie zwisające w momencie, gdy chłopak wskoczył koniem do wody. Gdy po chwili, zaplątawszy się przednimi nogami w zwisającą uprzęż, koń zaczął tonąć – było już za późno.

Papa, kąpiąc w pobliżu innego konia, puścił go luzem na brzeg, a sam pośpieszył z pomocą Strunce. Chłopak, nie umiejąc pływać, trzymał się kurczowo jej grzywy, a Papa, nurkując ze wszystkich stron, usiłował rozplątać lejce, by uratować oboje. Gdy wreszcie podpłynęli inni parobcy i wyciągnęli na brzeg całą trójkę, Strunka już nie żyła, a chłopaka z trudem docucono. Papa długo jeszcze potem masował bezwładne mięśnie ulubionej klaczki, nie mogąc się pogodzić z jej śmiercią. Tej nocy nikt nie spał we dworze. Tak jak każde urodzenie źrebaka, cielaka czy nawet prosiąt i kurcząt, było u nas radosnym wydarzeniem, tak też każda utrata naszych zwierząt była wielkim ciosem, tak jak strata kogoś z najbliższej rodziny.

Strunka – młódka wyjątkowo urodziwa – o długiej wygiętej szyi, inteligentnym ciepłym spojrzeniu i pięknym tanecznym chodzie, była pupilką i wielką dumą mego Ojca. Jej matka pochodziła ze znanej Stadniny Janowskiej. Strunka urodziła się już u nas, na oczach Papy. Sam pomagał on przy porodzie, a potem pielęgnował i hołubił to śliczne, delikatne stworzonko, jak własne dziecko. Utratę tego właśnie konia odczuliśmy wszyscy bardzo boleśnie.

Ojciec często odbierał żrebaki czy cielaki przy porodzie. Troszczył się on bardzo serdecznie o wszystko, co wokół nas żyło, wykonując przy tym prace, których inni unikali. Leczył on sam nasze zwierzęta – do weterynarza było daleko, musiał też niekiedy pomagać i ludziom. Gdy jedna z naszych dziewcząt dostała jakiegoś liszaju na głowie, sam zgolił jej włosy i smarował potem jakąś przykro pachnącą maścią. Zaufanie, jakim przy tym darzyli go zarówno zwierzęta jak i ludzie, wprawiało mnie zawsze w największy podziw. Okoliczni chłopcy także wyraźnie go szanowali, chociaż stosunki między młodym dziedzicem i jego wiejskimi sąsiadami układały się nieraz bardzo swojscie. Dokładnie pamiętam wieczór, gdy Papa wrócił z lasu z podbitym okiem i rozkrwawioną wargą, po przyjacielskiej dyskusji z naszym najbliższym sąsiadem, rosnym chłopem Jachimem. Jachim chciał coś tam dobudować przy swej chałupie, a że z pieniędzmi było u niego krucho, więc wybrał się saniami do dworskiego lasu wyszukać sobie coś odpowiedniego. Miał chłop pecha, bo właśnie przy zrębywaniu drugiej, znakomicie pasującej mu sosenki, musiał mu się napotoczyć Pan Dziedzic. Jako, że opinię na temat zrąbanych sosen okazały się trudne do uzgodnienia, doszło do argumentów bardziej dotkliwych. Wprawdzie obie strony silnie ucierpiały, chłop uznał się jednak za pokonanego i zgodził się odwieźć wyrąbane drzewa do dworu.

Po drodze jednak Ojciec zdecydował inaczej:

– Ja wiem, że ty pieniędzmi teraz nie śmierzysz, Jachimka, ale mimo wszystko drzewo mi nie kradnij. Te dwie sosny możesz sobie teraz zabrać, zapłacisz mi za nie po żniwach.

Nikt z nas nie wierzył w to, że Jachim za drzewo zapłaci. Ojciec chciał w ten sposób zaznaczyć, że tym razem daruje, ale drugi raz nie przepuści – żał mu było poprostu niezamożnego chłopca. Ale Jachim miał swój honor. Po żniwach zapłacił za wszystko i więcej do lasu nie jeździł, a być może tylko nie dał się już

po raz drugi przyłapać. Tak, papa miał jakieś swoje specjalne podejście do otoczenia być może dlatego, że był on bardzo odważny. Od dziecka uczył mnie on, że nerwy zawsze trzeba mocno trzymać w garści, by zachowywać spokój i że strach to uczucie niegodne, które trzeba w sobie bezwzględnie zwalczać. Papa każdemu niebezpieczeństwu odważnie wychodził naprzeciw. Wydawało mi się, że był on też bardzo silny, dostatecznie silny, by z każdym niebezpieczeństwem się rozprawić, a jednak, mimo to wszystko, ciągle się o niego potwornie bałam. Dlaczego? Nie umiałam znaleźć na to odpowiedzi, bo przecież wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak ciężko będzie on musiał zapłacić za tę swoją odwagę w przyszłości. Biedny mój, biedny Papa!

Wyrosłam wśród traw i mgieł

Pewnego dnia zrozumiałam, że przynoszę wstyd mojej pięknej dobrze wychowanej Mamie. Nie musiałam się tego nawet jakoś specjalnie domyślać, sama mi to powiedziała, w rozpaczy załamując nade mną ręce:

– Jak to dobrze, że Babcia Borysiewicz nigdy ciebie nie widziała, musiałabym się chyba spalić ze wstydu – taki z ciebie nieokrzesany stwór.

Długo potem nad tym myślałam. Wiedziałam, że przestając wciąż z końmi, krowami i psami, asystując przy porodach cieląt i wyklócając się z pastuchami barwną gamą poleskich przekleństw, daleka byłam od pięknie ułożonej dziewczynki w białej koronkowej sukieneczce ze starej fotografii Mamy. O takim ideale nie było co nawet i marzyć, ale z tym moim nieokrzesaniem być może jednak dałoby się coś zrobić. Postanowiłam więc się poprawić, bardziej dbać o swoje zachowanie i o to co mówię.

Postanowiłam też przestać kląć, inaczej mówiąc – oceniać w bezpośredniej wymianie zdań osobę mego rozmówcy, jak na przykład: – Ty bydlaku, swolocz ty przekłeta, co stanowiło zaledwie łagodny początek dalszych silniejszych określeń. Postanowiłam nawet poniechać zaklinania, co powszechnym zwyczajem poleskim, polegało na wypowiadaniu swych najszerszych życzeń osobie zainteresowanej, w rodzaju – A żeby ci ręce, nogi połamano; a żeby cię na miejscu nagła śmierć powaliła i dalej w tymże rodzaju.

Ale przede wszystkim postanowiłam być w przyszłości, uprzedzającą grzeczną wobec Mamy znajo-

mych, zwłaszcza tych z najbliższych dworów. Tylko, że z tym właśnie było najtrudniej. Czułam wyraźnie, że wszyscy sąsiedzi, przyjeżdżający w odwiedziny do rodziców, uważali mnie za dziecko przemądrzałe i conajmniej dziwne. Nawiązanie z nimi przyjacielskich stosunków, jakie łączyły mnie z okoliczną ludnością wiejską, wydawało mi się zupełnie niemożliwe. Wysilałam cały mój spryt, żeby uprzejmie zabawić przyjeżdżających gości, ale jakoś nigdy mi się to nie udawało. Myślę, że winny temu były moje nedoręczne odpowiedzi na wszelkie próby nawiązania ze mną żartobliwie-dziecinnych rozmów, których – z całą bezwzględnością moich ośmiu lat – po prostu nie cierpiałam. I tak, na zapytanie – czy wiem, że bociany przynoszą w dziobach małe dzieci – odpowiadałam po chwili namysłu:

– Być może, ale nie w naszej okolicy. U nas bociany mają inne zadania, a w dziobach noszą tylko żaby i węże.

A zapytana, czy słyszałam już, jak trawa rośnie, z całym przekonaniem oświadczyłam:

– Słyszeć, to może nie słyszałam, ale widzieć, to już nieraz widziałam, jak trawa rośnie i ile w niej przeróżnych, ciekawych zwierzątek.

Właśnie gotowa już byłam zacząć o tym swoje pasjonujące, moim zdaniem, opowiadanie, gdy z przykrością stwierdzałam, że nikt mnie nie słucha i że Mama woli odesłać mnie do mojego pokoju, żebym nie nudziła jej gości moimi dziwacznymi fantazjami. A przecież z tą trawą nie były to wcale fantazje. Leżeć w trawie i obserwować co się w niej dzieje, to było moje najmilsze zajęcie. Wiedziałam, że trzeba tylko cierpliwie poczekać, a wtedy wszystkie żuczki, motylki, czy pszczołki, żyjące w tym świecie żdźbeł i barwnych kwiatów, same opowiedzą mi swoje dzieje, swoje troski i radości. Po raz pierwszy zapatrzyłam się na to ciekawe życie trawy owego letniego dnia, gdy uciekłam z domu wraz z moim dziesięcioletnim przyjacielem Kostiukiem, synem naszego fornała Mikoły. Wszystko zaczęło się wtedy od tego obrzydliwego Famele.

A było to tak. Po jednej ze swoich licznych wizyt, nasz, zupełnie nie znający się na dzieciach, lekarz domowy zapisał mi Famel, syrop o potwornym zapachu, twierdząc, że moja bledota, bóle w stawach i wiecznie podkrążone oczy, wszystko to zupełnie, jak tylko wypiję 5 dużych brązowych, płaskich flaszek tego lekarstwa (3 razy dziennie po

łyżce stołowej). Już po pierwszej łyżce wiedziałam, że życie stało się dla mnie nie do zniesienia. Uciekanie do sadu i przesiadywanie godzinami na najwyższych drzewach doprowadzało tylko do codziennego pozbawiania mnie deseru za karę, ale jako środek w walce z Famelem wcale nie pomogło. Moja Mama była nieubłagana, a na Papę też liczyć nie było można, gdy chodziło o wielkie akcje lekarskie dla poprawy mego zdrowia. Nie było więc innego wyjścia – trzeba było uciec z domu i to na dobre. Bałam się uciec tak zupełnie sama, ale z Kostiukiem, który wędrował za krowami po dworskich łąkach i znał w Bałandyczach każdy krzak, taka ucieczka z domu mogła być wspólną przygodą.

Kostiuk nie był wcale zachwycony moją propozycją. Jego ojciec miał ciężką rękę, a porządnym laniem musiało się to przecież skończyć. Tylko że czego to się nie robi dla dobrych przyjaciół? Obiecaną przeze mnie puszką landrynek i dwoma kawałkami jabłecznika też trudno było pogardzić. I tak zapadła decyzja: postanowiliśmy uciec na wyspę dzikich kaczek. Wyspa ta była niedaleko, najwyżej kilometr od naszego dworu, lecz dojście do niej nie było łatwe.

Tuż za groblą, dzielącą zabudowania dworskie od bagnistych łąk, zaczynał się teren kęp, zwanych po białorusku koczki. Były to niewielkie wysepki trawy, rosnącej na trzęsawisku, tak małe, że tylko noga dziecka mogła się na nich utrzymać. Za każdym krokiem kołysały się one zdradliwie, grożąc zniknięciem pod wodą przy zbyt dużym obciążeniu. Upadek z koczki do wody, a dokładnie mówiąc w grząskie błoto pełne pijawek, nie był przyjemny, każde z nas dobrze o tym wiedziało. To też skakać z koczki na koczkę trzeba było ostrożnie i lekko, opierając się na specjalnie pozostawione do tego tyczki z giętkiej wikliny i wyrzucając nogi mocno do przodu. Wszystko to wymagało dużej zręczności, ale dzieci poleskie biegały w ten sposób po bagnistych terenach od małego, doprowadzając te lekkie, dalekie, kocie skoki do niezwyklej precyzji.

W ten sposób zaczęła się też i nasza wędrówka. Kostiuk musiał wybierać najłatwiejsze przejścia, ze względu na moje ślizgające się sandały. Twierdził on, że najlepiej skakać boso – ma się wtedy lepsze wyczucie terenu. Ale ja na bosaka nie potrafiłam, musieliśmy więc po prostu unikać najtrudniejszych miejsc i w końcu obeszło się bez szczególnie przykrych, poślizgnięć.

Zaabsorbowana łapaniem odsyłanych mi przez Kostiuka tyczek i oceną kołyszących się kęp patrzyłam tylko przed siebie, a tymczasem wokół nas ciągle coś się działo. Duże szare ropuchy z gniewnym charakterliwym gderaniem pluskały do wody, schodząc nam z drogi; chuda czapla, stojąc na jednej nodze, z pogardliwą godnością patrzyła na nasze nieudolne skoki. Tuż nad nimi bociany zataczały szerokie kręgi, wypatrując w wodzie jakichś smakowitych kąsków.

W miarę zbliżania się do wyspy spotykaliśmy coraz więcej dzikich kaczek, zwłaszcza młodych mamuś, otoczonych rojem malutkich, śliczniutkich kaczuszek, ćwiczących się pilnie w pływaniu, nurkowaniu i jakichś tam jeszcze innych ważnych kaczych umiejętnościach. Wprawdzie wysepka, do której chcieliśmy dotrzeć, nazwana została przez miejscowych pastuchów wyspą dzikich kaczek, lecz na takim odludziu nawet dzikie kaczki stawały się mniej płochliwe, to też nasze nagłe przybycie nie spowodowało żadnej paniki, ani wrzaskliwych protestów. Parę dostojnych matron kaczek ciężko chlupnęło do wody, jakby podkreślając swą niechęć do zawierania znajomości z nieproszonymi gośćmi. Pozostałe kaczce towarzystwo w ogóle się nami nie zainteresowało i nie przerywało swych normalnych gospodarczo-wychowawczych zajęć

Sama wysepka była niewielka, oddzielona od terenów dworskich z jednej strony bagniskiem, które właśnie przebyliśmy, z drugiej zaś dużą łachą brudnej wody, po której niekiedy przyplływały tu krowy. Kilka garbatych wierzb, schylonych nad wodą, trochę trzin przy brzegu, a pośrodku wyspy piękna, nietknięta kosą łąka z wysoką, kwieciami w słońcu rozmiętą trawą.

W powietrzu unosił się ciężki miodny zapach rozświeconego południa czerwcowego. Wokół nas wrzała praca – zajęcia letnie w pełnym nasileniu. Każdy ptaszek, żuczek, czy motylek zajęty był wyszukiwaniem żywności dla siebie lub swoich dzieci. Wszystko to odbywało się z wielkim zapałem, wśród radosnych poćwierkiwań, poświstów i pobzykiwań. W tym niezmaconym obecnością ludzką światku ptaków i owadów odczuwało się natychmiast jakiś porządek, wyraźną celowość, swoistą organizację wszystkich tych gospodarczych czynności. Wydawało mi się, że oto stanęłam przed jakimś zupełnie nieznanym mi społeczeństwem, bardzo różnorodnym, a jednak

współżyjącym w przyjaznej harmonii. Było w tym wszystkim coś zupełnie dla mnie nowego, być może zresztą tylko dlatego, że po raz pierwszy spojrzałam na otaczające mnie życie innych stworzeń w nowy dla mnie sposób. W moim dotychczasowym pojęciu człowiek był zawsze panem ziemi i wszystkiego, co na niej żyło: on zarządzał orkę, siewy i żniwa – jego prawom musiało się wszystko podporządkować. Przy sianokosach ginęły trawy i różne zwierzątka, znajdujące w niej swe pożywienie. Płakałam długo nad małym zajęczkiem z obciętą przez kosiarkę łapką, lecz cóż to mogło pomóc – prawa ludzkie nie mogą przez to ulec zmianie.

Tu na wyspie było inaczej: człowiek dorosły w ogóle tu nie docierał, a dzieci, poza wybieraniem jaj z gniazd kaczek, nie mogły tu zmienić naturalnych praw, którymi się rządzą mieszkańcy wyspy: praw do budowania gniazd, nor, czy innych pomieszczeń mieszkalnych, praw do wychowania młodego pokolenia, praw do zdobywania pożywienia i gromadzenia zapasów na zimę. Uświadomiłam sobie wtedy po raz pierwszy, że to przecież jest to samo, co robi też i człowiek i że zajęcia tych malutkich stworzeń muszą być dla nich tak samo ważne, jak dla nas ważne są nasze codzienne sprawy.

Stąpałam więc ostrożnie po wysokiej trawie, starając się nie rozdeptać żadnej mróweczki i nie przeszkodzić w pracy żadnemu najmniejszemu stworzonku. Patrzyłam na wszystko przejęta i oczarowana.

Po chwili dopiero zauważyłam, że towarzysz mój i przewodnik wcale nie podzielał tych zachwytów. W przeciwieństwie do mnie, był on tu już niejednokrotnie, a cała ta przygoda – na myśl o chmurnym spojrzeniu Batki Mikoły – zupełnie przestawała go bawić. W obawie moich protestów, wskazał on tylko na niewielki szalas, sklecony z gałęzi przez pastuchów i mruknął niechętnie:

– Tu możesz się przespać spokojnie, a ja muszę wracać do domu. Przed wieczorem przyniosę chleb, mleko i kartofle. Czekaj na mnie i nigdzie się stąd nie ruszaj.

Po chwili zostałam sama. Trochę mi było nieswojo, ale na spanie w szałasie wcale nie miałam ochoty. Wołałam leżeć w trawie i patrzeć, co się wokół mnie dzieje, a działo się tak wiele różnych rzeczy, że już po chwili nie czułam się wcale samotna.

W trawie, obok mnie zdyscyplinowany oddział czarnych mrówek gęsiego podążał w sobie tylko

znany kierunk, na nic nie zwracając uwagi. Tuż przy mej głowie rudawa gąsieniczka mozolnie wlażyła na kołyszące się źdźbło trawy, a zaraz za nią piegowata biedroneczka robiła to samo, lecz dużo wdzięczniej, posługując się przy tym także i swymi ślicznymi skrzydełkami. Na czerwonych kulach koniczyny pszczoła bardzo była zajęta i tylko od czasu do czasu pobzykiwała sobie przy pracy.

Cienkonogi, zieloniutki konik polny wielkimi susami, lecz jakoś zręcznie–tanecznie, podskoczył przywitać się ze mną, lecz widocznie uznał, że niewarto, bo po chwili kiwnął tylko różkami i dalej sobie poskakał. Gruba ropucha leniwie otworzyła jedno oko, raz sobie chrząknęła i znów zasnęła. Wokół brzęczały jakieś muszki, coś cykało, syczało i silnie pachniało rumiankiem.

Wydało mi się raptem, że całe to towarzystwo jest okropnie poważne, zaaferowane, przejęte swą pracą i że tylko wysoka, zielona trawa, w której wszyscy oni czegoś szukali i coś odnajdywali, pozostaje zupełnie bezczynna – wystrojona w bielutkie stokrotki i liljowe dzwoneczki, jak hoża dziewczyna poleska, gdy idzie do kościoła w swej białej, barwnie haftowanej bluzce i kolorowej spódnicy.

Językiem baśni poleskich zaczęłam więc tej lekko-myślniej strojnisi uragać.

– Cóż to–trawo–nierobo, czy tylko dla ciebie zawsze jest święto, że tak wciąż stroisz się i leniuchujesz? Czyż to dla ciebie zabrakło roboty na świecie?

Zakołysała się trawa przekornie, zaśmiała się cichutko dzwoneczkami na wietrze, zamrugwała wesołymi oczkami stokrotek:

– Gdyby mnie tu nie było, nie przyszłaby tu żadna mróweczka, ani pszczołka, żaden żuczek, żaden pasikonik. Czyż nie widzisz, co ja tu robię? Ja tu rosnę – po prostu rosnę! Rosnę i żywię wszystkich wokół. Stroję się w piękne kwiaty i wszyscy chętnie na te piękności patrzą. Każdy cieszy się, że słońko nam świeci, w jego promieniach świat jest jeszcze piękniejszy i wszyscy czujemy się jedną wielką rodziną.

Tak mówiła do mnie trawa–mądrała. Być może, to tylko ja, zmęczona skakaniem po kępach, odurzona zapachem ziół i brzęczeniem owadów, zasnęłam po prostu, pograżając się w zaczarowany świat baśni poleskich.

Wieczór już zapadał na dobre, gdy zbudził mnie z mych marzeń powracający z prowiantem Kostiuk. Zastępy pracowitych żyłatek gdzieś znikły, powietrze

stawało się chłodne i wilgotne, pierwsze mgły wieczorne zaczęły podnosić się nad bagniskami wokół nas, robiło się jakoś przykro i nieprzytulnie.

Rozpalając ognisko dla upieczenia kartofli, Kostiuk opowiadał, co się działo we dworze. Wszyscy mnie cały dzień szukali, zaglądano nawet do starej, opuszczonej studni, Mama płakała, Papa nie pojechał doglądać sianokosu. Było nam obojgu coraz bardziej przykro, ale Kostiuk nie odważał się wracać ze mną po kępach w gęstej mgle. Trzeba było czekać do rana.

Ognisko paliło się opornie–niechętnie, dym z wilgotnych gałęzi unosił się ciężko nad nami.

– Dym idzie prosto do nieba, jutro będzie pogoda, – orzekł Kostiuk, ot tak, żeby tylko coś powiedzieć i przerwać gniotące milczenie. Bo wraz z gęstniejącą mgłą, gęstniały też i strachy w naszych udręczonych sumieniach.

Wszystkim przecież wiadomo, że właśnie z gęstej mgły wyłania się wodnica, zwiwna postać trupio–błada o chłodnym dotyku i długich, białych szatach. To ona przecież każe niedobre dzieci.

W gęstej mgle każdy krzak wydawał się przerażającą postacią. Czuliśmy się zupełnie zgubieni. W naszej wyobraźni widzieliśmy już wszystkie złe duchy ze znanych nam baśni, wrogie każące.

A co najgorsze, w oddali rzeczywiście zobaczyliśmy po chwili coś bardzo dziwnego.

– Patrz, Kostiuk, tam od strony wody coś się porusza. Hospody Boże, patrz Kostiuk – Wodnica!

Drżałam z przerażenia. Kostiuk kłął coś pod nosem, ale też ruszyć się nie mógł ze strachu. We mgle, istotnie, coś się do nas zbliżało.

Pierwszy ochłonął mój towarzysz. Chrypliwym z podniecenia głosem zaczął mi on tłumaczyć, że to coś, co się rusza, jest to wąska łódź, a na niej dwie postacie.

Po chwili wszystko się wyjaśniło.

Dym z naszego ogniska widoczny był, pomimo mgły, we dworze. Zniknięcie Kostiuka było dodatkową wskazówką. Mikoła i Papa wiedzieli od razu, gdzie nas należy szukać i przyjechali po nas łodzią, z trudem przedostając się na wyspę od strony, którą przyływały tu krowy.

Jakież to cudowne uczucie wracać do domu taką łodzią, po szklance gorącej herbaty z termosu, owinięci w ciepłe koce, wyzwoleni z mgieł i upiornych strachów.

Pozostawała już tylko ostatnia przykrość – parę trudnych spraw do uzgodnienia:

– Paa, Pamelu – mimo wszystko – nigdy więcej, za żadne skarby. I jeszcze jedno: niech tylko Mikoła nie leje Kostiuka, proszę, bardzo proszę. Wszystko to moja wina, tylko moja! Jak już koniecznie musi być, to niech już Mikoła mnie bije lepiej, dodałam po chwili żalonym tonem.

Lecz Papa miał lepsze wyjście:

– Mikoła chce, żeby Kostiuk pasł krowy, zamiast wałęsać się z tobą po bagniskach. Od dziś będziesz pasła krowy razem z Kostiukiem – przez całe lato!

Byliśmy oboje zachwyceni nową zabawą.

I rzeczywiście, pasłam potem krowy z Kostiukiem. Wprawdzie nie przez całe lato, ale parę tygodni jednak pasłam.

Walka z wiatrakami

Życie wśród jezior i dzikiej przyrody miało wiele swoistych uroków, lecz gospodarowanie na ziemi poleskiej w okresie międzywojennym było zajęciem bardzo niewdzięcznym.

W naszych Bałandyczach nieużyteczne bagniska i podmokłe łąki obejmowały ponad 80% ogólnego obszaru. Resztę stanowiło nieco lasu sosnowego i odrobina ziemi ornej, piaszczystej, nieurodzajnej, na której siano żyto, sadzono kartofle i trochę warzyw dla potrzeb dworu, a także buraki pastewne, łubin i koniczynę dla krów. I to już właściwie było wszystko, co się dało uzyskać z tych ubogich pól.

O jakiejś bardziej racjonalnej uprawie czegokolwiek na sprzedaż nie można było myśleć ze względu na trudne warunki transportu: brak dróg kołowych, złe połączenia kolejowe.

Do najbliższego miasta, Pińska, było od nas tylko 50 km, lecz, żeby tam się dostać, trzeba było odbyć długą i męczącą podróż.

Najpierw końmi – bryczką lub chłopską furą –jechało się 8 km po złej, piaszczystej drodze polnej do Mochra, najbliższej stacji kolejki wąskotorowej, napędzanej węglem. Przed ruszeniem mała lokomotywka ze śmiesznym pękatym kominem prychała potężnie parą i przeraźliwie gwizdała; wystraszone konie, przywożące gości na kolej, stawały dęba; panie w powozach chwytaly się za serce, krzyczały i robiły jeszcze więcej zamieszania. Taki wyjazd ze spokoj-

nego poleskiego dworu w szeroki świat był dla nas wielkim przeżyciem.

Lecz był to dopiero początek podróży.

Wąskotorówką dojeżdżało się do odległego o 20 km Janowa, małego miasteczka na linii kolejowej Brześć – Pińsk. Tu należało poczekać na niewielkiej stacji,

zatłoczonej węzelkami i koszami wiejskich prze-kupek, by dostać się na pociąg szerokotorowy i do-brnąć wreszcie do miasta Pińska. W sumie traciło się na taką podróż cały dzień, do Pińska przyjeżdżaliśmy brudni, zmęczeni i źli.

Z czasem, gdy Ojciec kupił używanego Forda, można było przebyć te 50 km nieco szybciej, ale by-najaniej nie zawsze.

Zdarzało się nieraz, że w okresie powodzi wiosen-nych lub jesiennych deszczy, Ford grzązał na drogach polnych. Szło się wtedy do najbliższych osiedli – nie-raz bardzo daleko – po konie, aby samochód wycią-gać z błota, czasem trzeba go było holować końmi przez kilka kilometrów.

Do dziś dnia przechowała się u mnie zabawna fo-tografia poleszuka w baraním kożuchu, siedzącego okrakiem na chłodnicy ojcowego Forda i powożące-go parą rośłych koni, z wysiłkiem ciągnących wielki samochód.

To też, ze względu na trudne warunki transportu, próby założenia w Bałandyczach uprawy jarzyn na sprzedaż, czy farmy kurzej zupełnie się nie powiodły. Pozostawała więc tylko hodowla trzody mięsnej, no i sprzedaż drzewa z lasu.

Las wysprzedawało się ciągle – było to najprostsze – tylko że drzewostan malał z przerażającą szybko-ścią, tych najpiękniejszych sosen było coraz mniej.

A tu podatki trzeba było przecież płacić i to z dużą progresją przy wielkich posiadłościach. Bałandycze były duże – miały kilkaset hektarów. Uboogie, bo ubo-gie były te hektary, ale przy progresji, podatków za nie się płaciło sporo.

Ojciec był wtedy jeszcze młody, pełen energii i wiary we własne siły, to też, nie zrażając się trudno-ściami, postanowił wytrwać i doprowadzić majątek do jakiej-takiej rentowności.

Przekopanie przez miejscowe władze kanału, łą-czącego nasze jezioro z Kanałem Królewskim, stano-wiło, jego zdaniem, doskonałą możliwość rozwiąza-nia najtrudniejszych problemów naszej gospodarki.

Jego wielki plan wyglądał następująco:

Na wszystkich podmokłych terenach należy wykopać rowy odwadniające w systemie szachownicy – wielkich, połączonych rowami kwadratów, z których wodę należy odprowadzić do jeziora. Po wykopaniu rowów i osuszeniu terenu, należy – w miarę możliwości – zwiększyć obszar ziemi uprawnej, zaś łąki uzyskane z nieużytków, odpowiednio użyźnić nawozami i zasiać specjalnymi gatunkami traw dla uzyskania lepszej jakości paszy.

Kopanie rowów zajęło nam ponad 5 lat. Kosztowało to dużo wysiłków i pieniędzy. Ojciec wyrobił się przy tym na dobrego kopacza, bo zwykle sam też kopał rowy z wielkim zapalem wraz z najętymi chłopami.

Z czasem, w wiecznie czynnej, pełnej coraz to nowych pomysłów głowie młodego dziedzica zakiełkowała nowa myśl.

Skoro rowy są już wykopane, to być może dałoby się do dolnego jeziora, połączonego z Kanałem Królewskim, spuścić wodę z jeziora górnego, położonego na drugim krańcu majątku. To drugie jezioro było wprawdzie mniejsze, lecz bardzo głębokie, stanowiło więc duży, naturalny rezerwuuar wody.

Wykorzystując te dwa jeziora, położone na różnych poziomach, należy na terenach majątku założyć stawy rybne, zasilane wodą z jeziora górnego, którą – w miarę potrzeby – spuszczałoby się do jeziora dolnego.

Pomysł wydawał się znakomity. Dostarczać ryby na sprzedaż do miasta zamierzał Ojciec Kanałem Królewskim, małym, specjalnie do tego przystosowanym stateczkiem

Zaczęły się u nas wielkie dyskusje na tematy gospodarki rybnej. Mówiło się o przygotowaniu odpowiednich terenów, o nawożeniu dla stworzenia niezbędnego planktonu, o analizach gleby, analizach wody itp. itp. W domu zaczęły pojawiać się masowo książki o hodowli karpi i innych gatunków ryb.

Po naradzie z fachowcami okazało się jednak, że cała sprawa nie jest tak zupełnie prosta, że przelewanie wody z jednego jeziora do drugiego nie będzie możliwe bez zastosowania pomp i odpowiedniej siły napędowej i że wszystko musiałoby kosztować dużo więcej, niż Ojciec był w stanie wyłożyć.

Zaczęło się więc gorączkowe szukanie rozwiązań prostszych i tańszych i, jak zawsze u nas, zjawił się nowy wspaniały pomysł.

Nie wiem już dzisiaj, skąd się ten pomysł wziął i kto go Ojcu podsunął. Wiem tylko, że naszym nowym zadaniem na najbliższe lata miała się stać budowa wiatraka – tak jest, prawdziwego, dużego młynawiatraka, który miał napędzać siłą wiatru urządzenia do pompowania wody, a przy tym mógłby także mleć nasze zboże, a nawet zarabiać przemiałem zboża dla chłopów z pobliskich wsi.

Byłam chyba jedynym stworzeniem w całym naszym domu, szczerze zachwyconym tym pomysłem. Ja zawsze przepadałam za wiatrakami. Lubiłam patrzeć na te stare młyny, na ich dziwaczne skrzydła, obracające się z poskrzypywaniem na wietrze. Lubiłam też sobie wyobrażać, co też taki wiatrak tym swoim postękiwaniem–poskrzypem chciałby nam opowiedzieć. Czy skarży się on, że przykuty do ziemi, nie może wzbić się w powietrze na swych wielkich skrzydłach? Czy też zbrzydło mu już to ciągle pożeranie zboża i wypluwanie mąki? Ileż to przeróżnych fantazji można przy takim wiatraku wyczarować?

Mieć własny wiatrak i to w pobliżu domu, to byłoby przecież coś wspaniałego!

Mama miała jednak zupełnie inny pogląd na całą tę sprawę.

– Znów latami pracować, tym razem na wiatrak i ryby, czy z tego co wogóle wyjdzie i kiedy? Dziecku idzie już na dziewiąty roczek, a takie dotychczasowe, dorywcze odrabianie lekcji – raz z przypadkowymi nauczycielami, raz z rodzicami – to przecież nic nie daje. Trzeba ją posłać do dobrej szkoły w Pińsku, a jak tu takie na wpół dzikie dziecko samo wysłać do miasta? Ja muszę z nią jechać do Pińska, ja muszę z nią jechać, rozumiesz?

– Jakie tam ryby, czy wiatraki, nam trzeba wyjeżdżać z tego odludzia. My tu poginiemy na tych błotach; malaria, reumatyzmy, Bóg wie co jeszcze, a ty tu tylko o wiatrakach myślisz.

– A poza tym, co tu dużo mówić – w Pińsku widziałam piękne futro karakułowe, właśnie takie jest mi teraz potrzebne. Moje stare foki całkiem są już do niczego. A ty tu o wiatrakach!

No cóż, argumenty były przekonujące. Papa, jak zawsze w takich wypadkach, musiał się poczuć bardzo złym ojcem i mężem i swoim zwyczajem, zareagował natychmiast.

– Ze szkołą to możemy jeszcze roczek poczekać, Duszeńko, a futro, jeśli ci naprawdę jest potrzebne,

możesz w tym roku jeszcze dostać, wiesz przecież, że właśnie trochę lasu sprzedałem i to bardzo korzystnie. A co do wiatraka, to o tym trzeba będzie jeszcze dobrze pomyśleć.

Mama nie zapomniała obiecanego futra i ciągle nagliła z wyjazdem do Pińska, Papa chodził coraz bardziej zamyślony, do Pińska jednak pojechał.

Tam chodził z nią przez cały tydzień po wszystkich sklepach futrzanych, oglądając ze znudzoną miną coraz to nowe kolekcje. Podniecona bogactwem wyboru, Mama nie mogła się wcale zdecydować i odkładała z dnia na dzień ich powrót do domu.

Wreszcie cierpliwość Papy się wyczerpała. Szóstego dnia ich wędrówek po sklepach zapytał się tylko:

– Czy już zdecydowałaś, co chciałabyś kupić? Na odpowiedź:

– No nie, wiesz przecie! – to taki trudny wybór, oświadczył spokojnie:

– To może i dobrze się stało, bo teraz to ja już sam zadecyduję.

Mama nie była tym zbyt zmartwiona. Przecież wszystkie oglądane przez nią futra były ładne i każde z nich chciałaby mieć, zapytała więc z ciekawością:

– Które, które najlepiej ci się podoba?

– Żadne.

– Widocznie nie jest to ci aż tak potrzebne, skoro po tygodniu nie wiesz jeszcze czego chcesz. Dość już tej straty czasu. Za te pieniądze wybudujemy młyn. Z futrem możesz jeszcze trochę poczekać.

Efekt był pełny – miażdżący. Mama, której zawsze wszyscy ustępowali, tym razem nie przeprowadziła swej woli. Twierdziła potem, że nigdy tego Ojcu nie zapomniała i chyba rzeczywiście nie zapomniała, bo od tego momentu zaczął się w naszym domu nowy okres – okres nieporozumień. Młyn wkrótce został wybudowany. Jego wielkie skrzydła stanowiły otąd romantyczny akcent na starych zdjęciach z lat mojego dzieciństwa. Ale niewiele mąki na nim przemielono, a hodowla ryl w ogóle nie została zaprowadzona. Wkrótce zaczęły się ciężkie lata kryzysu gospodarczego w początkach lat trzydziestych, a wraz z tym chroniczny brak pieniędzy.

Mama, ze swej strony, wyraźnie bojkotowała wszelkie dalsze próby gospodarczych innowacji, a w związku z tym, pozostawania na wsi na dalszy czas nieokreślony.

– Jedźmy do miasta – im prędzej, tym lepiej.

Papa ciągle jeszcze nie ustępował. Nie było mu łatwo rozstać się tą ziemią, w którą już tyle wysiłków włożono, a przede wszystkim z jego największym marzeniem o wielkiej gospodarce rybnej, stateczku – chłodni i tylu innych jeszcze pięknych rzeczach.

I tak trwało to jeszcze rok.

Napięcie w domu rosło z każdym tygodniem. O przytulnych wieczorach przy zielonej lampie naftowej i fortepianie nikt już w ogóle nie myślał.

Sprzeczkę wybuchały o byle drobiazg. Mama stała się nerwowa i jakaś podejrzliwa. Tę jej nieufność odczuwaliśmy wszyscy. Również i dziewczęta we dworze. I tak równowaga domowa została na razie przywrócona, lecz nie na długo; błąkały się po pokojach zdezorientowane i zalęknione. Pani dziedziczka była wciąż niezadowolona i opryskliwa, a przy tym widać było, że gospodarstwo zupełnie przestało ją interesować.

Decyzje odnośnie krów, świń, czy ptactwa domowego przejęła niania Annuszka i już się do Mamy w ogóle z tym nie zwracała. Z czasem również sprawy sadu, ogrodu warzywnego i dyspozycje kuchenne przeszły także, niemal że całkowicie, na nią.

Mama zamykała się w swoim pokoju, czytała książki francuskie i dużo płakała. Czasami, w tymże swoim pokoju, wypytywała dziewczęta o nowiny we dworze, ale potem wydawała się jeszcze bardziej nieszczęśliwa, czuło się, że wszystko ją drażni i że, wcześniej czy później, musi dojść do jakiegoś wybuchu.

Do wybuchu rzeczywiście doszło i to w okresie największej pracy letniej – w sianokosy.

Widocznie, na skutek zasłyszanych nowinek od wiecznie plotkujących dziewcząt, Mama zaczęła interesować się sianokosami.

Koszenie łąk był to u nas okres najbardziej wyťažonej pracy. Mieliśmy wówczas wielką trzodę, samych krów mlecznych – ponad 50. Mleko, sery i masło stanowiły podstawę naszego pożywienia, sprzedaż jałówek na mięso – główny dochód. Od skoszenia trawy we właściwym czasie i szybkiego jej wysuszenia, by uniknąć częstych w tym okresie deszczy, zależała jakość siana i wydajność naszej trzody.

To też dwór nasz pustoszał w tym czasie zupełnie. Kosił kto żyw, pozostali pomagali przy zbieraniu siana za kosą.

Mimo to jednak nie potrafiliśmy skosić wszystkiego na czas – ludzi dworskich było do tego mało. Wszystkie więc odległe łąki, położone w sąsiedztwie pobliskich wsi, oddawało się do skoszenia chłopom „na trzeciaka”. „Na trzeciaka” oznaczało to, że po skoszeniu łąki, kosiarz układał trzy stogi równej wielkości. Ktoś z dworu, najczęściej Ojciec lub Mama, przyjeżdżał potem wielką furą, wybierał dwa z trzech ułożonych przez chłopą stogów i przypilnowywał odwiezienia siana do dworu. Pozostały – trzeci stóg zabierał sobie chłop, jako wynagrodzenie za skoszenie dworskiej łąki.

Tak było zawsze i nie przypominam sobie żadnych sprzeczek, kwestionujących słusność tego zwyczaju. Stogi układał sam chłop, dzieląc siano na trzy równe części, a dziedzic miał prawo zabrać dowolne dwa stogi, które mu się najlepiej podobały.

A tu raptem Mama zainteresowała się podziałem siana i zakwestionowała jego słusność. Najpierw wszystko chciała dzielić sama, potem szybko się tym znudziła i w ogóle nie chciała wyjeżdżać na sianokosy. Ojciec więc musiał znów dzielić siano sam, bez Mamy. Złośliwe języki zaczęły w tym czasie rozpowiadać – prawda czy nieprawda – że gdy Ojciec jedzie sam na sianokosy, to chłopci, ci „od trzeciaka”, posyłają na łąkę swe hoże baby czy dziewczuchy, wystrojone w wyszywane koszule i bardzo rezolutne, uprzednio układając umyślnie jeden stóg większy od dwóch pozostałych.

– Taka dziewczucha to najlepiej dziedzica zagada, żeby jej zostawił z podziału stóg najpiękniejszy.

No cóż, metoda może i niezła – gorsze rzeczy ludzie robią dla pieniędzy czy zysku, a tu chodziło przecież wreszcie tylko o tę odrobinę siana.

Ale dla Mamy było tego już stanowczo za wiele. Zrobiła ona straszliwą awanturę Papie i nam wszystkim, jego wiernym sprzymierzeńcom, mnie przy tym nazwała zdrajczynią, oddaną sercem i duszą temu niegodziwemu człowiekowi. Płaczom, krzykom i wybuchom gniewu nie było końca.

Ojciec w tym czasie wracał do domu późnym wieczorem opalony, zmęczony. Po kolacji natychmiast zasypiał, a nazajutrz o świcie znów wyjeżdżał na łąki. Z pozostałych domowników ja byłam najmniej zajęta, pozostawałam więc przy Mamie. Musiałam przy tym wysłuchiwać jej narzekań na tego wstręt-

nego egoistę, który nas wszystkich tak tyranizuje. Nie przeczyłam, nie wypowiadałam swych sądów – wywołałoby to jeszcze większe rozżalenie i nic by nie pomogło. Żał mi było tylko tej Mojej Mamy, nie mogłam wcale pojąć, jak można być tak nieszczęśliwą na mej ukochanej wsi poleskiej w słoneczne dni letnie, pachnące ziołami i skoszoną trawą, jak można się tak odośabniać, gdy wszyscy wesoło pracują?

Myślałam też o tych wielkich Ojca przewinieniach, które ją tak martwiły i zupełnie nie potrafiłam go potępić. I – jak to mówią poleszycy – Żeby mi ręce, nogi połamało, żebym tak jutrzejszego dnia nie doczekała, żebym trupem na miejscu padła – jeżeli byłam wtedy niesprawiedliwa.

Bo i o cóż to właściwie Mamie wtedy chodziło i o młyn, o futro, o zazdrość? Czy znudziła ją monotoność wiejska i brak towarzystwa, czy zniechęciło to życie, pełne zamierzeń ponad siły? A może po prostu, jak w opowieściach poleskich: „Koło losu się obróciło i trzeba było zacząć coś nowego”.

W parę tygodni potem wyjechałyśmy obie do Pińska, gdzie zaczęłam się przygotowywać do egzaminu wstępnego do pierwszej klasy gimnazjum. Papa pozostał sam w Bałandyczach.

Lecz po roku i on zrezygnował. Gospodarowanie na dużym, lecz ubogim majątku było ponad jego siły. Czasy stawały się coraz trudniejsze – kryzys gospodarczy wszystkim dawał się we znaki. Lasu nikt nie kupował, bo nikt też nic nie budował. Na opłacanie podatków ciągle brakowało pieniędzy, nasz pobyt w Pińsku też kosztował. O inwestycjach, związanych z uruchomieniem gospodarki rybnej nie było co i marzyć. Trzeba więc było dać za wygraną. Trudna to była decyzja, bardzo trudna, lecz innej rady nie było.

Nasze kochane Bałandycze poszły w dzierżawę wraz z krowami mlecznymi. Żyd pachciarz miał zamiar założyć tam serownię. Większość koni sprzedano, świnie i ptactwo stopniowo zjedzono, we dworze zamieszkał dzierżawca wraz ze swą liczną rodziną.

Rowy odwadniające, kopane przez tyle lat, zaczęły zarastać trawą i tylko na swym, wystawionym na wiatry, wzgórzu ciągle stał jeszcze samotnie wielki drewniany wiatrak.

Często potem o nim myślałam – nie mogłam się z tym pogodzić, że go tak musieliśmy zostawić. Widziałam go raz nawet we śnie.

Było to w Noc Świętojańską. Śniło mi się, że nasz wiatrak stoi sobie opuszczony, niepotrzebny nikomu, poskrzypując na wietrze i coraz głośniej i wciąż narzekając na swą smutną starość. Śniło mi się też, że na Jana-Kupałę, gdy młodzi wianki na wodę rzucali i całą noc przy ogniskach tańczyli, a starzy poleszycy popijali gorzałkę, upił się wraz z innymi także i wiatrak – z rozpaczy nad swą niedolą. Upił się srebrną poświatą księżyca, dźwiękami muzyki i śpiewów znad jeziora, zapachem kwiatów w zaczarowaną Noc Świętojańską.

Widziałam we śnie wyraźnie, jak cień wielkiego wiatraka, widocznie całkiem już pijanego, zachwiał się wpierw, zakołysał, a potem żwawo puścił się w tan, wymachując zabawnie skrzydłami. I tak tańczył, tańczył coraz szybciej, podskakując w przysiadach w takt białoruskiego hopaka, aż wyczerpany zupełnie, stoczył się ze swego wzgórza wprost do jeziora. Tam już czekały na niego barwne wianki na wodzie i lśniące od blasku ognisk, ciemne fale jeziora, chłodne, kojące, życzliwe. Gdy rozkołysany wiatrak stoczył się ciężko do wody, przyjęły go chętnie, łagodnie, czule.

Tak było w moim śnie, lecz sny moje rzadko się spełniały. W rzeczywistości zaś, wiatrak nasz nadal stał na swym wzgórzu, ponuro, bez ruchu. Staje rozewierkotanych, bezczelnych wróbli, obsiadały jego znie-ruchomiełe skrzydła, hałasując bez szacunku, należnemu jego starości. A już najgorszy był ten wiatr dokuczliwy, gwizdzący, szyderczy. Zdawało się, że cieszy się on z tej młynowej niedoli, z klęski tych wszystkich, co chcieli siłę jego i nieskrępowaną swobodę ujarzmić – zmusić do pracy dla człowieka.

c.d.n.

Natalia Hartmann-Kisłowska



Prużana – cerkiew unicka (Rok 1943 lub 1944).

Foto – Zenon Wysłouch



...lata 50-te XX wieku

OJCZYZNA

Ojczyzna nie jest tylko realną zbiorowością ludzi żyjących w bieżącej chwili, zespoloną materialnymi interesami, językiem i przypadkowym miejscem urodzenia, lecz duchową wspólnotą pokoleń – nie wybraną, lecz świadomie afirmowaną. Mamy ojczyznę wtedy, gdy potrafimy te znaczenia odczytać i odnosić do naszych poczynań, gdy znamy symboliczny kalendarz, wiążący nas z przeszłością i wskazujący na przyszłe dni. Możemy się spierać o nie, lecz jak długo są one dla nas istotne, jak długo traktujemy je jako zobowiązania, tak długo Polska żyje.

Ojczyzna – to brzmi dziś górnołotnie, anachronicznie, prowincjonalnie. Zdecydowanie nie jest „trendy”. Dzisiaj modne są teorie, że przestrzeń się nie liczy, że żyjemy w sieciach globalnych. Twierdzi się, że społeczeństwa nowoczesne są posttradycyjne, że w czasach globalizacji wszyscy są nomadami, a państwo narodowe stało się przeżytkiem. Nie ma więc powodu zawracać sobie głowy ojczyzną, zwłaszcza tak trudną, niewdzięczną jak obecna Polska, która nie potrafi zatroszczyć się o słabych, starych i chorych, a także stworzyć pola do działania dla młodych, kreatywnych i ambitnych. A jeśli już ktoś musi mieć ojczyznę, to niech będzie to „ojczyzna mała”, jak najmniejsza – Śląsk, Mazowsze czy Kaszuby, coś, co ucieszy folklorystę i nie urazi sąsiadów. Byle tylko, broń Boże, nie chodziło o ojczyznę dużą, „ideologiczną”, zwłaszcza gdybyśmy chcieli, żeby była ona wielka, gdyż to świadczyłoby o wyjątkowej ciasnocie umysłowej.

W te teorie wierzą szczególnie ci, którzy naczytali się modnych książek, a przynajmniej je przekartkowali, ale nigdy nie mieszkali dłużej poza Polską i nie musieli swoim życiem zweryfikować tych teorii, nie musieli się zastanawiać, w jakim języku wychowywać swoje dzieci i jaka ma być ich tożsamość. A także ci, którzy w ogóle nie czytają, bo już w szkole było to dla nich męką, a wyemigrowawszy, żyją poza światem wartości krajów pobytu, poza ich sferą publiczną, poza wymiarem politycznym, zadowolając się życiem prywatnym, przyziemnym trwaniem, tyle że w krainach większego dobrobytu. Oraz ci, którym za codzienną intelektualną strawę wystarcza telewizyjny talk-show, przewodnikami duchowymi są nadwiślanscy celebryci, a główną troską jest to, jak mieć jędrne pośladki.

Inaczej było w czasach trudnych, gdy na ulicach stały czołgi, a przy koksownikach grzali się żołnierze.

W stanie wojennym nawet najbardziej patetyczne słowa nie raniły subtelnych uszu inteligentnych, nawet ironicy i ateusze zbierali się, by posłuchać pieśni z powstania styczniowego lub kazania księdza Jerzego Popiełuszki. Tym bardziej było tak w czasach wojen prawdziwych, zwłaszcza tej ostatniej. Gdyby wówczas udało się zrealizować „Generalplan Ost”, nie byłoby już ani Polaków, ani ich ojczyzny, żniwa byłyby naprawdę złote, a modernizacja ziem nadwiślańskich niewątpliwie poczyniłaby większe postępy. Dzisiaj zagrożenie jest o wiele bardziej abstrakcyjne, niewidoczne, wymaga specjalnych organów – specjalnej wrażliwości i wnikliwego namysłu – by je rozpoznać. Nic dziwnego, że jeśli jest się młodym, jeśli dopiero co przybyło się do wielkiego miasta, jeśli studiowało się na jednej z wielu pozornie wyższych uczelni założonych przez postkomunistyczną nomenklaturę lub nawet na szacownym uniwersytecie państwowym, w którym nadal wykładają dawni działacze PZPR, można go nie zauważyć. Można nie dostrzec, że pomysł modernizacji jako depolonizacji jest nadal aktualnym projektem, tyle że realizowanym środkami łagodnymi i humanistycznie uzasadnionymi.

Ojczyzna to nie jest tylko terytorium o zmiennych historycznie granicach, to nie bocian, nie żubr i nie wierzba, choć są nam tak bliskie i oby wśród nas żyły wiecznie, to nie polskie potrawy, choć tak smaczne, i nie drużyna piłkarska, choć są tacy, którzy chcieliby patriotyzm sprowadzić do wspólnego ryku kibiców i uczynić ze strzelenia bramki największe i jedynie poprawne zbiorowe przeżycie narodowe. Ojczyzna nie jest tylko realną zbiorowością ludzi żyjących w bieżącej chwili, zespoloną materialnymi interesami, językiem i przypadkowym miejscem urodzenia, lecz **duchową wspólnotą pokoleń – nie wybraną, lecz świadomie afirmowaną. A miejsca, w których żyjemy, nie są tylko miejscami geograficznymi, punktami w abstrakcyjnej przestrzeni, lecz są nasycone znaczeniami miejsc pamięci. Mamy ojczyznę wtedy, gdy potrafimy te znaczenia odczytać i odnosić je do naszych poczynań, gdy znamy symboliczny kalendarz, wiążący nas z przeszłością i wskazujący na przyszłe dni. Możemy się spierać o nie, lecz jak długo są one dla nas istotne, jak długo traktujemy je jako zobowiązania, tak długo Polska żyje.**

Prof. Zdzisław Krasnodębski